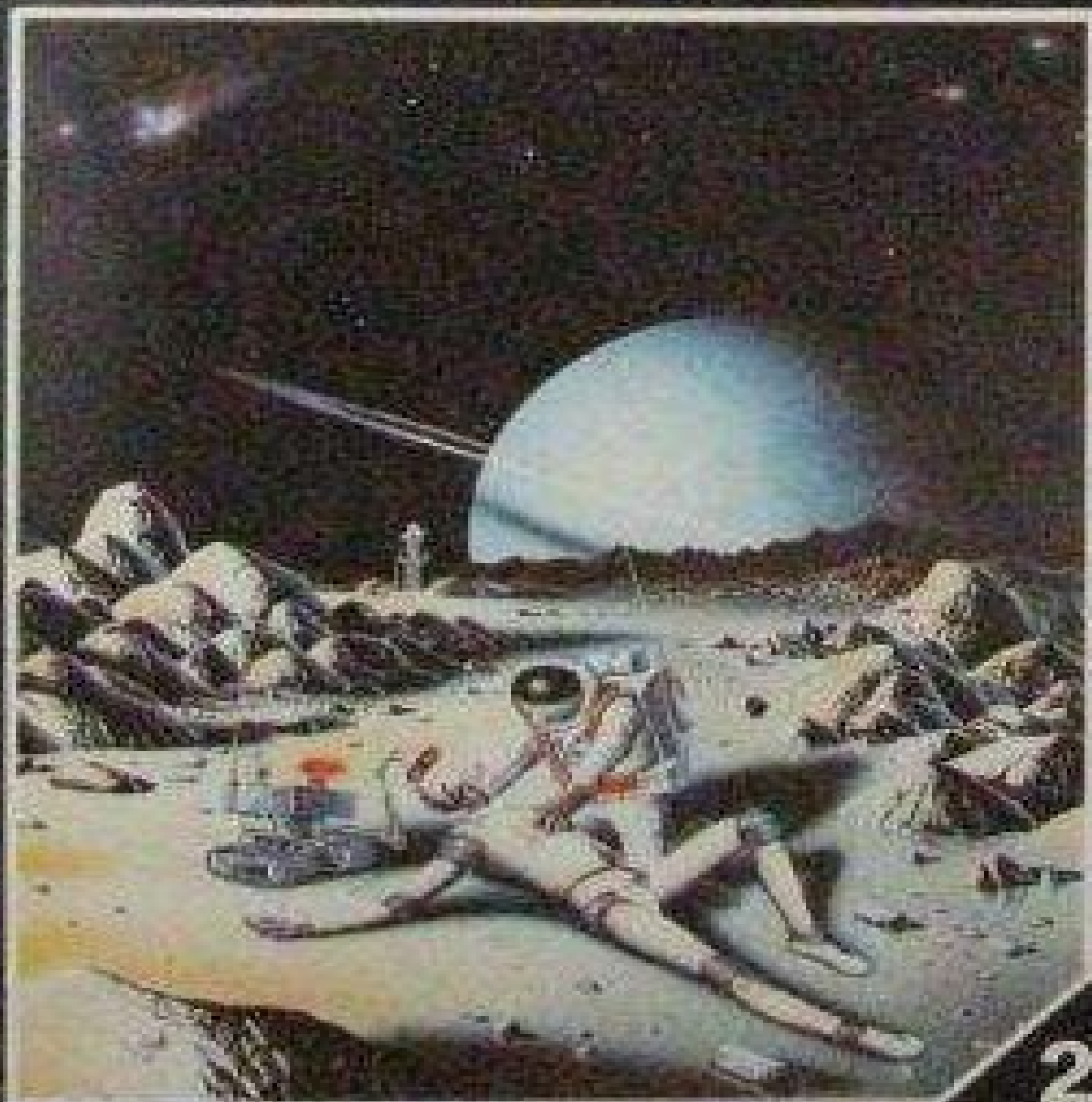


FANTASY

Paolo
Aresi

OBERON



Paolo Aresi

Oberon

(przełożył Tomasz Giembicki)

Tyt. oryg. – Oberon

It – 1987

Pl – 1991

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Prolog. Pięć lat wcześniej](#)

[1. Tytan](#)

[2. Alarm](#)

[3. Pomysł – pięć lat później](#)

[4. Żart](#)

[5. Trzęsienie ziemi](#)

[6. Poza Saturnem](#)

[7. Potrzeba miłości](#)

[8. Punkt krytyczny](#)

[9. Uran](#)

[10. Ciemno](#)

[11. Jeszcze bardziej samotny](#)

[12. Wzgórze](#)

[13. Ziemia!](#)

[14. Przebudzenie](#)

[15. Nawiązanie łączności](#)

[16. Prezent](#)

[17. Wielka kula](#)

[18. Na orbicie](#)

[19. Lądowanie](#)

[20. Pożegnanie](#)

[21. Pojawia się gwiazda](#)

[22. Matka](#)

[23. Odlot](#)

[24. George](#)

Prolog. Pięć lat wcześniej

– Do diaska, masz wielkie szczęście, że nie jesteś człowiekiem!

Towarzysz patrzył na mężczyznę o krótkich włosach i brunatnych oczach, który wypuścił kłąb dymu i położył papierosa na popielniczkę.

– Dlaczego? – spytał.

– Dlaczego? Do diaska – zaczął Valery podnosząc ponownie papierosa do warg – wiesz, co znaczyłoby dla istoty ludzkiej musieć tu zostać, zostać na zawsze? – Zaciągnął się papierosem i powrócił do tematu. – Tylko rzecz zaprogramowana właśnie w tym celu... chciałem powiedzieć rzecz, jakaś istota stworzona do takiego życia, może dać sobie radę. Tylko robot. Człowiek by zwariował. – Potrząsnął głową.

Towarzysz przypatrywał mu się oczyma czerwonymi jak rozżarzone węgle na białej twarzy z metalu i plastiku.

– Dlaczego? – spytał.

– Jak to, dlaczego? Do diaska – Valery uśmiechnął się – zwariowałby z samotności. Nie rozumiesz? – Zastukał papierosem o popielniczkę, a dym uniósł się w przestrzeń pustego pokoju, rozjaśnionego przez przygaszony neon. – Nie, nie możesz zrozumieć, nie zostałeś stworzony, by rozumieć. To dobrze, że tak właśnie jest.

Wstał, poklepał po plecach wyższego od siebie o kilka centymetrów robota i przekroczył uszczelnione drzwi prowadzące do pomieszczeń kosmonautów.

Towarzysz nadal stał; na jego wypolerowanym ciele odbijało się białawe światło. Samotność, pomyślał, czuć się samotnym.

Podrapał się w białą, plastikronową głowę. “Czuć się samotnym”. A co, może on nie był już sam? Może nie był jedyną w swoim rodzaju istotą? No cóż, nawet Valery był samotny, jeżeli o tym mowa. Czy on także nie był jedyną w swoim rodzaju istotą? Istotą samotną. A jeśli tak, to cóż go obchodziło, czy był samotny wśród tłumu, czy samotny wśród nikogo?

Valery zdaje się zażartował z niego. Chyba że... Towarzysz stał się podejrzliwy. Chyba że dotąd ukrywali przed nim jakąś wstrząsającą prawdę.

Tak. Robot wszedł do pomieszczenia dowodzenia bazą, przekroczył uszczelnione drzwi i zamknął je za sobą. Znalazł się na zewnątrz bazy, na zimnej i mrocznej równinie, w wiecznej nocy lśniących gwiazd.

Mała, czerwona latarnia błyszczała pośrodku równiny. Jej światło wskazywało obecność modułu lądującego, w którym pozostali czterej kosmonauci pracowali, by przygotować się do odlotu. Tylko Valery nie poszedł z nimi, gdyż bolała go głowa. Czułe na podczerwień oczy Towarzysza mogły dostrzec zarysowane na krawędzi krateru zarysy modułu i sylwetki kosmonautów, którzy schodzili po schodkach, kierując się w stronę bazy.

To był piękny wieczór, jedli, śpiewali, śmiali się komplementując się nawzajem za dobrze wykonane zadanie. Valery był naprawdę zadowolony, gdy Romanov, niski i krępy dowódca wyprawy, powiedział, że czas już iść spać, gdyż jutrzejszy dzień miał być dniem ostatnich prób technicznych i dniem odlotu, powinni więc być w formie.

Przez cały wieczór Towarzysz pozostał wśród nich, z rozżarzonymi, zdawałoby się nieczułymi, diabelskimi oczyma. Naturalnie nie jadł, nawet nie śpiewał, ale był tam, siedział między ludźmi, ich towarzystwo sprawiało mu przyjemność; tak jakby wszystkie obwody dobrze działały, tak jakby energia płynęła w jego ciele, spokojna i pełna życia.

Romanov życzył wszystkim dobrej nocy, Boris i Salasky poszli w jego ślady.

– No cóż, dobranoc, Towarzyszu – rzekł w końcu wstając Valery.

– Valery – powiedział Towarzysz – czy dzisiaj żartowałeś sobie ze mnie?

Człowiek uśmiechnął się. – Nie, skąd... Na jaki temat?

– Że człowiek czułby się tu samotny.

– Nie, do diaska, mówiłem całkiem serio.

– Więc ukryliście przede mną jakąś tajemnicę.

Valery spojrział na stół, pełen brudnych talerzy, otwartych butelek, i siedzącego robota, który mierzył go wzrokiem.

– Jaką tajemnicę?

– Wy, ludzie, nie jesteście jedynymi w swoim rodzaju istotami.

– Tak sądzisz?

– Tak. Gdybyście byli jedynymi w swoim rodzaju istotami, zawsze czulibyście się samotni, tak na pustyni, jak wśród tłumów.

– Co ty, u diabła, mówisz?

– Że prawdopodobnie jest ciebie więcej niż jeden. W tobie jest jeszcze dwóch, trzech, czterech... Valerych.

Valery podrapał się w nos; utkwiał wzrok w podłodze, ale zaraz spojrział na białego robota. – Słuchaj no – powiedział, – przybyliśmy tu razem, razem urządziliśmy tę bazę. Dam ci radę: nie pozwól, aby usłyszał cię Romanov. Powiedziałby, że zwariowałeś, i rozmontował. Dobranoc.

Dobranoc, dobranoc! pomyślał Towarzysz porządkując salę astronautów. Dlaczego Valery odpowiedział w ten sposób? Z pewnością czegoś nie dopowiedział. Przestrzegł, żeby nie mówić tego Romanowowi, bo ten kazałby go rozmontować!

Z pokoiw dobiegały odgłosy ciężkich oddechów, a czasem chrapnięć. Robot zakończył sprzątanie pokoju, usiadł (choć tak na prawdę nie odczuwał potrzeby) i podłączył się do gniazda elektrycznego, aby doładować baterie.

Valery kręcił się w pościeli, wewnątrz stacji kosmicznej, tego zagubionego świata. “Jeden Valery, dwóch Valerych, trzech Valerych”... Co, u diabła, chciał powiedzieć? Może to, że robotowi brak piątej klepki? Do diaska. Zastanowił się przez moment, czy nie byłoby dobrze ostrzec Romanova, ale prawie natychmiast z tego zrezygnował. Pomyślał o jutrzejszym dniu, o wyjeździe, o powrocie do domu, i wydało mu się, że czuje już przyspieszenie rakiety i wielką siłę, która wciska w fotel. Nareszcie wracali do domu, po wielu miesiącach spędzonych w pustce, pomiędzy gwiazdami, w tym ciemnym świecie. Wracali na swoją Ziemię, do śmiejących się dziewczyn i do zachodzącego latem chłodnego Słońca.

Czuł się szczęśliwy.

Romanov był już na pokładzie, włączył silniki, aby przygotować moduł do startu. Boris i Salasky wchodzili po schodkach. Tylko Towarzysz i Valery zostali pod gwiazdami, na zimnej i mrocznej równinie.

– No cóż, Towarzyszu, idę.

– Żegnaj, Valery – odezwał się elektroniczny głos.

– Bądź ostrożny, to bardzo ważna misja.

– Wiem.

– Pamiętaj, że jesteś tu, by kontrolować, obserwować, może wejść w kontakt... Aby odkryć największą tajemnicę.

– Wiem.

– Dobrze. Pamiętaj o ciągłym weryfikowaniu wszystkich funkcji bazy i stosuj się ściśle do programu.

– Oczywiście.

– Dobrze, a...

– Valery, cieszysz się z powrotu do domu – odezwał się nagle Towarzysz. Valery spojrzał w czerwone oczy automatu. W kasku słyszał głosy wtrącające się do rozmowy: to Romanov ponaglał go – okno na orbicie, przygotowane do przyjęcia statku, nie będzie na niego czekało.

– Cześć. – Wskazał palcem okrytym szczelnie rękawiczką. – Zbudowaliśmy ci ładną bazę.

– Tak, jest naprawdę piękna.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Mężczyzna poszedł w kierunku modułu, błyszczącego wszystkimi światłami – czerwonymi, białymi, błękitnymi – gotowego, by wznieść się do lotu. Wspiął się po schodkach. Raz tylko się obejrzał i pomachał ręką.

Towarzysz znał ten gest i sam uniósł białą, plastikową rękę, trzymając ją tak, póki nie zapłonęły silniki rakietowe, moduł uniósł się w ciemność i popędził w kierunku gwiazd, stając się małym światełkiem, takim jak inne.

Wtedy Towarzysz opuścił rękę i spojrzał na mroczną pustkę wokół siebie.

Do diaska, pomyślał.

1. Tytan

Miliardy lat. Miliardy lat olbrzymia planeta wisiała w przestrzeni wśród gwiazd, cicha i lśniąco-biała, wspaniała, jedyna w swoim rodzaju, świadoma swego wdzięku.

Wokół planety – opasanej błyszczącym pierścieniem, jak zaręczynowym pierścieniem, ofiarowanym na początku wszechświata – obracającej się wolno i majestatycznie, pospiesznie krążyły księżyce.

Miliardy lat. W odległych zakątkach wszechświata rodziły się gwiazdy, wyczerpywały swą energię, z błękitnych diamentów przeistaczały się w niewielkie rozproszone czerwone ogniki, mgławice zaś kurcząc się, dawały początek niezliczonym nowym gwiazdom... Miliony lat, od zawsze, wielka planeta dominowała nad mrocznym księżycem, nad lodową równiną znaczoną na horyzoncie szczytami gór, które przypominały blanki średniowiecznych zamczysk.

Mężczyzna zatrzymał się, by raz jeszcze spojrzeć na otoczoną pierścieniem planetę. Stał wbiwszy raki w zmrożony dwutlenek węgla i utkwiał wzrok w samotnym konturze błyszczącego nad ciemną pustynią giganta.

Samotność. W tym miejscu samotność była głęboka jak przepaść, sięgała aż po Pluton, łączyła wszystkich i wszystko: planety z gwiazdami; planety i gwiazdy z przestrzenią.

Heinz ukryty za bursztynowym wizjerem zamknął na moment oczy.

Słońce jaśniało na niebie i połyskiwało na falach, dzieci o opalonych skórze nurkowały w pianie, która zniknęła na parzącym stopy piasku, pomiędzy czerwonymi i żółtymi parasolami. Wszystko to działo się w błękitnym, letnim powietrzu... Heinz przymknął powieki. Niezgrabnie obrócił się na pięcie; wszystko wokół niego i ponad nim było nieruchome, skamieniałe, stało w miejscu, zastygłe, niczym nie zmacone. Na horyzoncie, ponad ostrymi szczytami, Słońce wydawało się dalekie i słabe, niewiele jaśniejsze od którejkolwiek z gwiazd.

Mężczyzna wsłuchał się we własny oddech; wskaźnik ciśnienia umocowany na nadgarstku wskazywał, że tlenu starczy jeszcze na piętnaście minut. W ciemności Heinz ponownie ruszył przed siebie. Niezgrabnie i trochę śmiesznie kroczył w kierunku rubinowych świateł, którymi oznakowano Przyczółek u szczytu góry lodowej. To było jego największe pragnienie, pomyślał. Teraz jest moim więzieniem, koszmarem, gwiazdą klatką.

Mała, metalowa kopułka, zwieńczona trzema wyraźnymi czerwonymi światelkami, wylaniała się z lodu. – Sezamie – szepnął Heinz do mikrofonu umieszczonego w kasku. Impuls radiowy włączył mechanizm, który powoli otworzył solidne drzwi. “Sezam, uśmiechnąłem się na myśl o tym słowie”.

Wejście zamknęło się za jego plecami, tlen wypełnił pomieszczenie; światła już się zapaliły. Heinz rozpiął i zdjął kask, odetchnął głęboko. Za każdym razem czynność ta sprawiała mu ulgę, dawała silne poczucie wolności. Czuł się tak jak zimą, w najchłodniejsze dni, gdy wieje północny wiatr, a śnieg nie pada z powodu zbyt niskiej temperatury; jak zimą, gdy wchodząc do domu zdejmuje kurtkę i szalik, i czapkę, i buty...

Zdjął kosmiczny kombinezon, zawiesił na haczyku, założył spodenki i koszulę.

Kolejne drzwi otworzyły się, znalazł się w przedsionku, a następnie w laboratorium, gdzie komputer zbierał informacje przesyłane z zewnątrz przez instrumenty. W tym pomieszczeniu, w czasie pierwszych tygodni, Heinz spędził długie godziny, całe dni, zafascynowany tańcem migoczących

świątełek, czerwonych, żółtych, zielonych; oczarowany obrazami z czterech ekranów, na stałe przytwierdzonych do centralnego stołu. Były to obrazy Kosmosu, zbliżenia Saturna, jego pierścieni i satelitów... Akurat w tym momencie na monitorze pojawiło się szare i podziurawione kraterami oblicze Mimas. Jestem znowu w domu, pomyślał z goryczą.

Ten Przyczółek, ostatnia w Systemie Słonecznym siedziba ludzka, oddalona o półtora miliarda kilometrów od Ziemi, był bazą naukową wykutą pod powierzchnią satelity. Heinz mieszkał tu samotnie od prawie roku. Usiadł naprzeciw monitora, ukazującego chropowaty obraz Mimas, podłączonego do Teleskopu Zewnętrzny Numer Jeden, najsilniejszego w tej bazie. Jego palce błyskawicznie przebiegły po klawiaturze. Na kilka sekund obraz zniknął, monitor pociemniał. Nagle ukazały się światła rozgwieżdżonej przestrzeni kosmicznej. Znowu zwinne palce musnęły klawiaturę, a gwiazdy zaczęły rzednąć wraz ze stopniowym wzrostem stopnia powiększenia... To chyba szczyt możliwości teleskopów Tytana. Siedział nadal przed monitorem, ze wzrokiem nieruchomo wlepionym w szklany ekran, jakby szukał czegoś, co znajdowało się poza obrazem, poza przezroczystym ekranem... jego myśli były nieobecne, umysł pusty jak pudełko po cukierkach. Tylko coś o wiele głębszego, w jego duszy, nadal poszukiwało, zduszone i wysmagane dramatem... Szukało i szukało... Nieracjonalne, oparte na intuicji. Chwiejny umysł zastąpiła nieświadomość, która nadal szukała...

“Franz, mały Franz, kochany, gdzie jesteś? Franz. mały Franz, mały...”

Nieregularność, która wkradła się do monotonnego szmeru generatorów, natychmiast zbudziła mężczyznę. Obraz na monitorze nie zmienił się, na ekranie nadal świeciły nieruchome gwiazdy. Między nimi, w samym środku, powinna błyszczeć błękitnobiała planeta. Heinz szybko przetaił palące, rozpływające się, słodko korodujące we łzach oczy. “Lepiej żebym o tym nie myślał, lepiej o tym nie myśleć. Nie ma, nie istnieje wytłumaczenie”. Walczył z uciskającym krtań skurczem, ze szlochaniem, lecz ból rósł nadal.

W tym właśnie miejscu powinna była znajdować się jego planeta, lecz dokładnie pięć miesięcy wcześniej błękitnobiała kula zniknęła, rozplynęła się w nicość nie pozostawiając śladu. Żaden przekaz radiowy, żadna eksplozja nie zakłóciła kosmicznego spokoju. Nie istniało żadne racjonalne wytłumaczenie. Od owych pięciu miesięcy teleskopy optyczne ściagały widmo, lecz w punkcie, gdzie powinna ukazać się Ziemia, królowały nieliczne, mdłe gwiazdy. Od pięciu miesięcy radar kierował swe ucho ku ciemnemu, lodowatemu niebu w niespokojnym poszukiwaniu jakiejś wiadomości czy głosu... Odpowiadały mu tylko zwariowane wyładowania pulsarów, pochodzące z położonych na krańcach wszechświata radiogalaktyk, których głosy narodziły się miliardy lat wcześniej.

Heinz późno zasnął w swym pokoju, patrząc na pozostałe puste łóżka. Kolejny już raz musiał zażyć środek usypiający.

Następnego dnia wyszedł na rutynowy spacer, lecz nie czuł się dobrze; dręczył go ból głowy, zmęczenie i ogólna niechęć. Szedł wśród ciemnych lodów, pod ogromnym, panującym na niebie Saturnem, wielkim i monotonnym, zawsze takim samym, aż w pewnej chwili poczuł strach. Znienacka ogarnął go niewytłumaczalny lęk. W głowie zaświtała mu absurdalna myśl – ktoś próbował go napaść od tyłu. Odwrócił się z sercem na ramieniu, lecz za plecami nie zobaczył nikogo. Nikogo. Tylko ciemność, światełka bazy i majaczące w oddali góry. Ale ze mnie głupiec, pomyślał. Przecież tutaj nikogo nie ma, nikt nie chciałby w to miejsce przybyć. Mieszkam tu tylko ja. Heinz, tylko ty żyjesz na tym przeklętym księżycu! Nikt nie może cię napaść, nikt!

Jakiegokolwiek dźwięki z Tytana, nawet gdyby takie istniały, były niedostępne dla uszu Heinza. W

kasku mógł słyszeć jedynie swój ciężki, niepokojący oddech.

Przeszedł jeszcze kilka kroków, lecz zaraz niezdecydowany stanął. Postanowił zawrócić w kierunku znajomych światła.

Gdy był już wewnątrz, pokoje wydały mu się jeszcze bardziej puste i zimne. Obserwował plastikową półkę nad łóżkiem, z leżącą na niej kolekcją kamieni, które zebrał na Tytanie. Poczł się trochę różniej. Na Ziemi te kamienie byłyby warte całkiem niezłą sumę pieniędzy.

Może je sprzedam, powiedział sobie, i zostanę bogaczem... A może nie będę nawet musiał się ich pozbywać, bo pensja Stróża Przyczółka pozwoli mi...

Był wściekły na siebie. Z całej siły uderzył pięścią w półkę. Plastik pękł, kamienie upadły na łóżko i poturlały się po podłodze. Zamknął powieki, zacisnął zęby i pięści. Kolejny raz dał się ponieść złudzeniom, śnił z otwartymi oczami. Ja chyba oszalałem, pomyślał. Musiał to sobie wbić do głowy: nie było już Ziemi, nie miał już rodziny. Możliwe, że nie istniał już statek, który miał go stąd zabrać. Był sam, zupełnie sam, i tak miało zostać na zawsze.

Przez cały wieczór był podniecony i niespokojny. Skontrolował instrumenty, usiadł w fotelu, próbował czytać, lecz drżały mu ręce, nie mógł skoncentrować się na lekturze. A teraz powracał nawet nerwowy tik w oku, powieki drgały, ale bardzo starał się powstrzymać mruganie. Człł się już zmęczony, wyczerpany walką choćby z jedną cząstką siebie samego. Samotność groziła mu już od dawna, czujna, czyhająca za progiem... Jak dotąd zawsze udawało mu się jednak zwyciężyć, wymyślić coś interesującego do roboty, byle tylko zająć uwagę, znaleźć wymówkę, by dalej żyć... Teraz był bliski poddania się, bliski nieuniknionej klęski, zbliżającej się wolno jak czarny, sapiący pociąg, podążający jedynym torem. Za miesiąc powinna przybyć zmiana, pomyślał, już tylko miesiąc, później ktoś inny zajmie moje miejsce.

Odkąd na Ziemi rozpętała się wojna, w laboratorium mieszkał tylko jeden technik, człowiek, który przez cały rok dozorował pracę instrumentów, zajmował się konserwacją i naprawą drobnych usterek. Zaraz na samym początku konfliktu, ekipa naukowców prowadzących badania na Tytanie została sprowadzona z powrotem na Ziemię, gdyż tu, daleko od centrum wydarzeń, ich mózgi nie mogły przydać się na wiele, natomiast na ojczystej planecie mogły wnieść duży wkład w sprawę Stanów Zachodnich.

“Wojna, wojna, potęga terroru, nauki na usługach mrocznej, niszczycielskiej cechy ludzkości.”

Ileż razy nad tym rozmyślał! Ile czasu spędził na rozważaniu, drażnieniu, teoretyzowaniu. Nigdy nie udało mu się tego pojąć. A potem... paf, pewnego pięknego dnia wszystko zniknęło, bez najmniejszego śladu czy błysku, w absolutnej ciszy...

Naszły go znowu wspomnienia: pamiętał ostatni przekaz wizualny z Ziemi, kiedy na ekranie pojawiła się jego żona, ubrana w białą sukienkę z żółtym motylem na piersiach... Ponownie zobaczył uśmiech kobiety, jej czarne włosy i dwójkę dzieci i po raz kolejny powrócił myślami do dnia, w którym zdecydował się stawić czoło temu przedsięwzięciu...

Był wrześnieowy wieczór, czarne chmury wisiały nisko, powietrze było czyste i przejrzyste dzięki silnemu i chłodnemu wiatrowi pędzącemu wzdłuż ulic peryferii, targającym plastikowymi butelkami i puszkami.

Jaki dziwny dzień, pomyślał, siedząc w pokoju dziennym Przyczółka, trzymając na kolanach książkę, pogrążony w odrętwieniu, prowadzącym do półsnu.

Pamiętał topole po obu stronach drogi i liście gnane po asfalcie rześkim tchnieniem jesieni. Jego

dom tkwił w połowie dziesięciometrowego cementowego bloku. Pamiętał, że wchodził po schodach, gdyż brakowało energii do wind; pamiętał też i to, jak się czuł, chwytając chromowaną gałkę u drzwi. Musiał udawać że jest wesoły, pamiętał to doskonale. Powiedział sobie, że musi wyglądać na zadowolonego. Tak naprawdę był wzruszony, targały nim sprzeczne uczucia: strach, ciekawość, smutek i zainteresowanie... Pięć pięter schodów odebrało mu dech. Znowu zobaczył, jak Valentina karmi dziecko, zobaczył siebie, mówiącego jej o tym, jak znalazł pracę, a potem pytania i mękę, z jaką wyjawiał prawdę.

– Wszystko poszło dobrze. Nie zwolnią mnie. – Heinz pamiętał, jak wymawiał te słowa z półuśmiechem i zobaczył jeszcze raz, jak Valentina patrzyła na niego, swymi czarnymi, szczęśliwymi oczyma, jak go obejmowała i promieniejąca odchodziła od niego na krok.

– Ależ to wspaniale – odpowiedziała śmiejąc się. Linie jej twarzy były rozluźnione, tak jakby radość odprężyła skórę i dodawała tęczówkom blasku. – To naprawdę wspaniale – powtórzyła chwytając jego dłoń. To właśnie ten moment. Heinz przypomniał sobie wyraz twarzy Valentyny, gdy stawała się coraz bardziej zaniepokojona, podobna do margerytki, która składa płatki kwiatu, w miarę jak Słońce zbliża się do horyzontu. Zauważyła cień na twarzy męża, jego przytłumiony uśmiech. Spytała, co się stało, a Heinz przypomniał sobie, że nie od razu odpowiedział żonie. Słowa napłynęły po chwili.

– Tytan – odpowiedział prosto z mostu i bez żadnych wyjaśnień.

W samotności, na Przyczółku opustoszałego satelity, Heinz przeżył te chwile ponownie, jakby przeszłość powróciła z królestwa zapomnienia i śmierci. “Tytan”. Przypomniał sobie ciemne oczy żony, niedowierzające, a później zranione tym, że zgodził się ich opuścić, zostawić ją samą z dwójką małych dzieci. Valentina spytała go, czemu w ogóle przyjął taką ofertę, lecz w pół słowa odwróciła się i poszła do bawiącego się na swym krzeselku małego Karla. I znowu ujrzał czarne, błyszczące, falujące włosy żony, i w tym momencie, w odległej bazie, poczuł niepokój i poczucie winy ciężące na żołądku, jakby dwoje stóp deptało i gniozło wnętrzności.

Pamiętał poważne, utkwione w ojca oczy dziecka, które wydawały się dorosłym takie śmieszne. “Tytan”. Valentina pytała, go dlaczego się zgodził. Heinz odpowiedział, że alternatywą było pozostanie bez pracy, ponieważ Kompania Astronawigacyjna na zlecenie rządu dała mu tylko tę jedyną możliwość. Wojna prawie sparaliżowała ruch handlowy. Kompania była w tarapatkach, ponieważ “tymczasowo” zarekwirowano większość statków kosmicznych, a poza tym trasy lotów stały się niebezpieczne. Coraz rzadziej startowały statki towarowe, i coraz rzadziej kierowały się ku koloniom na Marsie.

Valentina zapewniała go, że utrata pracy nie powinna go tak przerażać, przekonywała, iż zaciskając zęby daliby sobie radę, w każdym razie nie umarliby przecież z głodu...

Heinz uniósł książkę z kolan, otworzył ją i spróbował czytać, lecz nagły przyływ dręczących go myśli przerwał lekturę. Znowu zobaczył siebie, gdy wyznawał żonie prawdę, wszystko to, co zapewne ukrywał nawet przed samym sobą, to, co skłoniło go do podjęcia się tej misji. Pamiętał, ile wysiłku kosztowały go słowa, które jak skalpel otwierały jego duszę.

Powiedział, że prawdopodobnie motywy ekonomiczne stały się pretekstem, zasłoną, wybiegiem, którego chwycił się jego praktyczny umysł. Było to jednak coś zupełnie innego: fascynacja ideą, wizja powstająca w jego wyobraźni. Ach, Valentino! Do podjęcia tej decyzji, powtórzył sam przed sobą, nakłoniła mnie wizja przygody, myśl o podróży, fascynacja ideą, lodowym księżycem, tak bardzo dalekim, obcym, gdzieś tam na krańcach Układu.

Heinz gwałtownie rozprostował kolana, książka spadła na podłogę. Nagle ogarnęła go niekontrolowana złość, przed oczyma ukazała mu się żona, której wizerunek wtopił się w obraz złowrogiej tarczy lodowego księżycy. Przeklęty księżyc! pomyślał zaciskając pięści. Gdzież podziały się jego tajemnice, sekrety gwiazd i ślady starożytnych... Została tylko cisza i ciemność.

“Dlaczego chcesz jechać, zostawić nas tu samych?”

Wspomnienie zraniło go jak ostrze. Valentina zadała mu to pytanie owego odległego popołudnia, stoczywszy zwycięski bój z własną dumą. Właśnie w tym momencie do domu wpadł Franz, ich młodszy syn, w zabłoconej koszulce, dzierżąc w dłoniach piłkę.

“Odległe przestrzenie, nieskończona samotność... głód przygody... To, co na zawsze w sobie pogrzebałem, moje własne, młodzieńcze ja... O tak, właśnie tak mniej więcej wtedy mówił.

Wiele miesięcy później, siedząc z książką leżącą u stóp, w miękkim fotelu, w ciszy Przyczółka, Heinz pomyślał z gorzkim uśmiechem na ustach, że go oszukano, wystawiono do wiatru. Młodzieniec, który w nim tkwił, poprowadził go poślaczoną ścieżką pełną złudzeń, na której końcu była tylko pustka, ciemność i lodowaty chłód.

Teraz, pomyślał podnosząc książkę, nie miał nic. Zostawił rodzinę w nowym, pięknym domu z ogródkiem i pieniędzmi z jego rządowej pensji. Zostawił ją na planecie, na której w wirze walki pierwsze głowice nuklearne zdążyły już osiągnąć cel. Na błękitnobiałej planecie, z promiennym niebem i dolinami pokrytymi lasami. Na planecie, która przestała istnieć.

Wstrząśnięty, zdecydował przerwać potok wspomnień, gdyż nie czuł się na siłach, by ponownie przeżyć straszne chwile następnych dni. Starał się wtedy udawać spokój i pogodę ducha, gdy Valentina przyglądała mu się i nie mogła pojąć. Nie chciał ponownie przeżyć pożegnania, kiedy czuł w sobie rozprzestrzeniającą się nieskończoną melancholię i uczucie miłości, które szybko ulatywały jak opary równikowego oceanu, tworzące wysoko w górze coraz to rozleglejsze, jasne chmury...

Zaczął kartkować książkę. Była to powieść, którą kiedyś już czytał, lecz chciał zasmakować jej ponownie, gdyż wydawała mu się taka piękna, a akcja taka podobna...

Niespodziewanie rozległ się ogłuszający dźwięk wszystkich syren, a czerwone światła zaczęły migać.

Heinz poderwał się z fotela, a jego ciało pomknęło jak strzała, wystrzelona przez mocarnego łucznika. Pobiegł do sali dowodzenia, gdzie normalny błysk lampek kontrolnych zaćmiwała czerwien oszalałych świateł alarmowych, pulsujących jak jego własne żyły i skronie.

Alarm generalny włączył główny komputer, a centralny monitor nakazywał natychmiastowe włączenie aparatury nadawczo-odbiorczej. Heinz rzucił się do stołu kontrolnego radaru, pełen uczuć wzbierających jak rzeki wiosną rzeki – niepokoju i napięcia, strachu i nieokreślonej, ukrytej nadziei.

Mężczyzna włączył amplifikator. Syreny ucichły, czerwien lamp osłabła, przechodząc w zielonkawą poświatę. Na chwilę zapanowała absolutna cisza, w którą zaraz włączył się głos płynący z głośników, brzęczący, trzeszczący, jak diamentowa końcówka na starej płycie, i jakieś wściekle wyładowania.

Heinz nacisnął jeden przycisk z rzędu kolorowych guzików, Stał nadal na wprost wmontowanego w blat monitora, na którym graficznie odtwarzane były dźwięki i wyładowania, w czasie kiedy radar ulegał automatycznej synchronizacji, a amplifikatory zwiększały moc.

Minęło kilka sekund, a Heinzowi, któremu spotniały dłonie i tętniło w skroniach, wydawało się, że wychwytuje dźwięk, pojedynczy dźwięk. Pomyślał, że to niemożliwe, ale słabe głosy definiowały się coraz wyraźniej, wychwytywał je wśród przekazów z gwiazd i dalekich mgławic, głosy, które z

czasem rosły na siłę.

Wyteżył słuch, całe ciało miał nieruchome i spięte. Nagle z monitora zniknęły zwariowane wykresy znaków, wywołanych wyładowaniami, a pojawiły się zielone, drukowane litery. Heinz obserwował z niedowierzaniem pojawiające się pierwsze słowa.

– PRZYCZÓŁEK NA TYTANIE TU STATEK HYPERION NA KURSIE (wyładowanie)...
WSZYSTKO DZIAŁA NORMALNIE. DWADZIEŚCIA DNI DO WEJŚCIA NA ORBITĘ...
PRZYCZÓŁEK NA TYTANIE TU STATEK HYPERION NA KURSIE...

Teraz nawet ucho Heinza mogło wyłowić, wśród potężnych zakłóceń i szmerów, słaby głos, dryfujący na szumach pulsującego Kosmosu; głos bardzo słaby, ale ludzki. Po tylu miesiącach, pomyślał, stojąc pośrodku białej sali. Dwadzieścia dni, tak mówił przekaz; przybędą tu za dwadzieścia dni, powtarzał zarejestrowaną treść informacji, której słaby dźwięk rozchodził się po całej bazie, a szmaragdowe słowa widniały na monitorze.

W myślach Heinza powstał wzruszający obraz: widział, na tle niebieskiego nieba i migających zimnych gwiazd, statek kosmiczny krążący po orbicie wokół Tytana. Wyobrażał sobie dwóch ludzi ubranych w srebrne kombinezony, kierujących się w jego stronę na tle rubinowych światełek, świecących na murach Przyczółka. Pomyślał o wielkim Saturnie, który obserwowałby tę scenę, uroczysty i cichy, cholernie cichy.

Rok w samotności miał się ku końcowi. “Skończyła się, tak samotność dobiegła końca!” Pozostał nieruchomo na miejscu i pozwolił szczęściu zawładnąć całym ciałem i umysłem. Po tylu gorzkich miesiącach radość musnęła jego usta, mógł posmakować szczęścia. Radość rosła, aż do momentu, gdy Heinz uniósł rękę w sztucznym powietrzu. – Nie jestem już sam! – krzyczał do nieskazitelnie czystych, niemych ścian i tańczących świateł, trzymając pięść wysoko w górze.

Koniec, koniec, nareszcie nadszedł koniec, pomyślał. Zamknął oczy, ścisnął powieki, objął dłońmi twarz i zsunął się na fotel, stojący przed ekranem, utkwivszy wzrok na literach przekazu.

– PRZYCZÓŁEK NA TYTANIE TU STATEK HYPERION... PRZYCZÓŁEK NA TYTANIE... –
powtarzały bez przerwy szmaragdowe litery.

Pozostał tak, bez ruchu, bierny, a później szlochał, płakał jak mu się nie zdarzyło, odkąd był dzieckiem. Ronił łzy, te, które tłumił w sobie w momencie pożegnania z Valentina i dziećmi, i wtedy gdy jego statek zbliżył się do układu Saturna, i gdy zobaczył zawieszoną w wiecznej nocy planetę, jak szlachetny kamień oprawioną w mieniący się pierścień, z małymi, jasnymi księżycami dookoła... Łzy przerażenia i rozpacz z powodu zniknięcia Ziemi... Krople spadały z policzków na szary strój służbowy, stając się ciemną, mokną plamką.

Heinz przetarł oczy i policzki wierzchem dłoni i pomyślał, że najwyższy czas wysłać odpowiedź. Siedząc musnął klawisz nadawania, umieszczony wśród dziesiątek innych przycisków. Komputer zaprogramował synchronizację przekazu, zwiększając maksymalnie jego moc. Nad chromowanym przyciskiem zaświeciła się zielona lampka kontrolna i zapalił się drugi monitor wtopiony w blat stołu, wskazując gotowość aparatury emitującej. Siedząc w fotelu z rękoma na poręczach i z dwoma monitorami przed sobą Heinz wiedział, że w tym momencie może mówić, być wysłuchany przez inne żywe istoty, istoty ludzkie. Poczul się jak tama, wypełniona po brzegi słowami, pytaniami i uczuciami, w momencie, gdy otwiera się wąskie ujście.

Wszystko, powiedział sobie, musi być jak należy. Ścisnął wargi, odchrząknął i włączył przycisk łączności. Powiedział po prostu: – Tu Przyczółek na Tytanie. Statek Hyperion, odebraliśmy wasz komunikat, u nas wszystko w porządku.

Tę samą formułkę powtórzył trzykrotnie. Później czekał w napięciu, walcząc z nękającym go znowu tikiem. Starał się obliczyć, jak dużo czasu zajmie przekazowi dotarcie do tamtego statku. Dwadzieścia dni drogi, myślał w skupieniu, to mogłoby być około dwudziestu czterech milionów kilometrów, podróżując z prędkością sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Informacja dotarłaby do Hyperiona za półtorej minuty. Tyle samo czasu zajmie Hyperionowi udzielenie odpowiedzi. A gdyby tak cała załoga poszła spać... Heinz obserwował tablicę atomowego zegara. Co sekundę strzałka przeskakiwała od kreski do kreski. Osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia... W absolutnej ciszy wydawało mu się, że słyszy bicie własnego serca, pomieszane z miarowym dźwiękiem odmierzanych sekund... Czterdzieści pięć, czterdzieści sześć, czterdzieści siedem... Teraz myślał o odległym statku, o załodze, o Clarku Hamptonie, kapitanie, którego poznał w czasie podróży do Houston. Przypominał sobie mgliście tylko jego imponującą postawę i silny uścisk dłoni... Dziewięćdziesiąt siedem, dziewięćdziesiąt osiem... Odpowiedź przybyła po stu czterdziestu dwóch sekundach, skrzypiąca jak głos starego gramofonu: – TU STATEK HYPERION, OTRZYMALIŚMY WASZ KOMUNIKAT, ZNAJDUJEMY SIĘ O OSIEMNAŚCIE I PÓŁ DNIA DROGI OD TYTANA. NASZA PRĘDKOŚĆ WYNOŚI 60000 MIL NA GODZINĘ. OD DŁUŻSZEGO CZASU PRÓBOWALIŚMY NAWIĄZAĆ KONTAKT, LECZ MUSIELIŚMY BYĆ ZBYT DALEKO... OD MIESIĘCY NIE SŁYSZELIŚMY LUDZKICH GŁOSÓW POZA NASZYMI. ŻADNYCH WIADOMOŚCI Z ZIEMI. NIE WIEMY, CO SIĘ MOGŁO STAĆ...

Heinz odpowiedział, ale wydawało mu się to wszystko takie dziwne i nierealne. A jednak to była prawda: nawiązał kontakt, rozmawiał z ludźmi, rozmawiał z Clarkiem i jeszcze innym astronautą, Pierrem Godardem, Francuzem, którego znał tylko ze słyszenia. Heinz odpowiedział, że nie umie wytłumaczyć faktu zniknięcia Ziemi, i wspominał o swej dotychczasowej samotności, o radości z nawiązanego kontaktu.

Ci z Hyperiona mieli dla niego list od żony i zdjęcie dzieci. Rozmowa trwała trzy kwadranse, przecinana tylko krótkotrwałymi przerwami w dopływie sygnału. Po pożegnaniu Heinz na długo pozostał w fotelu, bawiąc się zamkiem kombinezonu. Później wstał, spojrzął na czystą salę, na dwa monitory komunikacyjne, teraz puste i na inne instrumenty na centralnym stole połączone z teleskopami: obrazy dalekiej eliptycznej galaktyki, pierścienia Saturna, kulistej sterty kosmicznych kamieni.

Wrócił do pokoju dziennego i wygodnie rozparty w fotelu podjął przerwana lekturę.

2. Alarm

Pierre pchnął figurę na siódme pole. Clark uśmiechnął się szyderczo.

– Musisz być dzisiaj naprawdę zły... – skomentował ironicznie. Był przekonany, że ruch, który wykonał Pierre, był zupełną pomyłką. Był to błąd, który pozwalał na ustabilizowanie losów meczu.

Po drugiej stronie szachownicy Clark przesunął czarną królową na pole numer siedem. Spojrzał na Pierre'a wyzywającym wzrokiem. Pierre miał błękitne oczy, piegi i rude faliste włosy. Cieszył się, ponieważ biedny Clark wylądował prosto w jego pułapce. Udał zamyślenie, nerwowo odchrząknął, czując wkradające się uczucie tryumfu. Walczył, by zachować chłodny wyraz twarzy. Po tym zwycięstwie wysuwał się na prowadzenie w Mistrzostwach Międzyplanetarnych, jak nazwali swój mały turniej, zapoczątkowany cztery miesiące wcześniej, po zniknięciu Ziemi. Ta rozrywka pomagała im choć trochę oderwać myśli od tego niewiarygodnego i niepokojącego wydarzenia.

Clark przegrywał dwoma punktami, sześć długości za nim był Ben. Ben rozczarował wszystkich: na początku wydawało się, że jest w stanie rozgromić obu towarzyszy podróży. Wygrał wiele meczy, nie zdradzając słabych punktów. Silny w obronie, bezwzględny w karaniu małych błędów, wydawało się, że Ben musi odnieść łatwe zwycięstwo. Tymczasem po kilkunastu grach wszystko zaczęło ulegać zmianom. Clarkowi udało się z dużym trudem osiągnąć pierwszy remis, a Pierre, w czternastym meczu, po raz pierwszy pokonał Bena. Od trzydziestego meczu tęgiej głowie udawało się zwyciężać bardzo rzadko.

Z drugiej strony, pomyślał Pierre, było to zupełnie normalne. Podczas gdy on i Clark uczyli się dostosowywać, Ben pozostał na poziomie, z którego wystartował. Na początku oni byli dobrymi graczami, dzisiaj mogli być uznani za doskonałych. Na początku Ben był wspaniałym szachistą, i takim właśnie pozostał. Taki to już ciężki los komputera.

Pierre spostrzegł, że się zdekoncentrował. Usłyszał tykanie zegara szachowego, stojącego obok szachownicy. Obserwował twarz Clarka. Kasztanowe włosy na jeża, ciemne oczy, masywna postura bardziej imponująca od jego własnej; przyjaciel utkwiał zadumany wzrok w szachownicy. Może, rozmyślał Pierre, zauważył pułapkę, do której miał zaraz wpaść.

Zapisał swój ruch w zeszycie, wyciągnął ramię, z lekka opalone przez sztuczne promieniowanie ultrafioletowe, chwytając figurę, którą wcześniej przesunął na pole numer siedem.

Wydawało się, że był to uzgodniony sygnał. Alarm włączył się natychmiast, ogłuszający dźwięk rozszedł się po całej bazie. Zaczęły migać duże czerwone lampki sygnałowe.

Pierre upuścił pionek na ósme pole i pobiegł wraz z przyjacielem do sali dowodzenia. Wszystkie światła były włączone. Biała oślepiająca jasność przyćmiewała słabe światełka kontrolne instrumentów, zostawiając miejsce tylko na czerwone sygnały ostrzegawcze. Clark nacisnął bez wahania przycisk wyłączenie alarmu i przycisk umożliwiający komunikowanie z Benem, wielkim komputerem, który dozorował wszystkie procesy zachodzące automatycznie na statku. Syreny i światła zostały wyłączone, pokój znowu oświetlały ciepłe, dyskretne światła słoneczne, a żółte, błękitne i zielone lampki kontrolne powróciły do swego tańca wzdłuż tablic.

Clark mówił wolno, by jego głos był zrozumiały dla czujników: – Ben, czy mamy kłopoty?

Drukarka zaczęła stukać, w tym samym momencie w pokoju rozległ się metaliczny, zimny, elektroniczny głos: – Awaria silnika napędu jonowego numer dwa. Powtarzam: awaria silnika jonowego numer dwa.

Clark błyskawicznie pisał na klawiaturze komunikacyjnej, jednocześnie głośno wymawiając pytanie: – O jaką awarię chodzi? Jaka jest istota szkody?

Dowódca spojrział na rudowłosego przyjaciela oczyma pełnymi niepokoju. Była to najbardziej delikatna faza podróży, zdawali sobie sprawę, że nawet niewielka trudność może pociągnąć za sobą poważne konsekwencje.

Dał się ponownie słyszeć elektroniczny pozbawiony cienia emocji głos, a drukarka zaczęła znów stukać.

– Eksplozja w rozdzielaczu elektromagnetycznym. Magnesy bezużyteczne. Prawdopodobna przyczyna – nagły wzrost temperatury i w konsekwencji przeciążenie.

Komputer skończył lakoniczną przemowę, drukarka przestała stukotać, w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

Pierre i Clark spojrzeli po sobie z niedowierzaniem. Clark wystukał na klawiaturze: – Czy informacja jest pewna?

– W stu procentach. Statek zaczął już zmniejszać ciąg opóźnienia, a siła ciężkości na pokładzie zmniejszyła się o 0,001 g.

Siedzieli cicho. Pierre puścił oczko do towarzysza podróży i powiedział żartobliwym tonem: – Jesteśmy w tarapatkach, przyjacielu. Jeżeli Ben się nie myli...

– Nie – przerwał Clark – nie myli się. – Znów pochylił się nad klawiaturą: – Benie, czy wyliczyłeś prawdopodobieństwo, że uda nam się zwolnić i wejść na orbitę Tytana?

– Obliczenia są w toku. Istnieje już oczywista odpowiedź: wiedząc, że generator nuklearny działa bez zarzutu, moglibyśmy podwoić moc jedyne go pozostałego silnika Castelli.

– Prawdopodobieństwo powodzenia?

– Chwileczkę.

Podnieśli wzrok do głośnika w oczekiwaniu.

– Prawdopodobieństwo niepowodzenia: 93,466 procent. Duże niebezpieczeństwo awarii drugiego silnika w wypadku podwojenia mocy.

Przez kilka chwil panowała zupełna cisza.. Pierwszy odezwał się Clark, dowódca Hyperiona.

– Fatalnie trafiliśmy, to naprawdę paskudna sprawa – powiedział.

– Właśnie.

– Siadę przy terminalu i każę Benowi sprawdzić wszystkie możliwości. Ty siadaj przy tamtym monitorze i postaraj się określić naturę szkody: musimy sprawdzić, co jest grane. Jeżeli będzie trzeba, opuścimy statek.

– Zgoda. – Pierre nie powiedział nic więcej. Usiadł przed monitorem terminalu, piegowate ręce o jasnej karnacji dotknęły kilka przycisków. Kamery skierowały się na zewnątrz, ku pustej, czarnej przestrzeni i stamtąd zaczęły badać kadłub statku. W tej właśnie chwili był rozświetlony przez czerpiące energię z generatora jądrowego potężne reflektory, które czyniły kadłub srebrzystym, powodowały, że stał się mieniącą wyspą wśród gwiazd i pustki.

– Jaki może być, twoim zdaniem, w aktualnej sytuacji punkt tolerancji silnika Castelli Jeden? – spytał Clark.

– Przy poborze energii 1,4 razy większym niż obecnie, prawdopodobieństwo wytrzymania wynosi 89,956 procent. Dla 1,6 razy większej prawdopodobieństwo spada do 50 procent.

- Czy przy przyspieszeniu odpowiadającym 1,4 możemy zostać przechwyceni przez Tytana?
- Nie.
- Czy możemy zostać przyciągnięci przez pole grawitacyjne Saturna?
- Nie, w żadnym wypadku.
- Jakie powinniśmy mieć minimalne opóźnienie, żeby wciągnął nas przynajmniej Saturn?
- Opóźnienie 1,8.
- Prawdopodobieństwo, że silnik nie ulegnie awarii?
- 19,680 procent.

Przy drugim terminalu Pierre rozkazał komputerowi włączyć przegubowy wypożyczalnik kamery A, która została wysunięta na około dwieście metrów od kadłuba. Przed oczyma mężczyzny, na ekranie, pojawił się cały okręt kosmiczny. Na rufie znajdował się generator jądrowy, który dostarczał energii elektrycznej dwóm silnikom jonowym Castelli, najpotężniejszym i najbardziej wyrafinowanym, jakie kiedykolwiek wyprodukowano na Ziemi. W ich wnętrzach gaz, zwykle azot, był bombardowany przez elektrony energetyczne. Otrzymane w ten sposób jony były oddzielane od innych cząstek przez rozdzielacz elektromagnetyczny, następnie przyspieszane przez pole elektryczne i wystrzeliwane z szaleńczą prędkością z dysz.

Pierre utkwiał wzrok w statku, myśląc z szacunkiem o mocy tej maszyny. Weszli na pokład Hyperiona, gdy znajdował on się na orbicie Księżyca, i po kilku dniach bezustannego przyspieszania przy jednostajnej sile grawitacji, statek kosmiczny wyrzucił ich z prędkością stu sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Dla Pierre'a, Pierre'a Godarda, lat trzydzieści cztery, kosmonauty floty wojskowej konfederacji Zachodniej, była to pierwsza, tak długa, wyprawa. Do tej pory ograniczał się do lotów łącznościowych pomiędzy stacjami kosmicznymi, krążącymi na orbitach Ziemi i Księżyca. Nigdy nie dotarł nawet do kolonii na Marsie.

Jego doświadczenie było ograniczone, a mimo to podjął się misji, zaciągnął się nawet jako ochotnik, ponieważ nie wytrzymał już napięcia, niepokoju, strachu, jakie świat chował w zanadrzu dla swych dzieci. Uciekł, tak, uciekł w niepokalaną przestrzeń kosmiczną, do niewinnych gwiazd, ku przygodzie. Nic nie zatrzymywało go na Ziemi. Niewielu przyjaciół, nieżyjący już rodzice, nie miał nawet żony.

Mężczyzna manipulując przyrządami, obserwował tę część rufy, na której umieszczony był drugi silnik Castelli. Kadłub wydawał się cały, lecz bliskie ujęcie wykazywało brak wylotu plazmy z dyszy, ponieważ Ben zupełnie zablokował drugi silnik dla uniknięcia ryzyka.

Ręka astronauty spoczęła ponownie na klawiaturze, a kamera B, zainstalowana na rufie, wysunięta została o kilkanaście metrów z kadłuba. Mężczyzna wydał Benowi nowy rozkaz. Kamera ukazywała teraz właz, otwierający się w okolicy silników. Jeszcze jeden rozkaz i ramię, unoszące kamerę, wprowadziło ją do wnętrza wygaszonego silnika. Pierre wcisnął przycisk – w strefie uszkodzonego separatora zapaliły się słabe światła.

Palce Clarka poruszyły się znowu na klawiaturze. Dłoń była wilgotna od potu, który oblepiał klawisze zwilżając je.

- Benie, czy obliczyłeś, gdzie się zatrzymamy, wykorzystując pozostały silnik z mocą równą 1,4 razy tej, którą wyzwała w tej chwili.
- Nie. Obliczenia są nadal w toku. To nie jest takie proste.

– OK. W takim razie oblicz także, gdzie zatrzymamy się, zwalniając z aktualną mocą jednego silnika.

– Dobrze.

– To jeszcze nie wszystko. Zbadaj ewentualne inne drogi ratunku, ujęte w twoim programie.

– Jest jedna, jedyna droga ratunku.

– To znaczy?

– Opuszczenie statku. Dotrzeć do minimalnej odległości od Tytana i odłączyć moduł lądujący.

– Ile wynosi minimalna odległość, na jaką podejdziemy do Tytana poruszając się z tą prędkością?

– Chwileczkę, proszę.

By nie przeszkadzać Pierrowi w jego pracy, Clark wyłączył głośniki. Komputer mówił teraz wyłącznie poprzez monitor i drukarkę. Kosmonauta tkwił w oczekiwaniu. Na ekranie pojawiły się jasnozielone, błyszczące litery i słowa: – 800 tysięcy 762 kilometry.

Odległość nie nastroczająca problemów, pomyślał Clark, wycierając dłonie o chustkę.

To była szansa. Na myśl przyszła mu willa, wysokie palmy, wiatr, podwodne rafy, a pod wodą... Jego własna willa, jego... Przegonił gwałtownie te obrazy. Skoncentrował się. Osiemset tysięcy kilometrów – szansa. Ale straciliby na zawsze statek i możliwość powrotu na Marsa, na małą kolonię na Marsie. Ocaliliby jednak życie. Ale cóż to za życie? Myślał o przygnębiających, mroźnych bezkresach Tytana, o spiczastych, lekko błyszczących szczytach.

Umarliby z nudów, tam na dole w Przyczółku.

– Mógłbyś rzucić okiem? – zawołał Pierre.

Clark schylił się, by móc obserwować ekran. Nie było wątpliwości, separator elektromagnetyczny był zupełnie nie do użycia. I nie do naprawienia.

– Nie można nic poradzić – mamrotał Clark.

– Obawiam się, że nie. Co ty na to, Benie?

– Co chcesz, żeby powiedział... Zaprezentował nam wszystkie możliwości, zasugerował mi nawet opuszczenie statku i próbę wylądowania modułem na Tytanie. Faktycznie, z tym nie powinno być kłopotów.

– Całe życie gnilibyśmy na Tytanie i nigdy nie dowiedzielibyśmy się, co stało się z Ziemią. Niezły interes.

– Poszukajmy alternatywy – westchnął dowódca.

Pierre utkwił wzrok w monitorze, który nadal ukazywał zepsutą część. – Nie rozumiem, jak mogło się to stać.

– Mogło i stało się. – Clark patrzył na niego zatroskanymi oczyma. – Można się było spodziewać awarii. Przez tę wojnę, pośpiech, nie zastosowali najlepszych materiałów, a nawet nie skończyli testowania i nie przeprowadzili dokładnie wszystkich kontroli...

Zielone światelko wskazało, że Ben posiada nowe dane do zakomunikowania. Clark nacisnął przycisk i włączył głośniki. Komputer zaczął mówić swoim normalnym, płaskim, naiwnym tonem. Naiwnym, pomyślał Pierre, gdyż wydawał się nie przygotowany na żadną okoliczność; nie odczuwał radość ani smutku, ani nawet spokoju, gniewu, radości...

– W sprawie odpowiedzi na twoje pytania, Clark.

– Proszę, mów, Ben.

– Zwalniając tak jak teraz, z jednym silnikiem, statek przestanie oddalać się od Słońca w momencie, gdy znajdzie się sto czterdzieści milionów kilometrów od Saturna. Wtedy, schwytyany przez Słońce na ekliptycznej orbicie, stanie się jego nowym satelitą.

– A poruszając się z opóźnieniem równym 1,4, jak teraz?

– Zatrzymałby się kilka milionów kilometrów wcześniej. 101 milionów kilometrów od orbity Saturna.

– Dziękuję ci, Ben.

Spojrzał bez słowa na stojącego obok, z rozczochranymi, rudymi włosami Pierre'a. Przyjaciel odwzajemnił spojrzenie.

– Co robimy? – spytał. Clark rozłożył ręce.

3. Pomysł – pięć lat później

Pomysł, potrzebował pomysłu. Ale to nie było takie proste.

Czym była fantazja? A zdolności twórcze? Znał doskonale definicje, były dobrze wyryte w jego pamięci. Fantazja: zdolność człowieka do snucia projektów i pomysłów. Wyobraźnia: wywoływanie w świadomości obrazów jakichkolwiek rzeczy.

Właśnie: wywoływanie w świadomości obrazów jakichkolwiek rzeczy. Mógł wywoływać obrazy wielu, wielu rzeczy. Wszystkich przedmiotów, które bezustannie się w nim gromadziły. Wszystkiego, co znał. Nie mógł wyobrazić sobie tego, co nie istnieje, tego, co nie stanowiło części jego doświadczenia. Intuicja, brakowało mu właśnie intuicji. Gdyby był człowiekiem. Oni na pewno mają pomysły. Wynalazki, jeden za drugim, bez przerwy, ale on...

Towarzysz wstał ze stołka i spojrzał na mebel: skonstruował go całkiem nieźle. Ale nie było to dzieło jego wyobraźni, po prostu skopiował fabryczny wyrób człowieka, który widział na Ziemi. Problemem Towarzysza była nuda. Został wysłany na tego mroźnego satelitę w dwóch celach: aby wykonać reliefy kartograficzne i... Drugie zadanie było naprawdę ciekawe, nie rozumiał do końca, dlaczego powierzono je istocie jego gatunku. Istniało wytłumaczenie, ma się rozumieć, jak najbardziej przekonujące: wysłanie człowieka kosztowałoby ze wszech miar więcej. Lecz Towarzysza męczyło dziwne odczucie, rodzaj emocji, mimo iż on, zgodnie z tym, co zapisane było w jego pamięci, nie mógł ulegać emocjom. Było to uczucie, które według ludzkich parametrów, można by nazwać niepokojem.

Towarzysz obserwował płaską ciemną powierzchnię brudnego lodu. Lodu, który od milionów lat nie błyszczał, pokryty pyłem antycznych meteorytów, niezliczonych fragmentów skał. Nagle przypomniał sobie Valery'ego.

Uniósł stołek z powierzchni lodu, w którym był częściowo zanurzony, złożył trójnóg i wsadził go pod ramię z nieskazitelnie czystego, białego plastikronu.

Spojrzał na gwiazdy, wypełniające czarne niebo. W tym świecie ciemności, pozbawionym atmosfery, gwiazdy wydawały się jedynymi żywymi istotami. Ich blask zdawał się rzucać wyzwanie ciemności.

Drugi Cel. Towarzysz uśmiechnął się i wprawił w ruch nogi. Przeklęty świat! pomyślał. Było tak zimno, że nawet wysiadał generator, przyśrubowany do klatki piersiowej. Konieczność zachowania we wszystkich obwodach ciała życiodajnej temperatury, zmuszało mechanizm do pobierania wielkiej ilości energii. Powodowało to, że Towarzysz mógł przebywać poza kopułą tylko przez kilka godzin. Nawet gdyby chciał, nie mógłby przeprowadzić systematycznego badania satelity. Posmutniał. Nie mógł obejść tego księżycy ani nawet wykonać badań kartograficznych i fizycznych, które miał w programie. Jediną rozrywką było wziąć stołek i usiąść na zmrożonej równinie. Siedzieć i godzinami obserwować gwiazdy.

Drugi Cel: to właśnie był drugi Cel. Towarzysz pokonał niskie wzniesienia, które dzieliły jego ulubioną równinę od stacji kosmicznej. Pośród ciemności kopułę oświetlał jeden biały reflektor; wielkie paraboloidy radarów zapewniały kontakt nawet z Ziemią. Rozkazy były jednak jasne: tylko zakodowane przekazy, i to tylko wtedy, gdy będzie coś naprawdę ważnego do zakomunikowania, w innym wypadku – cisza. Wyjaśniono mu, że były to środki ostrożności. Strapiony Towarzysz pomyślał, że ludzie zapomnieli o nim albo stało się nie wiadomo co. Od miesiący nie otrzymywał już

przekazów, a Ziemia zniknęła. Zupełnie unikał wzięcia w swe ręce inicjatywy: cóż ważnego miał do zakomunikowania? Nic, absolutnie nic.

Wszedł do kopuły, zamykając za sobą drzwi. Pewnym jest, że wysłanie samotnego, biednego robota w to straszne miejsce, było niezłą oszczędnością: żadnych problemów z atmosferą, ciśnieniem, ochroną przed promieniowaniem kosmicznym.

Pierwszą rzeczą do zrobienia było wyrównanie poziomu energetycznego. Zbliżył się do gniazdka i podłączył do niego ciało: pozwolił, by strumień elektronów płynął w obwodach, przywracając je do życia. Towarzysz odczuwał coś, co człowiek mógłby nazwać przyjemnością, satysfakcją.

Gdyby go ktoś zobaczył, zaśmiałby się pewnie na śmierć. Biały robot, przycupnięty na stołku pośrodku mrocznej, lodowej równiny, musiał przedstawiać absurdalny widok. Towarzysz zdawał sobie z tego sprawę, aczkolwiek... Aczkolwiek stołek podobał mu się, pozwalał czuć się mniej samotnie.

Drugi Cel: to właśnie to, śledzenie gwiazd... Nic lepszego nie potrafił robić. Instrukcje były takie niejasne! Odczuwał coraz większą nudę, brakowało mu bodźców. Co miałyby dostarczyć mu bodźców? Nieoczekiwane wydarzenie, seria nowych faktów, którym trzeba stawić czoło, ale tu nic nigdy się nie działo, zupełnie nic.

Nagle wszystkie obwody rozświeciły się. Intuicja!

Niespodziewanie, gdy obserwował firmament, Towarzyszowi przyszedł do głowy wspaniały pomysł. Podrapał się w plastikronową głowę. Kto lub co mógł stworzyć dla niego nowe bodźce? Oto klucz: samotność. Szperał w pamięci. Samotność: stan człowieka żyjącego z dala od innych osobników jego gatunku, fizycznie czy duchowo.

Pominąwszy to, że nie był człowiekiem, definicja pasowała doskonale. Samotność, melancholia, smutek. Brak bodźców, zamknięcie się w sobie. Analiza psychologiczna: zdawał sobie sprawę ze wzrastającej skłonności do autoanalizy. Był z tego zadowolony – jeżeli coś nie szło jak trzeba, był to jedyny sposób, żeby to odkryć. Przypomniawszy sobie rozmowę z Valerym, sprzed wielu lat, i nazwał siebie głupcem, ponieważ nie zrozumiał wtedy, że istota, właśnie dlatego, iż jest samotna, jedyna w swoim rodzaju, potrzebuje towarzystwa, aby osiągnąć pełnię, satysfakcję.

Cały czas obserwował gwiazdy: teraz na czarnym niebie dostrzegł półmroczną tarczę dwóch innych księżyców. Faktem było, że nie posiadał psychiki, przynajmniej zgodnej z wymaganiami logiki. A jednak... a jednak ją posiadał. Doświadczenie przeczyło programowi. Towarzysz poczuł niepokój.

Przewycięży nudę i samotność. Ludzie porzucili go pośrodku tej nocnej pustyni, ale on znajdzie w sobie siłę, by stworzyć coś, co... Towarzysz zrozumiał, że zrobił skok do przodu. Istniało słowo, które dotąd było jedynie pojęciem, lecz teraz stało się konkretnym doświadczeniem. Ten czasownik był kluczem do wszystkiego... Tworzyć. On został stworzony i sam zacznie tworzyć. Przez długie chwile myślał o tym zdaniu.

Oczywiście, praca zabierze mu wiele czasu, ale w tym miejscu, gdzie nic nigdy się nie dzieje, czasu mu nie zabraknie. Wydawało mu się, że przez chwilę energia tętniła w obwodach szybciej. To wina emocji, pomyślał.

Czasu mu nie brakowało, ale istniał jeszcze ciągle drugi Cel... Jego radzieccy ojcowie wysłali go aż tutaj w następstwie niepokojących obserwacji, które poczyniły czułe na podczerwień radioteleskopy zainstalowane na Księżycu. Nic konkretnego, tylko podejrzenie tajone przed resztą ludzkości. Z tego względu jego misja była ściśle tajna. Dziewięćdziesiąt miliardów kilometrów od

Słońca, gigantyczny ciemny obiekt, rodzaj planety, poruszał się po orbicie wokół naszej gwiazdy. Tajemnicza kula, która momentami była widoczna, momentami zaś znikąca, kula, której dane i pochodzenie były zupełnie nie znane. Ale to nie było wszystko.

Cóż mógł zrobić? Drugi radioteleskop bazy bezustannie skierowany był na obiekt, dzięki zaś teleskopowi optycznemu czasami można go było ledwo, ledwo dostrzec... Tak więc Towarzysz zdecydował prowadzić swe obserwacje po prostu badając niebo i oczekując, że coś się wydarzy.

Cokolwiek się miało zdarzyć, czasu było dużo.

Przede wszystkim musiał pokonać samotność, biorąc pod uwagę fakt, że może będzie musiał oczekiwać dziesiątki lat, a może wieki... Zeskoczył ze stołka, stopy dotknęły lodu o barwie popiołu. Złożył trójnóg, wsadził go sobie pod ramię, i ruszył przed siebie. Gdyby miał usta, uśmiechnąłby się pod tym czarnym, gwiazdzistym niebem.

Czuł, że istnieje. Czuł, że istnieje: tak, to były odpowiednie słowa. Słyszał, czuł, więc istniał. Poszperał w zakamarkach pamięci, przebył ciasne zaułki, zakręty i tunele, w których kruche antyczne stalaktyty ociekały błyszczącymi, wodnymi perłami, padającymi w krystaliczne studnie i rozbrzmiewające echem w ciemnościach jak senne uderzenia odległych godzin.

Zatrzymał się. Starał się myśleć i zaraz ruszył dalej, poprzez jaskinie, pieczary i korytarze. Wszedł do ogromnego pokoju, rozświetlonego blaskiem przypominającym zmierzch, o suficie i ścianach wymalowanych freskami. Malowidła tańczących dzieci, strumieni i śmiejących się dziewczynek, odrapane tu i tam, o przygasłych barwach, pokrywały ściany. Nad wszystkim dominowało wielkie czerwone słońce.

Uklęknął i drżąc ujrzał, jak zakurzona pokrywa unosi się, a szkatuła zdobiona porzewiałymi guzami otwiera się pośrodku sali.

Wszedł z niej nieuchwytny chochlik o niewyraźnych kształtach, obsypany klejnotami. Chochlik wyskoczył na zewnątrz i pobiegł ku ciężkim drzwiom. Zapomniał je zamknąć. Wolny, biegł przez korytarze jego umysłu, a delikatne światełko biegło razem z nim. Chochlik przyspieszył, wiedział, że żyje. Wiedział, że żyje. Był żyjącą istotą.

Niespodziewanie uzmysłowił sobie, że poza nim istnieje coś innego. Nie otworzył oczu, ponieważ ich nie miał. Jeszcze nie zrozumiał wszystkiego dokładnie, ale istniały kanały, którymi docierały do niego informacje. Tą drogą dotarła do niego pierwsza wiadomość: poza światem, który był w nim samym, światem, którym był on sam, żył jeszcze inny wszechświat, na zewnątrz jego świadomości.

Ubrany w diamenty chochlik kontynuował swój bieg w dół i w górę jego umysłu, i badał każdą drogę, i każdy zaułek, wciskając się w najciemniejsze i najbardziej ukryte zakamarki. Biegł i wszędzie tam, gdzie szedł, rozsypywał błękitny proszek, z którego był stworzony. Smuga unosiła się, oświetlając najgęstsze ciemności. Uczył się krok po kroku. Istniał świat wewnętrzny, którym był on sam, i istniał świat zewnętrzny, który miał związek z jego osobą. Wiadomości nadal płynęły poprzez tajemnicze kanały. Informacje sumowały się z tymi, które były już do dyspozycji jego umysłu. Nauczył się, że kanały, które łączyły go ze światem zewnętrznym, nazywały się zmysłami. Wiedział też, że on sam został stworzony. Stworzony! Chochlik zwariował. Biegł tak szybko, że stawał się niewidoczny. Wydawało się, że był wszędzie jednocześnie. Poczł dziwne, silne wrażenie, a gwiazdny pył, który rozjaśniał umysł, stawał się coraz jaśniejszy. Później chochlik wstrzymał swój bieg, przekroczył próg zwieńczony łukiem i znalazł się w sali usytuowanej pośrodku wszystkich arterii. Wspiął się na trzy stopnie i zasiadł na tronie z kwarcu. Zaczął błyszczeć, błyszczeć jak

gwiazda. On został stworzony przez kogoś.

Zmysły ukazały mu świat zewnętrzny, a były tam ściany, meble i urządzenia. Przed nim zaś stał biały przedmiot o dziwnych kształtach: miał około półtora metra wysokości i był o wiele wyższy od niego. Z centralnej puszkii wychodziły cztery rury. Dwie z nich szły z góry, pozostałe – ku dołowi. Pośrodku dwóch wyższych rur wyrastała mniejsza puszka, która przewyższała tę środkową. Poznał rzecz, którą miał teraz przed sobą. Była to żyjąca istota, tego samego typu co on. W pamięci miał zapisany pewien detal: on został stworzony przez tę istotę.

– Ale dlaczego to zrobiłeś?

Towarzysz spojrział na pudełko, pełne pozytronowych obwodów, i na wózek, na którym było ułożone. Pomyślał, że odpowiedź na to pytanie była zbyt prosta.

– Uczyniłem to, gdyż czułem się samotny – powiedział – potrzebowałem kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, wymienić poglądy. Jakby to powiedzieć... nudziłem się, kiedy byłem sam, gdyż ten świat pozbawiony jest jakichkolwiek bodźców. Nie jestem pewien, ale może nawet cierpiałem z powodu samotności.

Pudełko nie odpowiedziało od razu. W ciągu kilku sekund w obwodach powstały setki i tysiące myśli.

– Rozumiem. I to właśnie z tego powodu mnie stworzyłeś.

Ponownie nastąpiła cisza, a Towarzysz pomyślał, że trzeba by poprawić urządzenie foniczne: głos, jaki wydawało z siebie pudełko, był zbyt metaliczny, zbyt zimny, a poza tym wydawało się, że ma wadę wymowy.

– Słuchaj – powiedział Towarzysz – czy chciałbyś mieć imię?

– Pewnie.

– Podobałoby ci się imię jakiejś planety?

– Uran? Czemużby nie?

– Dobrze, w takim razie nazwę cię Uran.

– Ty nazywasz się Towarzysz: zostałeś skonstruowany na planecie Ziemia – przez ludzi.

– Ścisłej mówiąc, przez konfederację Wschodu, przez Rosjan, którzy stanowią lepszą część ludzkości. W porządku, widzę, że obwody w twojej pamięci działają bez zarzutu.

– Cieszę się z tego – odpowiedział zanadto metaliczny głos. – Jeszcze jedna rzecz nie jest jasna.

– Co takiego?

– Co teraz, kiedy jest nas dwóch, będziemy robić?

Uran nie okazał się duszą towarzystwa. Przez prawie cały czas przebywał na zewnątrz, uruchamiał swój wózek, i dlatego Towarzysz widywał go jedynie wtedy, kiedy Uran musiał odnawiać zapasy energetyczne.

Towarzyszowi nie udało się rozwiązać swego problemu. Kusilo go, by zbudować drugiego przyjaciela. Musiał jednak porzucić ten pomysł, z braku odpowiednich materiałów, a poza tym... jakież mógłby mieć z niego pożytek?

Tym razem jednak Uran przesadził. Nie pokazywał się już od dziewięciu godzin i w każdej chwili mógł skończyć mu się zapas energii.

Towarzysz patrzył na ciemną panoramę lodu rozpościerającego się przed kopułą. Gdzież się podział ten niewdzięcznik? Dobrze mu tak, pomyślał. Dlaczego mnie stworzyłeś? Co my tu marny do roboty? Trzy czy cztery pytania, nic więcej. Później prawie w ogóle nie rozmawiali. W ciągu tygodnia zapytał jedynie o kilka wyjaśnień natury fizjologicznej: o sposób ładowania, odporność na zimno i promienie kosmiczne, itp.

I włączył się. Wracał, doładowywał zapas energii i na nowo wychodził. Owszem, powiedział, że bada, że szuka, szuka... ale więcej ani słowa. Towarzysz utkwiał wzrok w poszarpanym brzegu odległego krateru, zastanawiając się, jaki błąd popełnił programując go.

Myślał, że Uran był tępy. Nie pojmował przecież wszystkiego w mig. Kiedy tłumaczył mu sposób, w jaki został stworzony, Uran wydawał się nie dowierzać. Mówił, że to była prawda, że wierzy, ale tak naprawdę życie zostało mu dane przez chochlika, a nie jakieś tam obwody.

– Chochlik! – mrucał pod nosem Towarzysz – czy robot ze wszystkimi obwodami na miejscu byłby w stanie wymyślić taką historyjkę? Westchnął. To przeznaczenie zdecydowało, że musi pozostać sam w tym nudnym i martwym świecie. Przypomniał sobie Valery'ego. Pomyślał, że Valery był jego przyjacielem, tęsknił za nim. Robiło się zdecydowanie zimno i zbliżała się burza magnetyczna. Robot spojrział na roztaczającą się przed nim pustkę i wyobraził sobie leżącego pośrodku mrocznej równiny małego Urana pozbawionego energii. Odwrócił się, wszedł do kopuły i zamknął za sobą drzwi.

Wózek działał bez zarzutu. Elastyczne wałki zapewniały w miarę dobrą styczność ze zmrożonym gruntem i pozwalały pokonywać przeszkody z pewną łatwością.

Dotarł do brzegu krateru i zbadał wzrokiem rozpościerającą się aż po drugą stronę dolinę. Na jej dnie leżały sterty wielkich kamieni, które dziurawiły w wielu miejscach zmrożoną powierzchnię.

Podniósł głowę ku niebu, a jego zmysły odkryły, wysoko nad horyzontem, obecność tarczy Urana i towarzyszące jej tysiące gwiazd.

Począł powoli schodzić po pochyłości zbocza, które prowadziło do równiny na dnie krateru, uważając, żeby się nie poślizgnąć. Dotarł do pierwszego głazu. Małutki Uran obserwował go z uwagą i szacował, że kamień musi być dziesięć razy większy od niego.

Obszedł go dookoła, zeskrobując tu i tam kawałki zlodowaciałej skorupy jedynym teleskopowym ramieniem, jakie miał do dyspozycji. Zbliżył się do drugiego głazu i powtórzył wszystkie czynności. Tak samo postąpił z trzecim, czwartym i ze wszystkimi innymi. Na końcu uniósł ostatni kamień. Zerknął pod jego spód, ale nic nie zauważył.

Tak więc, nawet tutaj nie ma śladu chochlika.

4. Żart

Ogromny Saturn jaśniał nad horyzontem, ponad przygnębiającymi szczytami gór. Jego blask rozchodził się w rozrzedzonym powietrzu księżycy, lekkim powietrzu z metanu i gazów, nie nadających się do oddychania. Wydawało się, że niebo porzuci swą naturalną czerń przybierając o wiele miłszą barwę, może podobną do koloru otwartego oceanu, kiedy to na tafli wody odbija się zachmurzone niebo, bez cienia błękitu.

Jeszcze kilka dni, pomyślał Heinz, więzień skafandra, a potem nigdy więcej, nigdy.

Gęsta, obca mgła uniosła się szybko, zakrywając częściowo horyzont. Rozprzestrzeniła się jak potwór o niewyraźnych kształtach. Skierowała się do przybyłego z Ziemi astronauty, który się cofał. Amoniakowe stworzenie szybko, bezlitośnie wchłaniało wszystko, co znajdowało się wokół niego. Potem, tak jak zawsze, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, mgła nagle zniknęła. Człowiek w kosmicznym kasku uśmiechnął się i przymknął oczy. Przed jego obliczem powstał, jeszcze niewytłumaczalny, obraz wielkiego lądującego modułu, który schodzi do lądowania na tle ciemnego nieba i opada na tę nareszcie żywą równinę, która odbija żółte, czerwone, zielone światła... Jak karuzela, jak wspaniała karuzela... I ojciec. Heinz czuł się jak małe dziecko, które wyczekuje wieczoru, gdy wybiegnie na spotkanie ojca i płacząc rzuci mu się na szyję i opowie o tym, co w czasie dnia zrobili mu źli ludzie.

Samotność miała się ku końcowi. Jeszcze kilka dni, bezustannie powtarzał sobie Heinz, idąc w kierunku Przyczółka.

Dodarł do służby ciśnieniowej, zdjął kask, parsknął i pogwizdując, skierował się do kuchni. – Na honor absurdu! – powiedział. – Najsamotniejszy człowiek we wszechświecie robi sobie wspaniałe ciasto.

Tort powinien być gotowy. Heinz przeszedł przez pograżony w ciemnościach pokój dowodzenia, gdzie na tablicach mieniły się światełka. Wydawało mu się, że poczuł zapach: wszedł do kuchni i otworzył piecyk. To był zapach cukierenki. Heinz przymknął oczy i głęboko wciągnął powietrze.

Przełożył tort na talerz. Był to zwykły okrągły biszkopt. Człowiek kosztował go powoli rozkoszując się cukrem i miękkim, smakowitym ciastem. Znów zamknął oczy i w marzeniach wyruszył w podróż do domu, do dzieciństwa, do dni, w których świat wiedział, co to dobrobyt. Pomyślał o swej matce, ujrzał ją w białym fartuchu, w długich i cichych korytarzach szpitalnych, gdy schylała się z uśmiechem. Widział jej błękitne oczy.

Przyszedł mu na myśl jego ojciec, bracia, a później myśli przyprowadziły go do ich nowego domu, wraz z Valentina i dwójką dzieci... Nadal wolno przeżuwał, ale ciasto wydawało się mniej słodkie. Natknął się na ciągle nękającą go myśl: co stało się z jego rodziną? Co się w ogóle stało?

Otworzył oczy i spojrzał na biszkopt. Chryste, wróci na Ziemię, uda mu się! Odnajdzie Valentine i rozpocznie nowe życie.

Obserwował zegar znajdujący się naprzeciw niego. Zdał sobie sprawę, że wyznaczona godzina połączenia radiowego z Hyperionem minęła pięć minut temu. Zegar wskazywał szesnastą pięćdziesiąt (czasu ziemskiego).

Przyszło mu na myśl, żeby samemu wezwać statek, ale odrzucił ten pomysł, ponieważ jeżeli Hyperion nie skontaktował się z nim, to oznaczało, że Clark i Pierre mieli coś do roboty. Wstał,

odłożył tort do spiżarni i wrócił do sali dowodzenia, aby dokonać rutynowych kontroli. Zatrzymał wzrok na wspaniałym obrazie, który wyświetlał monitor połączony z teleskopem numer dwa, obrazie galaktyki M 81, w gwiazdozbiornie Wielkiej Niedźwiedzicy. Cudowna spirala, odległa dziewięć milionów lat świetlnych od Drogi Mlecznej.

Heinz nacisnął przycisk powiększenia i obraz automatycznie ukazał się o wiele bliżej. Na monitorze pojawiały się niektóre gwiazdy wchodzące w skład galaktyki: były to czerwone supergiganty, gwiazdy powstałe z rozrzedzonej materii, gwiazdy o średnicy trzysta razy większej od naszego Słońca... Nagle rozległ się ostry sygnał z odbiornika radiowego. Heinz zerknął na zegar: wzywali go z dwudziestominutowym opóźnieniem. Przeszawił przełącznik, dając wolną drogę dla nadchodzącej informacji, i oczekiwał. Z głośników nie popłynęła żadna wiadomość, ani jedno słowo. Dwa razy musnął przycisk – cisza. Nie było słychać słów ani też sygnału wezwania rozmowy. Interferencje, pomyślał, to muszą być interferencje, jakieś wewnętrzne wyładowanie elektryczne czy też poza bazą. Albo – Heinz uśmiechnął się – ci ze statku kosmicznego zrobili mu kawał. Odetchnął i przestał kontrolować, czy wszystko w sali dowodzenia jest w porządku. W końcu podszedł do klawiatury komputera i sformułował rutynowe pytanie:

– Bit, czy wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku – pojawiło się na monitorze.

Wszystko dobrze. Heinz pomyślał, że może sobie pozwolić na lekturę i odrobinę dobrej muzyki, rozłożywszy się wygodnie w swoim pokoju. Ciche akordy Strawińskiego rozchodziły się po pomieszczeniu. Mężczyzna wziął do ręki Narcyza i Goldmunda, powieść, którą czytał już po raz trzeci.

Znowu usłyszał wezwanie. Odłożył książkę do biblioteczki i podszedł do odbiornika. Musnął ten sam przycisk co zwykle i czekał. Nic, żadnego głosu. Pomyślał, że to nie mogły być znowu interferencje. Przez chwilę był ponury, ale zaraz uśmiechnął się, myśląc, że to pewnie ci z Hyperiona zdecydowali się zrobić z siebie pajaców. Powiedział sobie, że zagra w ich grę i teraz on wezwie statek kosmiczny.

– Przyczółek na Tytanie wzywa statek Hyperion. – Wiadomość wysłana przez wielką, paraboliczną antenę przebyła miliony kilometrów.

Odpowiedź nadeszła punktualnie.

– Tu statek Hyperion. Słyszemy cię. Wybacz nasze roztargnienie, powinniśmy byli wezwać cię ładny kawałek czasu temu, ale mamy tu kilka niespodziewanych przeszkód.

Heinz w myślach przeklął swego rozmówcę. Ale się ze mnie nabijają. – Niepokoję się – powiedział, jakby nigdy nic. – Otrzymałem dwa fałszywe wezwania i wydaje mi się, że to jakieś dziwne interferencje albo uszkodzenie nadajnika.

– To naprawdę dziwne, Heinz – odparł dowódca. – Postaraj się skontrolować aparaturę, bo na tej długości fal interferencje są prawie niemożliwe.

– Myślicie, że to może Kosmiczny Duch?

Ludzie z Hyperiona zaczęli się śmiać, a ten daleki, trzeszczący dźwięk wydał się Heinzowi tak upiorny, że mógł wywołać drżenie. Mimo to zdecydował się grać dalej swoją rolę. – Dobrze skontroluję – powiedział – wezwę was zaraz, jak będę coś wiedział.

– Zgoda. W każdym razie usłyszycie się o dwudziestej.

– Dobrze. Życzę miłego popołudnia.

– Nawzajem, Heinz.

Rozmowa wygasła, a Heinz nadal patrzył na nadajnik.

Żarty już się więcej nie powtórzyły, a rozmowa o dwudziestej była bardzo przyjemna, mimo że obcy kosmonauci wydawali się być zmartwieni czymś, czego nie wytłumaczyli.

Heinz umył dokładnie zęby i włożył piżamę. Było to przyzwyczajenie, które wiązało go z życiem codziennym na Ziemi. Wyregulował termostat, aby otrzymać nocną temperaturę piętnastu stopni, i wsunął się do łóżka. Światła zgasły, pogrążając bazę w ciemnościach, osłabionych jedynie przez blask światełek kontrolnych, i w ciszę ozdobioną cichym szmerem.

Heinz ziewnął, pomodlił się i zamknął oczy.

Wtedy ponownie nadeszło wezwanie. Zabrzmiał natarczywy dźwięk, Heinz wyskoczył z łóżka potykając się o kołdrę. – No tego już za wiele! – powiedział.

Zapalił światła. Chłodny pot zwilżył mu dłonie i skronie i poczuł, jak falują krótkie kasztanowe włosy. Strach chwycił go rozpaloną dłonią, słyszał jakiś głos. Głos, który nie należał do istoty ludzkiej.

5. Trzęsienie ziemi

– Mmmmuoiannnoooooirnmhhh... – ten głos... Nic, co mógłby zrozumieć, nawet jednego słowa. Ale był to głos, a nie jakiś zwykły dźwięk: tego, pomyślał Heinz, był pewien.

Od razu był tego pewien, zaraz gdy włączył odbiornik. Głos mówił do niego przez długie sekundy, nie mówiąc jednak nic zrozumiałego, a jednak...

W momencie, gdy pojazd gąsiennicowy pokonywał rów, Heinz podskoczył w kabinie kierowcy. Przezroczysta kopułka kabiny pozwalała mu obserwować horyzont wokół siebie – lodowe góry o ostrych szczytach, potoki płynnego metanu.

W niektórych miejscach trzeba było bardzo uważać, warstwa lodu i metanu mogła się zmniejszyć, odkrywając nie skały, lecz roztwór wody i amoniaku. Płyn ten wydobywał się z wnętrza Tytana, gdzie temperatura zbliżała się, a nawet przekraczała wartości występujące na powierzchni ziemskiej.

Pojazd ten był jednak jak śnieżny kot: ogromne giętke gąsiennice przystosowywały się do każdej sytuacji. Głos przemówił do niego, nie wymawiając słów w ludzkim języku.

Do umysłu Heinza, mimo że nic nie rozumiał, wkradło się wrażenie, nawet przekonanie. Jakieś wezwanie: w jego myślach, krok po kroku, powstało wrażenie jakby wezwania. Uśmiechnął się nerwowo sam do siebie. Potem głos zanikł i natychmiast zabrzmiał alarm w Przyczółku: trzysta kilometrów stąd coś uszkodziło kamerę i teleskop bazy numer jeden. Przypomniał sobie, że dokonał kontroli wszystkich instrumentów. Sejsmograf wykazał wstrząs sejsmiczny właśnie w okolicach tej stacji, a dysk magnetyczny komputera zarejestrował wszystkie wahania.

Heinz prowadził pojazd stosując się do sygnałów radarowych, które jeszcze docierały z bazy numer jeden. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił decydując się podjąć tę podróż. Zapomniał nawet zostawić nagraną wiadomość, wezwania Hyperiona pozostaną bez odpowiedzi. Kto wie, co by sobie pomyśleli dwaj kosmonauci. Nie było to aż tak istotne, pomyślał Heinz po pewnym zastanowieniu. Przecież będzie co najwyżej o dwadzieścia godzin drogi od Przyczółka, mniej niż dzień.

Włączył autopilota i opuścił kabinę kierowcy. Otworzył hermetyczny właz i zszedł na dół, do pomieszczenia dziennego, do kwadratowego pokoju trzy na trzy metry, ze światłem, wodą i zapasem tlenu na cały tydzień. Rozciągnął się wygodnie na koi. Obliczył, że pojazd dotrze w okolice bazy za siedem, osiem godzin. Jeszcze raz pomyślał o rodzinie, o przyjaciółach z Ziemi i poczuł, że coś ściska go za gardło. A wkrótce usnął w ramionach gąsiennicowego “kota”, sunącego po lodach Tytana.

Otworzył powieki i usiadł. Oczy zaszyły mu mgłą i poczuł, że kreci mu się w głowie. Kilkakrotnie mrugnął powiekami, a potem przetarł oczy. Po chwili był już w stanie skoncentrować się. Zobaczył kabinę i przypomniał sobie, że podróżuje do bazy numer jeden. Podróżuje... To dlatego nie mógł sobie tego od razu uzmysłowić! Nie miał żadnego wrażenia ruchu... Gąsiennicowy “czołg” stał w miejscu.

Bez zbędnej ostrożności wspiął się po schodkach i zaczął odkręcać śruby zabezpieczające właz, który prowadził do wieżyczki kierowcy, ale śruby okazały się zbyt odporne. Heinzowi przyszło do głowy, by spróbować otworzyć właz automatycznie; zszedł po schodkach i zbliżył się do pulpitu rozdzielczego.

Znów zaczął go dręczyć nerwowy tik. Skierował dłoń do przycisku, lecz zatrzymał ją nagle w pół drogi. Gdyby wydarzył się wypadek, a kopułka kierowcy została roztrzaskana, po otwarciu włazu

całe powietrze by uciekło, ustępując wdzierającej się próżni, a on sam... wybuchłby, rozleciał się na tysiące kawałeczków.

Wsunął się w skafander, przycisnął guzik i wspiał się po schodkach. Uniósł lekko włącz, by zbadać ewentualną utratę powietrza: wszystko było w porządku, wszedł więc do wieżyczki. Przed jego obliczem, na tle gwiazd, rysowały się kontury Bazy Numer Jeden. Ależ ze mnie dureń! Pojazd dotarł na miejsce kilka minut wcześniej i po prostu zatrzymał się. Wszystko normalnie. On zaś dał się ponieść napięciu i wymyślał niestworzone rzeczy... Zachmurzył się na samą myśl o tym. Wprawił ponownie w ruch swój pojazd i zbliżył się na ile tylko można było do bazy, której fioletowe światła pozycyjne świeciły w ciemnościach. Sprawdził całe swoje wyposażenie: pasy, zapas tlenu, poziom energii, zapięcia.

Włączył urządzenie wypuszczające powietrze i w wieżyczce zapanowała próżnia. Nacisnął przycisk: przezroczysta kopuła powoli się uniosła. Zszedł po schodkach i znalazł się na zlodowaciałej powierzchni satelity; nie słyszał nic poza własnym, sapiącym oddechem. Spojrzał na wielką metalową konstrukcję, na której znajdował się teleskopowy reflektor o dwumetrowej średnicy. Na pierwszy rzut oka wszystko w porządku.

Heinz zrobił kilka niezgrabnych kroków w kierunku teleskopu. Trzęsienie ziemi nie spowodowało żadnych wielkich szkód, ale mogło uszkodzić kamery telewizyjne, które wysyłają obraz do bazy. Zaraz za urządzeniem zauważył coś w rodzaju mgły, jakby dymu unoszącego się ze szczeliny w lodzie. Pomyślał, że to może być szczelina, z której wydobywa się gorący roztwór wody i amoniaku.

Zatrzymał się z boku teleskopu, wyłączył urządzenia elektroniczne, rzucił okiem na główne zwierciadło i zauważył z uczuciem ulgi, że jest ono nie naruszone. Miał jeszcze do wykonania trzy czynności: ustawić na nowo osie optyczne, wymienić kamerę telewizyjną i sprawdzić trwałość obudowy, która kotwiczyła instrument do ziemi.

Heinz przyjrzał się dymowi, uchodzącemu ze szczeliny sto pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym stał. Dym przysłańiał wystające ponad kontury horyzontu pierścienie Saturna. Minął konstrukcję utrzymującą wielki teleskop i podszedł do dymiącego płynu. Struzka wody i amoniaku wypływała leniwie z boku lodowego pagórka; otwór był wystarczająco duży, by bez problemów można była do niego wejść.

Stał tak przez chwilę, niezdecydowany i nieruchomy, niczym pomnik o śmiesznych proporcjach.

Wewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności. Mrok, który wszystko wchłaniał, nie pozwalał dostrzec własnych rąk, nawet gdy je przytknął do szybki kasku. Włączył dwa reflektory; pierwszy, który nosił przyczepiony do klatki piersiowej skafandra, oraz ten w kasku.

Ruszył przed siebie niczym antyczny górnik. To, co widział, skłaniało do zastanowienia. Na myśl przyszli mu ludzie, zmuszeni, by ryzykować życie i oddychać węglem, by przeżyć. Sprawy sprzed stu laty.

Myśli przestały napływać. Wydało mu się, że znajduje się w lustrzanej sali; tunel zwężał się i zakręcał w lewo, zamykając Heinza między ścianami, które odbijały jego postać wraz ze światłami z reflektorów... Zobaczył potwornie zdeformowane postacie trzech kosmonautów: jedną przed sobą i dwie po obu stronach.

Obraz zaszedł mgłą. Heinz był zdezorientowany. Zauważył gaz wydobywający się z lodowych ścian. Pomyślał, że jest to wywołane przez lód, topiący się pod wpływem ciepła z reflektorów. Szedł dalej, krok za krokiem, powtarzając sobie w myśli, że wewnątrz skafandra jest bezpieczny od wszelkich wyziewów. Niepokoiły go ewentualne tąpnięcia lub nowe trzęsienie ziemi. Poza tym

przypominał sobie ten nieludzki głos...

Przyrządy, które nosił na nadgarstku, wskazywały, że temperatura wzrosła prawie do poziomu tolerowanego przez człowieka.

Istniało tylko jedno wytłumaczenie: tunel musiał być bardzo głęboki, do tego stopnia, że czerpał ciepło z wnętrza satelity, z jego rozżarzonego jądra.

Tunel lekko się rozszerzył. Lód zaczynał ustępować skałom, na których dojrzał plamy. Zbliżył się i zauważył, że tworzą je żółtawe, galaretowate substancje. Chciał je dotknąć wielką rękawicą... Potężne wyładowanie elektryczne nie pozwoliło mu na to. Zdezorientowany przyglądał się badawczo galaretowatej substancji. To nie mogło się zdarzyć, to musiało być złudzenie. Ponownie zbliżył rękę i błyskawicznie ją wycofał.

Stał zastanawiając się nad tym zjawiskiem. Nie mógł to być prąd elektryczny, nie było tu nic, co mogłoby go wytworzyć. Ale gdyby nawet było to możliwe, przecież jego skafander zrobiony był z materiału izolującego. A jednak... odczuł właśnie wstrząs elektryczny. Na innych skałach wśród lodu Heinz dostrzegł podobne galaretowate plamy. Dotknął ściany metr od jednej z nich i nie poczuł nic dziwnego. Prawie niezauważalnie przesunął rękę w kierunku plamy. Natychmiast, w momencie gdy jej dotknął, odczuł podobny wstrząs. W porównaniu z poprzednimi próbami zyskał kilka centymetrów – udało mu się dotknąć plamy.

Spojrzał na zegarek, miał jeszcze do dyspozycji trzygodzinny zapas tlenu. Termometr wskazywał niewiarygodnie wysoką temperaturę – minus trzydzieści stopni.

Skierował strumień światła w różne części tunelu, odkrywając dwanaście nowych tworów tego samego rodzaju. W wielu wypadkach galareta mieszała się z lodem. A później... Heinz odkrył, że galareta się porusza. Spróbował to sprawdzić. Na początku miał wrażenie, że substancja reaguje na światło reflektora. Przeprowadził kilka prób: puścił snop światła na grudkę galaretowatej substancji i zgasił światło na kilka sekund. Potem nagle włączył – plama skurczyła się wyraźnie.

Galaretowate twory poruszały się, to one powodowały wstrząsy elektryczne. A to już było niemożliwe.

Heinz długo rozmyślał w lodowym korytarzu, głęboko pod powierzchnią satelity. Próbował je dotknąć, one zaś odpowiadały elektrycznymi wyładowaniami. Odpowiadały. Zatrzymał się nad tym słowem. Ponownie przyszedł mu na myśl absurdalny przekaz radiowy, otrzymany zeszłego wieczoru. Niemożliwe by miało to z tym jakiś związek.

Zegarek wskazywał, że do dyspozycji pozostały już tylko dwie godziny. Heinz musiał znaleźć sposób, by przenieść tę substancję do bazy. Musiał ją obserwować i badać. Utkwił wzrok w małej plamce, nie większej od jego pięści, przytwierdzonej metr od niego do skały. Wyobrażał sobie, jak będzie ją obserwował pod mikroskopem, jak przeprowadzi sekcję, jak będzie ją analizował przy użyciu kwasów...

Potężny wstrząs ogłuszył go. Niewiele brakowało, a Heinz straciłby równowagę. Zachwiał się, jak bokser uderzony silnym sierpowym, a później cofnął się pełen obaw. Rozejrzał się dookoła, wszystko zdążyło się już uspokoić. Nie mógł się jeszcze pozbierać. Niczego nie dotknął, stał nieruchomo myśląc....

W końcu doszedł do siebie. Mógł wymyślić tylko jedno wytłumaczenie, choć było ono faktycznie idiotyczne.

– Słyszysz mnie – powiedział. – Śmiało! Wiem doskonale, że mnie słuchasz.

Kilka chwil zupełnej ciszy.

– Pochodzę z innej planety, z Ziemi!

Nic, nie było słycać, absolutnie nic.

– Hej! Odpowiedz wreszcie!

Poczuł się jak dureń. Zaczynam chyba wariować, pomyślał.

Zapalił i zgasił światła i sprawdził ponownie, czy galareta rzeczywiście się kurczy. Zbliżył dłoń, prawie że ją dotykając, i ponownie poczuł wstrząs elektryczny. Zastanawiał się nad kwasem, który by wyzarił tę substancję. Był naprawdę zły... Tym razem wstrząs był wyjątkowo silny. Heinzowi wydawało się, że traci czucie, ale i tym razem udało mu się nie upaść.

Potrzebował kilku sekund, by znowu poczuć się normalnie. Oddychał ciężko, w szaleńczym tempie. Skontrolował poziom tlenu i zauważył, że osiągnął on alarmujący stan: miał zapas wystarczający na nie więcej niż trzy kwadransy. Zdecydował się powrócić do pojazdu. Wszedł z podziemnego korytarza i znalazł się pod gwiazdzistym niebem. Zobaczył fioletowe światła wielkiego teleskopu i pomyślał, że zajmie się nim później. Wszedł do pojazdu gąsienicowego i zdjął skafander. Odetchnął głęboko czystym powietrzem. Miał ochotę napić się czegoś słodkiego. Czarna, dymiąca kawa. Wziął pojemnik z liofilizowaną kawą i zanurzył łyżeczkę w czarnym proszku, po czym wsypał go do plastikowej filiżanki. Odkręcił kurek z gotującą wodą.

Zapach przypomniiał mu radosne chwile spędzone w domu, śniadania zaraz po wstaniu z łóżka, fotel, spokojne pogawędki w deszczowe wieczory. Dodał trochę słodzika i usiadł na foteliku popijając czarny płyn, rozkoszując się nim łyk po łyku, Trzymał filiżankę w rękę, zawieszoną pod brodą. Siedział z nieruchomym, dalekim wzrokiem, utkwionym w metalowej ścianie. Ciepły płyn spływał wolno do żołądka.

To są żywe rzeczy, pomyślał trąc lekko językiem o podniebienie, poruszają się i bronią.

Spuścił wzrok na filiżankę. Bronią się. Ale dlaczego?... Przed czym, u licha, muszą się bronić?

Znowu zamyślił się nad lodową pustką satelity. Na Tytanie nie było nic, co mogłoby zagrozić galaretowatej masie. A już na pewno nic, co można by zniszczyć wyładowaniami elektrycznymi.

Postawił filiżankę na stoliku i wstał. Ponownie wyszedł na zewnątrz z czterogodzinnym zapasem powietrza. Minął teleskop i zniknął za załomem skalnym, kierując się do niewielkiego wejścia do podziemnego korytarza. Nie było już widać dymiącej strużki amoniaku.

Jeszcze raz szedł w ciemnościach korytarza, rozjaśnianych tylko przez reflektory. Galaretowate twory były nadal na swoim miejscu, dokładnie tam gdzie wcześniej.

Heinz powtórzył te same eksperymenty, a twory odpowiedziały dokładnie w taki sam sposób. Człowiek ubrany w kosmiczny skafander stał nieruchomo przed obcymi istotami.

Jak nagły błysk myśl przeszła mu umysł – one odpowiadały! Może to był właśnie klucz. Nie mogło być mowy o obronie, bo nie istniało nic, przed czym trzeba by się bronić. A może galaretowate twory odpowiadały, chciały nawiązać kontakt? Może komunikowały się między sobą. A jednak wydawało się to niewiarygodne. Nieprawdopodobne było także to, że owe stworzenia mogły żyć w tak niegościnnym miejscu.

Zdecydował się doprowadzić swe hipotezy do końca – pozwolił, by w pełni zawładnęło nim wzruszenie – dał się ponieść czemuś, co przypominało sympatię dla tych stworzeń. Wolno zbliżył rękę.

Grube palce zbliżały się wolno i delikatnie do małego, żółtawego stworzenia... Długotrwały, przyjemny dreszcz przeszedł mu po plecach. Cofnął dłoń. Spojrzał na instrumenty, które ze sobą

przyniósł: długie szczypce, miniaturowe materiały wybuchowe, by ewentualnie oderwać kawałki masy od ścian, szkła powiększające... Uśmiechnął się.

Znów delikatnie przybliżył niezgrabną dłoń do stworzenia. Poczł przyjemne, miękkie dreszcze w całym ciele. Nadal lekko opierał dłoń, a drżenie ulegało niewielkim zmianom. Wraz z nimi zmieniało się to, co czuł – jak wariacje na jakiś temat muzyczny. Człł, że i on coś przekazuje.

Spróbował mówić. Zaczłł od wytłumaczenia, kim jest, co robi w tym miejscu. Chciał przekazać swe zadowolenie z tego spotkania. Potem wspomniał o kłopotach z Ziemią... Człł, że jest słuchany, ponieważ zdawało mu się, iż wychwytuje zmiany we wrażeniach, które odbierał. Człł zmiany, które harmonizowały z tym, co mówił.

Wspomniał z bólem i zgrozą o wojnie: podobne emocje odczuwały tamte stworzenia. Tak samo było, gdy mówił o żonie i dzieciach, czy o niezmiernej samotności na Tytanie...

Zatrzymał się patrząc na lód, skały i na żółtawe kuliste stworzenia. Przypominają piłkę nożną, pomyślał. Wyregulował reflektory na bardzo małą moc, by nie wyrządzić stworzeniom krzywdy.

Czekał. Miał nadzieje, że galaretowate stworzenia będą mogły z nim rozmawiać, opowiedzieć mu o sobie i swoim istnieniu we wnętrzu tego lodowatego satelity, gdzieś na skraju systemu słonecznego... Spytał, czy to one go wzywały poprzedniego wieczoru. Nie padła jednak żadna odpowiedź. Strumień ciepła, sympatii znów zaczął nieprzerwanie płynąć. Strumień ludzkich uczuć, pomyślał Heinz.

Potem omal nie stało się nieodwracalne. Mało brakowało, a dostrzegłby to zbyt późno. Gdyby nie brutalna przerwa w tej emanacji, z pewnością by się nie zorientował. Tymczasem przerwa okazała się opatrnością losu, gdyż Heinz przypomniał sobie o twardych wymogach egzystencji ludzkiej: – wskaźnik poziomu powietrza wskazywał trzydziestopięciminutowy zapas tlenu. Musiał więc szybko powrócić do pojazdu.

Pojawiło się znowu uczucie szczęścia, chciał więc na nie odpowiedzieć. Potem delikatnie oderwał dłoń i odwrócił się.

Wychodząc człł, że się zmienił. Tunel był wąski, lód – błękitny, zupełnie jak ziemskie niebo. Heinz pomyślał, że jest podobny do głodnego człowieka, tak głodnego, iż nie czuje już potrzeby jedzenia. Dopiero po “zjedzeniu” zdał sobie sprawę z tego, jaki był pusty, jak wielkie piętno wykuła w jego sumieniu samotność, czyniąc go nieczułym. Wyskoczył ze szczeliny – wskaźnik gwarantował jeszcze dziesięć minut powietrza. Stał, olśniony mrocznym pięknem tego nieba, naprzeciw wielkiego Saturna, który zachodząc znikał za ostrymi jak szczyty lodowymi szczytami.

Heinzowi przypomniało to baśniowe zamki: posępne, spiczaste, siedzące na szczytach jak sępy na tle czarnych chmur. Saturn znikał za górami, na nieboskłonie zaś błyszczły trzy z jego satelitów. Heinz rozpoznał je. Były to Encelada, Diona i Rea.

Dotarł do pojazdu z dwuminutowym zapasem powietrza.

Wycieńczony, ułożył się na łóżku ze świadomością, że spędził najpiękniejszy dzień, odkąd jest na tym satelicie. Wielokrotnie powracał w myślach do owych stworzeń, pamiętając o statku kosmicznym i swych przyjaciółach, którzy za kilka dni przybędą, by go stąd zabrać.

Kto wie, mówił sobie, może te galaretowate stwory były czymś w rodzaju koloni bakterii... Przypomniał sobie autotroficzne bakterie anaeroby, te, które na Ziemi czerpią pokarm z utleniania substancji mineralnych, i wytrzymują nawet 263 stopnie poniżej zera jak zarodniki...

Ale w gruncie rzeczy wiedza o tym, jak były zbudowane, nie miała wcale takiego wielkiego znaczenia.

Heinz pierwszy raz od wielu miesięcy zasnął nie wzięwszy proszków nasennych.

Po kilku godzinach obudził go gwałtowny wstrząs. Otworzył oczy i poczuł, że jego pojazd podskakuje. Trwało to kilka sekund.

W wielkim pośpiechu włożył skafander i wszedł do kabiny kierowcy. Instrumenty działały bez zarzutu i nie wskazywały niczego nadzwyczajnego.

Wyszedł z pojazdu i dotarł do teleskopu. Nie znalazł tam jednak żadnych uszkodzeń, poza tymi, które widział wcześniej. Fioletowe światła błyszczą niezmiennie.

Heinz domyślał się, że musiał to być nowy wstrząs sejsmiczny, niezbyt zresztą silny. Ruszył w kierunku szczeliny, z obawą, że zostanie zablokowane wejście. Nie chciał stracić swych nowych przyjaciół – byli oni najpiękniejszą i najbardziej niezwykłą rzeczą, jaką ofiarował mu lodowy Tytan. Spuścił się kilka metrów w głąb jamy, w błękitny lód oświetlony przez reflektory, i zaraz stanął. Niemożliwością było iść dalej – ściana się zawaliła. Heinz poczuł niewytłumaczalny, szalony strach, który zmusił go do zawrócenia i niemal do biegu, oczywiście o ile to było możliwe w skafandrze.

Wyszedł na zewnątrz ciężko dysząc. Odwrócił się, by spojrzeć na tunel. To była kwestia kilku sekund – grunt zaczął drżeć i Heinz widział, jak lodowa skorupa pęka przed jego oczami. Pęknięcie zaczęło się rozszerzać. Poruszył się zdesperowany, bojąc się, że go pochłonie. Wydawało mu się, że słyszy jakiś hałas, ale nie zwrócił na to uwagi. Był cały czas odizolowany od świata zewnętrznego, by więc cokolwiek usłyszeć, musiałby być blisko źródła silnej eksplozji.

Ruszył w kierunku fioletowych światel teleskopu, które spokojne błyszczą, jakby przyciągało go coś znajomego, przyjacielskiego.

Znajdował się już kilka metrów od niego, gdy drzenie ustąpiło. Heinz nawet tego nie zauważył. Dopiero gdy dotarł do urządzenia, odwrócił się, by spojrzeć. Jama zniknęła, a przed nim otwierała się pięćdziesięciometrowa szczelina. Jej dno znikało w ciemności, która wchłaniała blask nieba i słabe światła Rei i Diony, małych, bladych księżyców.

Cały czas pod działaniem strachu. W mózgu wszystko się kłębiło: niebezpieczeństwo, stworzenia, katastrofa, ostrzeżenie... Spojrzał na długą szczelinę i odwrócił się twarzą do pojazdu.

Wszedł do środka i zdjął kosmiczny kask. Starł się opanować nerwy, pomyśleć. Jednym łykiem wypił szklanekę wody.

Minęło kilka minut. Silnik zaczął cicho pracować, a gąsiennice znowu szarpały szary jak popiół lód. W przezroczywej wieżycy Heinz włączył także system radarowy i orientacji na podczerwień. Reflektory pojazdu przecinały noc na setki metrów.

Powoli Heinz odnalazł spokój. Pomyślał, że może powinien powrócić na tamto miejsce, by spróbować ponownie nawiązać kontakt ze stworzeniami. Przypomniał sobie, że nie naprawił teleskopu.

6. Poza Saturnem

Zajął miejsce w samym środku kuli i wygasił światła. Wszystkie zewnętrzne “rybie oczy” statku kosmicznego jednocześnie rozbłyły, a na ścianach pojawiły się gwiazdy. Heinz mógł ze swojego miejsca podziwiać cały rejon wszechświata, w którym poruszał się Hyperion: widział konstelacje Oriona, Bliźniąt, Lwa, Plejady – skupiska gwiazdne i wszystkie gwiazdy aż do siódmej wielkości...

W porównaniu z tym widowiskiem, najbardziej bezchmurna ziemska noc wydawała się być jaka, sprawiała wrażenie zamglonej, przyćmionej. Saturn, otoczony satelitami, lśnił na ścianie przed jego oczyma. Pierre Godard rozpoznał umykający cel, Tytana, który wyglądał jak mały białawy krążek, odległy o około piętnastu milionów kilometrów od punktu, w którym się znajdowali.

Rozpoznał też Urana i Neptuna, nie mógł zaś odróżnić Plutona od Karonta, panów zaświatów, które to planety znajdowały się poza zasięgiem jego percepcji. Czy to doprawdy zaświat? Człowiek o kędzierzawych, rudych włosach zadawał sobie to pytanie. Czy naprawdę poza Plutonem nie było absolutnie nic, miliardy, miliardy i miliardy kilometrów pustej przestrzeni kosmicznej? Czy owa przestrzeń kosmiczna sięgała aż do Proxima Centauri?

Pierre spojrzał w ciemność i gwiazdy, a potem na zielonkawy krążek Urana.

Ben pracował bezgłośnie wraz z Clarkiem, dowódcą, siedzącym przy klawiaturze, w pomieszczeniu dyspozycyjnym. Miał do sprawdzenia setki możliwości. Pierwszym pomysłem, jaki przyszedł mu do głowy, była myśl o gwałtownym zwrocie i osiągnięciu nowego przyspieszenia, które pozwoliłoby im powrócić na Saturna, po wyprzedzeniu go o setki milionów kilometrów. Ben dowiedział, po długich i wyczerpujących obliczeniach, że pomysł ten nie był łatwy do wprowadzenia w życie.

W czasie następnych dwudziestu czterech bezsennych godzin, Ben, Clark i Pierre brali pod uwagę pozostałe możliwości.

- Benie, spróbujmy z Uranem.
- Przewiduję prawie pewne niepowodzenie.
- Mimo to spróbujmy.
- Zgoda.

Na monitorze ukazały się pierwsze dane dotyczące tej planety.

– Aktualna odległość od Słońca – trzy miliardy kilometrów – zmniejsza się. Odległość od Saturna: miliard trzysta milionów kilometrów. Średnica równikowa: 51 tysięcy 800 kilometrów. Skład chemiczny... lądowanie niemożliwe, warunki tam panujące całkowicie nieodpowiednie dla istot ludzkich.

Clark zażądał danych porównawczych orbit Saturna i Urana. Na monitorze pojawiły się obrazy wyrysowane zielonym światłem.

- Hej! Ależ one znajdują się w koniunkcji!
- Myślałem, że o tym wiesz – odpowiedział Ben.
- To znaczy, że w krótkim czasie będziemy mogli dotrzeć do Urana.
- Nie możecie wyjść na powierzchnie Urana. – Ale są jeszcze satelity...

– Osiemnaście satelitów. Oberon, największy z nich, 1700 kilometrów średnicy, dalej Titania – 1650 kilometrów. Przez długi czas uczeni nie byli pewni ich wielkości z powodu ogromnej odległości. W dziewiętnastym wieku astronomowie uważali, że są one o wiele mniejsze. W drugiej połowie dwudziestego wieku, dzięki pomiarom w podczerwieni, upewniono się co do faktycznych średnic...

– Ben, nic mnie nie obchodzi historia tych satelitów. Chcę danych fizycznych!

Clark Hampton, lat czterdzieści jeden, dowódca Hyperiona, czuł się wyczerpany. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie tknął jedzenia, nie spał, a jego oczy jakby się zapadły.

– Oberon – ciągnął dalej komputer – temperatura przy powierzchni: minus 170 stopni; powierzchnia zlodzona; świat pozbawiony atmosfery... – Nagle zapaliło się czerwone światełko i rozmowa została na chwilę przerwana. – INFORMACJE ZASTRZEŻONE, INFORMACJE ZASTRZEŻONE, INFORMACJE ZASTRZEŻONE...

Clark wybałuszył oczy: co się dzieje, u diabła?

Gdy zabrzmiał sygnał wezwania, Pierre oparł dłoń o sklepienie, gwiazdy zbladły; ściana znów była biała. Zdjął pasy, które utrzymywały go w zawieszeniu pośrodku kuli. Na zewnątrz oczekiwał na niego Clark. Pierre'a uderzył przejęty wyraz twarzy przyjaciela, zmęczone, podbite oczy, mokre od potu kasztanowe włosy i zmarszczki wokół oczu.

– Znalazłeś coś?

– Informację zastrzeżoną. – Clark wskazał palcem za siebie.

– Co?

– Ben otrzymał rozkaz, by ukryć przed nami jakąś wiadomość: powtarza tylko “informacja zastrzeżona”.

Ruszyli do pomieszczenia dyspozycyjnego. Clark usiadł przy klawiaturze i spojrzał na Pierre'a. – No cóż, jest tylko jedno pytanie do zadania.

– Tak.

Poruszył dłonie na klawiaturze, powtarzając na głos: – W jakich okolicznościach możemy poznać zastrzeżone informacje dotyczące Oberona?

– Tylko w wypadku stanu wyjątkowego.

Clark stracił cierpliwość. – A to, twoim zdaniem, nie jest stan wyjątkowy?

– To wy musicie jasno stwierdzić stan wyjątkowy.

– Masz rację, Benie, nie pomyśleliśmy o tym.

Clark, bez wahania nacisnął przycisk. – No, stan wyjątkowy stwierdzony.

– To nie wystarczy. Stan wyjątkowy wchodzi w życie tylko po uzyskaniu zgody z Ziemi.

Clark i Pierre spojrzeli po sobie. Pierre wściekł się na dobre i zaczął wrzeszczeć tak, że jego twarz stała się czerwona: – Do diabła! Ty, oczywiście, nie wiesz, że kontakt z Ziemią jest przerwany od dwóch miesięcy? Czy może już o tym zapomniałeś?

– Proszę powtórzyć pytanie, nie zrozumiałem.

Pierre spróbował się uspokoić, choć nie było to takie łatwe, ponieważ nie posiadał doskonałej autokontroli nad emocjami. Mimo to powtórzył wolno: – Czy zapomniałeś, że łączność z Ziemią została zerwana?

– Doskonale o tym wiem.

– W takim razie, jak moglibyśmy otrzymać zgodę? – wtrącił się Clark, wystukując pytanie na klawiaturze.

– Przypadek nieprzewidziany.

– To niemożliwe. Sprawdź dobrze. – Twarz Pierre'a była znów czerwona jak jego włosy. Złapał się na gryzieniu paznokci ze zdenerwowania; natychmiast włożył ręce do kieszeni. Musieli długie chwile oczekiwać na odpowiedź. Potem znów dał się słyszeć niewzruszony elektroniczny głos:

– Informacje niedostępne bez upoważnienia z bazy, z powodów bezpieczeństwa. W tym wypadku, jak sami mówicie, niemożliwe jest otrzymanie upoważnienia.

Potem nastąpiła cisza. – Więc?

– INFORMACJA ZASTRZEŻONA, INFORMACJA ZASTRZEŻONA...

Pierre uderzył pięścią o płytę, Clark zaś zmusił się do zachowania spokoju. Zaczął znów stukać na klawiaturze.

– Otrzymanie upoważnienia jest niemożliwe, zgadzasz się z tym, Ben?

– Oczywiście.

– Stan wyjątkowy, zgodnie z tym, co jest zapisane w twoim programie, ma teraz miejsce. O.K.?

– To prawda. Aktualnie mamy sytuację wyjątkową; spotkanie z Tytanem z pewnością nie dojdzie do skutku z powodu awarii motoru jonowego numer dwa.

– Dostęp do informacji zastrzeżonych jest możliwy tylko w sytuacji wyjątkowej, racja?

– Oczywiście.

Clark czuł, jak napięcie opanowuje jego nerwy. Spróbował się zrelaksować, by uniknąć zamętu. Musiał uważać, żeby nie zgubić cienkiej nitki logicznych następstw, którą to nitkę stworzył.

Spojrzał na Pierre'a. – Mógłbyś przynieść mi kawę?

Przyjaciel nawet się uśmiechnął. – Jasne.

– W takim razie, Ben – kontynuował dowódca – czy twoim zdaniem, sytuacja, w której się znajdujemy, nie może być określona jako wyjątkowa bez upoważnienia z Ziemi?

– Nie, z pewnością jest wyjątkowa.

– Upoważnienie z Ziemi jest wymagane ze względów bezpieczeństwa, by uniknąć ewentualnych blefów, głupich żartów i Bóg wie czego jeszcze. Upoważnienie służy oficjalnemu określeniu stanu wyjątkowego.

– To prawda.

Clark wiedział, że idzie dobrą drogą. Otarł ponownie pot.

– Sam powiedziałaś, że w tym wypadku wyjątkowość sytuacji jest oczywista, a więc upoważnienie nie jest potrzebne. Czy twoim zdaniem informacje, w których posiadaniu się znajdujesz, wyjawione w tej sytuacji będą w sprzeczności ze względami bezpieczeństwa, które leżą u podstaw wymaganego upoważnienia.

Komputer myślał przez kilka sekund w ciszy. Miliony myśli. Pierre przyniósł dwa kubki kawy.

– Dla towarzystwa – powiedział.

– Nie, żadnych sprzeczności odpowiedział w końcu komputer.

– W takim razie, jeżeli uważnie się nad tym zastanowisz, Ben, w tym wypadku nie jest potrzebne upoważnienie. A nawet, byłoby w sprzeczności z twoim nadrzędnym programem – powodzeniem misji.

Minęło kilka sekund. Pierre i Clark siedzieli ze wzrokiem utkwionym w ekran.

– Oczywiście.

Clark wciągnął głęboko powietrze. – Możesz więc podać nam tę informację; Ben, potrzebujemy jej! – dodał te trzy słowa błagalnym tonem i poczuł się idiotycznie. Błagać komputer!

Absurdalne, daremne. Na salę zstąpiła cisza, przerywana przez miarowe “bip” i tykanie. Pierre zaczął rytmiczne stukać nogą o podłogę.

– Jest to nieprzewidziany wypadek.

Mężczyzna siedzący przy klawiaturze popijał kawę, zachowując z nadludzkim wysiłkiem spokój. Mimo to kubek w jego ręku zaczął w sposób widoczny drżeć. Pierre zaczął głośno kląć i wyrzekać.

Clark mówił wolno: – Ben, zdaję sobie sprawę, że jest to nieprzewidziana sytuacja. Ale stan wyjątkowy istnieje, sam to przyznałeś. Istnieje też ryzyko niepowodzenia misji, wiesz o tym. Ziemia nie może dostarczyć żadnego upoważnienia: o tym też wiesz. Upoważnienie jest niezbędne z racji konieczności zachowania bezpieczeństwa, z powodu, który w tym wypadku nie ma racji bytu. A nawet, właśnie ze względu na bezpieczeństwo statku i wyprawy informacja musi być ujawniona. Czy to, co mówię, jest sprzeczne z twoim programem i z danymi, które posiadasz?

– Nie, żadnej sprzeczności.

– W takim razie, Ben, możesz udzielić nam tej informacji?

Drukarka zatrzymała się na kilka sekund, napięcie rosło.

Zaraz jednak drukarka zaczęła swój stukot, a z mikrofonów odezwał się ten sam co zwykle metaliczny głos, pozbawiony jakichkolwiek emocji, zimny i czysty:

– W oparciu o dane w moim posiadaniu i o nadrzędny program mogę podać wam żądane informacje.

Astronauta walił gwałtownie w klawiaturę komputera. – Proszę o zastrzeżone informacje dotyczące Oberona.

Komputer odpowiedział prawie natychmiast artykułując zimne słowa: – Satelita Oberon jest zamieszkały.

7. Potrzeba miłości

Dobiegła do budynku lotniska zadyszana i jak zawsze spóźniona. Przekroczyła próg i znalazła się w dużym holu. Bez namysłu, unikając tłumu i nie zwracając uwagi na ogłoszenia płynące z megafonów, rzuciła się w kierunku bramy odlotów, wyjmując z torebki dokumenty. Ogromny zegar, wiszący na ścianie przed nią, wskazywał minutę do odlotu. Brama, jak się domyślała, była już zamknięta. Zaczęła natarczywie pukać w szklane drzwi, aż do chwili, gdy nadeszła kobieta by je otworzyć.

– Londyn, muszę zdążyć na ten samolot.

– To tam, ale proszę się pośpieszyć.

Biegła po smaganej wiatrem płycie lotniska. Ruchome schody były jeszcze dołączone do kadłuba samolotu, a włącz otwarty. Udało się, w ostatniej chwili.

Poczuła się spokojniej, przestała się spieszyć. W samolocie zarezerwowali jej ulubione miejsce: dokładnie przy specjalnych, panoramicznych iluminatorach, oknach z przezroczystego plastiku, dających stuosiemdziesięciostopniowy kąt widzenia.

Mężczyzna siedzący obok uśmiechnął się i przedstawił. Odwzajemniła grzeczność. Oparł głowę o fotel i odwrócił się, by obserwować krajobraz, podczas gdy samolot nabierał szybkości. W momencie oderwania od ziemi, gdy samolot wzbił się ku błękitnemu niebu, chwyciły Valentine nudności.

– Źle się dzieje – powiedział na głos towarzysz lotu. Valentina nie zwróciła na niego uwagi. Teraz jej umysł oscylował między podziwem dla nieba, które otwierało się przed nią, a myślami o rozmowie, którą przeprowadzi z mężem.

Nareszcie go ujrzy; będzie to tylko elektroniczny obraz, na ekranie telewizyjnym, ale mimo wszystko zobaczy go. Będzie to przekaz bezpośredni. Była szczęśliwa.

Brakowało jej Heinza. Chyba jeszcze nigdy tak bardzo, jak teraz, nie zdawała sobie sprawy, jak wiele dla niej znaczył. To normalne, pomyślała, przyzwyczajenie jest w stanie zniszczyć wszystko, ale gdy... Poczula, jak ktoś chwyta ją za rękę.

– Przepraszam. Czy pani wie, co się dzieje?

Pokazał jej nagłówki w gazecie, na pierwszej stronie. Valentina patrzyła z niedowierzaniem i strachem. Zerknęła na mężczyznę. Miał ze czterdzieści lat, kasztanowe oczy i dobrze utrzymane włosy. Potem znów zwróciła wzrok na tytuły w gazecie, na których widok ciarki przeszły po plecach. Wydrukowane na pierwszej stronie, przez wszystkie kolumny, wielką, czarną czcionką: Wschód i Zachód opuszczają belgradzką konferencję.

Podtytuł był jeszcze bardziej alarmujący: Rzecznicy obu supermocarstw oświadczają, że zerwanie rozmów jest nieodwracalne. Kością niezgody nadal wyspa Kuba. Istnieje obawa nasilenia działań militarnych. Oficjalne źródła mówią o przyszłym użyciu broni nuklearnej na szerszą skalę.

– Doprawdy, źle się dzieje – mówił dalej potrząsając głową.

– Mogę wziąć na chwilkę?

– Proszę.

Przeczytała pierwsze wiersze artykułu: Wczoraj po południu o siedemnastej piętnaście amerykański Sekretarz Stanu opuścił Pałac Kongresów w Belgradzie. Także Minister Spraw

Zagranicznych Związku Radzieckiego o siedemnastej dwadzieścia pięć opuścił gmach. Stan niepewności trwał około pół godziny. O osiemnastej rzecznik Stanów Zachodnich jako pierwszy podał wyjaśnienia dotyczące sensacyjnego rozwoju wypadków...

Na bocznej kolumnie umieszczony był komentarz do artykułu: Decyzja przerwania konferencji pokojowej w Belgradzie stanowi chyba najdramatyczniejszy moment, jaki dane nam było przeżyć od chwili wybuchu wojny. Mamy do czynienia z aktem, który może zgasić ostatnie światełko nadziei, której wszyscy trzymamy się kurczowo. Rzecznicy mówią o ważnych "motywach", o "zasadniczych" rozbieżnościach. My zaś pytamy, coż jest bardziej zasadniczego od kwestii przeżycia ludzkości. – Pół gazety poświęcono tym wydarzeniom. Reakcje innych Stanów, przedstawicieli świata kultury, zwykłych ludzi. Komentarze, relacje, stanowiska.

Mężczyzna czytał razem z nią, co i rusz komentując jakieś zdanie. – Moim zdaniem to szaleńcy – mówił – najwyższy czas, by ludzie się podnieśli i odebrali z ich rąk władzę!

Patrzyła na niego, nic nie mówiąc.

– Z pewnością nie byłoby to łatwe. Oni są zorganizowani, mają biurokracje, wojsko, policje...

Valentina znów spojrzała na niego. – Czy brał pan udział w manifestacjach przed wybuchem wojny?

– Nie, doprawdy... Myślałem, że to będzie krótka wojna, mały pokaz. W gruncie rzeczy to Rosjanie bezustannie nas prowokowali. Ciągłe nowa broń, nowe inwazje... A potem pewne mniejszości zaczęły podburzać do obalenia naszego zachodniego porządku!

– A my, mieszkańcy Stanów Zachodnich, byliśmy za to grzeczni.

– Oczywiście, że nie... Teraz jednak trzeba coś zrobić.

– Ale co?

– Nie wiem... zorganizować się, spróbować...

Valentina powróciła do lektury gazety i rozmowa ustała.

W Londynie byli zgodnie z rozkładem. Wszystko funkcjonowało tak jak zwykle: zatłoczone lotnisko, lądujące i startujące samoloty, chrypienie głośników. Pożegnała towarzysza podróży bez przesadnego ciepła i kazała taksówkarzowi zawieźć się do kwatery, którą zarezerwowało jej Ministerstwo Obrony.

Na nic nie miała wpływu. Za trzy godziny pojedzie do centrum kosmicznego, by ujrzeć męża. Potem wróci, prześpi się, a jutro wyruszy w podróż powrotną do Landeck.

Z pewnością nie trzymała w swych rękach losów świata. Próbowwała się tym nie przejmować i być spokojna. Poszła do łazienki, żeby się umyć. W Londynie wszystko działało bez zarzutu. W Wielkiej Brytanii wybuchła tylko jedna głowica nuklearna – miała na celu jedynie zastraszenie. Zginęło wtedy w Glasgow tylko sto tysięcy ludzi.

Ogromny pałac z kryształu i cementu błyszczał odbijając letnie promienie Słońca. Nad wejściem wisiała wielka tablica ze srebrzystego metalu: "Ministerstwo Obrony – Kontrola lotów kosmicznych".

– Proszę spocząć.

Żołnierz w szarym mundurze z błyszczącymi pagonami wskazał jej wygodny gumowy fotel w holu. Valentina nie znosiła ani gumy, ani plastiku. Przede wszystkich nienawidziła ich zapachu. Stała, oczekując, ze wzrokiem wlepionym w wypastowaną do połysku podłogę, zupełnie jak mundury chodzących wokół niej żołnierzy. Odgarnęła do tyłu długie czarne włosy.

– Autobus numer dwa czeka na panią – powiedział jakiś podoficer – pozwoli pani, że ją odprowadzę do wyjścia.

Valentina przeszła przez drzwi i ponownie znalazła się na zewnątrz wielkiego budynku. Przed nią rozpościerał się olbrzymi park z radioteleskopami, laboratoriami naukowymi, komputerami, salami dyspozycyjnymi.

Dotarła do budynku, który widziała już dwukrotnie. Była to biała niska konstrukcja, usytuowana z boku potężnego radaru, w samym środku dużego trawnika.

Fascynowało ją wnętrze. Zapracowani, siedzący przy monitorach i klawiaturach ludzie, zapalające się i gasnące światła, miarowe “bip”... Było to doprawdy widowisko, pokaz możliwości, efektywności, prestiżu. Pokaz możliwości techniki i organizacji.

Bez przyczyny myśli Valentyny skierowały się znów ku Heinzowi. Mogła sobie wyobrazić jego życie. Odkąd odjechał, Valentina posiadała ogromną wiedzę na temat Tytana i ogólnie o systemie Saturna. Analizowała setki zdjęć miejsca, w którym znajdował się jej mąż. Wyobrażała go sobie w skafandrze, jak niezgrabnie robi krok za krokiem w ciemności, wśród lodów i gór... Fascynacja i strach; czuła je jednocześnie.

– Proszę pani – zbliżyła się do niej jakaś kobieta – pani rozmowa odbędzie się za godzinę. Jeśli pani chce, może pani zostać tutaj albo pójść do baru... tam na dole – wskazała miejsce – tam jest winda...

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się.

Nie zdążyła nawet zrobić kroku. Usłyszała krzyk jakiegoś mężczyzny, a potem sygnał alarmu. Zbliżył się do niej żołnierz. – Musimy ewakuować budynek – powiedział ze spokojem.

Valentina poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Do licha, co nowego wymyślili ci zwariowani wojskowi?

– Za niespełna godzinę otrzymam połączenie z moim mężem – mówiła starając się, by nie wybuchnąć.

– To niemożliwe. Mam rozkaz wszystkich ewakuować.

– Proszę posłuchać... – Valentina spojrzała na sufit i przyłączone do niego blade neony i wskazała ręką. – On jest tam w górze, na Tytanie, a ja słyszę jego głos rzadziej niż raz w miesiącu!

Technicy i żołnierze opuszczali swe miejsca kierując się do wyjścia.

– Przykro mi – powiedział – proszę iść! Bardzo proszę...

– Ale co się dzieje?

– Bomby. A cóż innego? No, dalej... – Chwycił ją za ramię. W tym momencie zgasło czerwone światło, a na jego miejsce zapaliło się zielone. Twarz żołnierza odprężyła się, a inni zrobili w tył zwrot.

– Alarm odwołany. Przepraszam. – Uśmiechnął się, a ona poza mundurem zobaczyła twarz chłopca. Widziała jego miłe i szczerze oczy, i ten uśmiech prosto z serca.

– Mógłbyś mi powiedzieć, co się stało? – I ona się uśmiechnęła.

– Nie wiem dokładnie. – Zerknął na monitor. – Problem w tym, że wojna zaczęła się od nowa. To już drugi alarm dzisiaj.

– Mogę iść, wziąć sobie kawę?

– Oczywiście... Sądzę że bar już działa.

Salutując, spojrział jej w oczy z tym samym miłym, otwartym wyrazem twarzy, z której można było wyczytać cały charakter.

Nie miała ochoty na kawę. Usiadła na stołku i poprosiła eleganckiego, ubranego na biało barmana o szklankę wody mineralnej. Postawił delikatnie butelkę Chivas na lustrzanej półce. Dyskretnym ruchem wlał musującą wodę do kieliszka i postawił go przed Valentiną. Jego ciemne tęczęwki zniknęły za bańkami w wodzie w kielichu z plastiku, który wyglądał jak śmieszna imitacja dźwięczących kryształów ze starych salonów.

To było trzecie połączenie z mężem, odkąd wylądował tam w górze. Rzadziej niż raz na miesiąc, pomyślała.

Zbliżyła kieliszek do warg, bąbelki łaskotały gardło. Jego wyjazd w to odległe miejsce, decyzja, z którą nigdy się nie pogodziła, a może nawet nigdy nie zrozumiała, rozłąka, potrzeba miłości... W kielichu mnożyły się pęcherzyki, wznosiły się do góry, sięgały powierzchni i znikwały.

Było wiele powodów, wiele gnębiących ją od wewnątrz cierpień, jak bezlitosna, cierpliwa choroba, jak korniki w szkatule z drzewa orzechowego. Heinz odszedł, zostawił ją samą. Nawet teraz, gdy myślała o chwili odjazdu, o jego oczach, smutnych, a jednak zdecydowanych, czuła złość i zazdrość, czuła się zdradzona, gdyż wydawało jej się to niesprawiedliwe. I to było niesprawiedliwe, że odszedł, odszedł z konieczności i z chęci przeżycia przygody.

Valentina przejechała palcem po chromowanym kontuarze, mokrym tam, gdzie barman dopiero co wytarł ścierką. Zobaczyła cukiernicę, dwie filiżanki dymiącej kawy, stojące przed dwoma mężczyznami w mundurach, siedzącymi na stołkach. Nie zamienili ze sobą nawet słowa, tylko wpatrywali się w butelki ze szkocką i innymi trunkami, i w swoje twarze odbite w lustrze.

Tam na górze, był tylko lód i cisza. Valentina zadrżała aż do głębi duszy. Tam w górze, Heinz nie mógł znaleźć nic więcej. Wiedziała, wszyscy przecież wiedzieli. Tytan oferował tylko ciszę i ciemną pustkę. Heinz chciał wyruszyć na ten daleki księżyc, do mirażu planety z obręczami. Chryste! pomyślała, Heinz, co ty masz we łbie?

Valentina dopiła wodę; w ustach został jej łagodny smak resztek soli z wyparowanej wody mineralnej.

Był trochę blady, ale i tak wyglądał nieźle. Z pewnością, tam w górze, nie miał okazji, by się opalić. W ciemnym pokoju, przed ekranem, Valentina patrzyła na kolorowy obraz swego męża, ubranego w szary, a na brzegach biały służbowy kombinezon. Znajdował się miliardy kilometrów od niej. Mówił jej o rzeczach, o których ona myślała od dawna. Była z tego zadowolona.

– ...Wiesz co? Tak sobie myślę, że ta rozłąka nadeszła specjalnie. Chcę powiedzieć, że nie wszystko co złe szkodzi. Myślałem o tobie wiele, wiele razy i odnalazłem te same uczucia, które znałem od momentu, w którym się poznaliśmy. To tak jakby się ukryły. Były tam zawsze, ale ja ich nie dostrzegałem... To przyzwyczajenie ukryło je wszystkie. Bardzo chcę znowu zobaczyć ciebie i dzieci. To nie jest banalna sprawa. Naprawdę, czuję potrzebę życia z wami. Przypominam sobie wszystkie chwile spędzone z tobą. Jak byliśmy na Sycylii i w Stanach Zjednoczonych, i kiedy chcieliśmy się wybrać na Księżyc... – Głos zawisł, jakby Heinz marzył. – A potem, gdy urodziły się nasze dzieci...

Patrzył prosto w kamerę, ale zaraz spuścił oczy.

– Kocham cię. – Uśmiechnął się i podniósł wzrok. – Kiedy wrócę, pojedziemy na sześć miesięcy na wysepkę na morzach południowych. Będziemy się opalać na plaży, a potem wskoczymy w morze,

przezroczyście, błękitne jak turkus. Będą tam malutkie, wznoszące się fale, zwilżające biały piasek... Ty i ja. No i dzieciaki.

– O.K.? Tutaj życie toczy się całkiem dobrze. Nie dzieje się tu nic wielkiego, ale udaje mi się nie zanudzić...

Chwilach Valentina czuła w oczach łzy, ale nie płakała. Gdy Heinz się pożegnał, przyszła na nią kolej wysłania przekazu. Mówiła o wielu sprawach: o nim, o niej, o dzieciach, o świecie... Starła się być optymistką. Nie powiedziała mu o na nowo wybuchłej wojnie.

8. Punkt krytyczny

– Masz ochotę na kawę?

Clark popatrzył na niego bez przekonania.

– Jeżeli zdecydujemy się na zawieszenie ujemnego przyspieszenia, będziemy bez grawitacji i na jakiś czas zapomnimy o kawie...

– Masz rację – potwierdził Clark – dobrą kawę i dla mnie.

Pierre opuścił kabinę dyspozycyjną i wszedł do sali dziennej statku. Wyglądała jak mały salonik, z kanapą, stolikiem do gry, fotelikami... Wszystko solidnie przytwierdzone do podłogi i metalowych ścian. Wziął z półki puszkę neski, napełnił plastikowe kubki gotującą wodą i powrócił do przyjaciela. Clark wstał, a teraz był przyklejony do iluminatora.

– Kawa.

– Dzięki, Pierre. – Parujący napój zamglił przezroczystą powierzchnię iluminatora, przyćmiewając gwiazdy. Clark przesunął się i nacisnął przycisk na pulpicie. Światła przygasły, pomieszczenie znalazło się w prawie całkowitej ciemności. Pierre popijał kawę i wycierał ręką iluminator.

– Mamy go przed sobą – zaczął Clark, wskazując kubkiem. – Pierwszy raz widzę go z tak bliska.

– Nigdy nie zdarzyło ci się przekroczyć orbity Jowisza, prawda?

– Nie byłoby źle, gdybym i tym razem tego nie zrobił.

Stali obserwując mały krążek Saturna i jego pierścienie, które z tej odległości wydawały się bardzo drobne.

– W sali trójwymiarowej widziałem też Urana – zagadnął Pierre.

– To tylko zielonkawy punkcik?

– Tak, zupełnie jak całkiem jasna gwiazda.

– Nie widać go z Ziemi.

– Ja go widziałem kilka razy. Pamiętam, że z przyjacielem byliśmy na jakimś szlaku w naszych górach, w Alpach, wysoko, gdzie nie ma nawet jodeł.

– Nigdy bym nie pomyślał.

– Nie, pewnie, że nie.

Clark smakował ostatni łyk. – Jak myślisz, czy dane dostarczone nam przez Bena są ścisłe?

– Jeżeli tajne służby się nie mylą...

– Zastanawiam się, po co ci ze Wschodu zamontowali bazę na Oberonie. To nie jest ta historyjka co zwykle, o wyścigu z Zachodem.

– Nie, w przeciwnym razie nadaliby temu niezły rozgłos, możemy być tego pewni. Mieli swoje powody.

– Ben twierdzi, że rosyjska stacja jest zamieszкана...

– Raczej mało prawdopodobne.

Stali w ciszy, obserwując otwierającą się przed nimi przestrzeń kosmiczną, w której błyszcząły nieruchome gwiazdy. W półmroku Pierre spojrział na dno kubka. Przyszłość, gdyby umiał przewidzieć przyszłość! A także teraźniejszość. Nie wiedział o teraźniejszości zbyt wielu rzeczy. Nie wiedział, co

się stało z Ziemią, z jego Francją, z Heinzem, samotnym na tym lodowym satelicie, nie wiedział, co ich oczekuje na tym przeklętym księżycu Urana. Pierre obserwując przez iluminator kosmos, a później dno kubka, pomyślał, że ma szczęście.

Nie miał żony ani dzieci, był wolnym człowiekiem. Ten zawód wybrał z pasji. Kochał prace i szukał przygód. Żał mu było tylko kilku osób z Ziemi, kilku przyjaciół, którzy doceniali jego poczucie humoru i porywczosć. Rzucił okiem na przyjaciela. Był ubrany w niebieskie dżinsy i koszulkę. Wysoki i silniej zbudowany niż on sam. Ale z nas kosmonauci, pomyślał, a uśmiech zarysował się na jego wargach. Clark nadal badał wzrokiem niebo.

Siedząc w fotelach, przed pulpitem sterowniczym, dwaj kosmonauci długo dyskutowali ze sobą i Benem. W ciągu kilku godzin musieli podjąć decyzję. Mieli dwie możliwości. Mogli przerwać zwalnianie i pozwolić Saturnowi przyciągnąć się z ciągle jeszcze większą szybkością, żeby potem wykorzystać efekt fali, dzięki któremu zostaliby wyrzuceni w pełnym biegu i bez zużycia paliwa w przestrzeń kosmiczną. Włączając ponownie silnik jonowy mogliby uzyskać moc, która w ciągu kilku miesięcy zaniósłaby ich na spotkanie z Uranem. Druga możliwość polegała na oddaleniu się od Saturna na około 150 milionów kilometrów. Wtedy mogliby zawrócić i skierować się do Jowisza, a dalej na Marsa. Znając położenie tych dwóch planet wiedzieli, że taka podróż trwałaby bardzo długo, a Heinz zostałby na zawsze na Tytanie. Położenie Urana zapewniało zaś możliwość powrotu i zahaczenie o orbitę Saturna w krótkim czasie.

W krótkim czasie – to tylko eufemizm – miną jednak dwa lata. Istniała też możliwość opuszczenia statku i dotarcia do Tytana w szalupie ratunkowej, lecz to skazałoby ich na spędzenie reszty życia na pustym satelicie.

– Nie możemy porzucić Heinza na zawsze – stwierdził Clark.

Pierre przytaknął głową, rysując coś z roztargnieniem na kawałku papieru. – I nie możemy także opuścić statku, aby żyć jak rozbitkowie na tym przeklętym księżycu... O Boże! – ołówek złamał się – gdybyśmy tylko wiedzieli cokolwiek o Ziemi!

Clark spojrział na wyłączony ekran. – Uran – mruknął.

Pierre lekko wyprostował plecy i przybrał zrezygnowany wyraz twarzy. – To przymusowe szaleństwo.

– Nie jest to aż tak rozpaczliwe przedsięwzięcie. W końcu opracowaliśmy doskonałą trasę i dosyć dobrze znamy Uran oraz jego satelity – choć żaden człowiek nie dotarł tak daleko, badały je automatyczne sondy.

– Jeśli o to chodzi, wygląda, że ci ze Wschodu już tam byli... Być może pomogą nam zreperować silnik...

– Jesteśmy w porządku. – Zaśmiali się.

Clark natychmiast spowaźniał. – Musimy porozmawiać o tym z Heinzem.

Do punktu krytycznego brakowało trzydziestu minut. Od dziewięciu godzin statek nieprzerwanie wzywał Tytana nie otrzymując jakiegokolwiek odpowiedzi. – Ach ten wariat! Gdzież on się podział? – Pierre gestykulował podniecony. – Musimy podjąć decyzje nawet go nie uprzedzając!

Clark, z rękoma w kieszeniach, chodził tam i z powrotem po module. – Ciągłe nic, Ben?

– Brak odpowiedzi.

Clark westchnął: – Nie ma sensu się denerwować. W każdym razie decyzja została już podjęta – jedyna do przyjęcia. – Stał i rozłożył ręce. – Teraz jedynym problemem jest odnalezienie Heinza. Nie wydaje mi się, aby kombinezon kosmiczny zezwalał mu na dziewięć godzin niezależności. Może połknął pudełko środków nasennych i teraz śpi jak niemowlę... Nie, to niemożliwe. Może zepsuło mu się radio.

– Ee, wydaje mi się to dziwne.

– Albo... Mógł wyjść w jednym z tych tam... – opadł na fotelik i spojrzał na Clarka – tak, te środki transportu, które mają w bazie, pojazd gaśnicowy.

– Wyjść, po co?

– Tego to ja już nie wiem.

Małe migacze wzdłuż ściany z zielonych stały się żółte. Clark i Pierre spojrzeli na siebie. – Co się dzieje, Ben?

– Do punktu krytycznego brakuje dwudziestu minut. Należy udzielić instrukcji.

Clark przestał chodzić i opuścił wzrok. – Więc uzgodniliśmy, Pierre?

– Tak.

– Za dwadzieścia minut wyłączyć silnik jonowy w fazie opóźnienia oraz odwrócić położenie statku, aby przenieść silniki na rufę. Przygotować przyspieszenie w kierunku Urana.

– Dobrze – powiedział Ben.

9. Uran

Towarzyszowi, pomyślał mały Uran, poruszając się z wysiłkiem wzdłuż ciemnej pochyłości, musiało brakować piątej klepki. Właśnie tak. Najpierw powiedział mu, że to on dał mu życie, potem wytłumaczył, iż stworzył go “ponieważ czuł się samotny”. Ponieważ czuł się samotny. Ech. Mały Uran dotarł do końca pochyłości i ujrzał przed sobą zarysowujące się mroczne i popękane ściany krateru, wznoszące się aż do gwiaździstego nieba. Robot westchnął i przystanął, aby obserwować ten mur od podstawy aż po zębatą krawędź.

Tam w górze, pomyślał, mógłby ogarnąć wzrokiem dużą część Oberona, a może nawet ponownie ujrzyć białe światła bazy.

Rozpoczął wspinaczkę, bez pośpiechu, stromą ścieżką, na której rozsiany był gruz, i ponownie zaczął myśleć o dużym robocie, o Towarzyszu, o momencie, w którym powiedział mu, że to on go stworzył. To nie była prawda. To nie była prawda, ponieważ – Uran wzruszył się tą myślą – życie zostało mu dane przez chochlika, a Towarzysz nie stworzył chochlika. Uran zapytał go o to: – Stworzyłeś także chochlika? I Towarzysz odpowiedział z przemądrzałą miną, że nic nie wie o chochlikach i że wraz z krasnalami żyły one tylko w bajkach czytanych kiedyś przez dzieci na Ziemi. Uran odparł bez ogródek: – Jesteś ignorantem i nie mówisz prawdy, bo to właśnie chochlik daje życie. I jeśli nic nie wiesz o chochliku...

Naprawdę, powiedział mu do słuchu. Towarzysz myślał, że, aby spowodować narodziny życia, wystarczy połączyć trochę obwodów. Kilka obwodów, aby dostarczyć ideę istnienia, świadomość. Ale głupiec. Czy możliwe – pytał się Uran pokonując stok – żeby Towarzysz nie był istotą żyjącą? Nie, nie wydawało się to możliwe. Kto wie?

Wózeczek o trzech rolkach ze specjalnej przywierającej gumy kontynuował wspinaczkę wzdłuż ciemnej pochyłości, po lodzie pokrytym popiołem, odpadami, prastarymi szczątkami.

Wtem Uran pomyślał, że ten pył musi tu być rozsypany od milionów lat, być może, w wyniku zderzenia samotnego meteorytu, który wieki wędrował po niczym nie ograniczonych trasach wszechświata, napotykać, kto wie, na jakie wspaniałości. Błąkający się gład, który w końcu roztrzaskał się, rozsypał w pył na tym nic nie znaczącym księżycu i będzie spoczywał na lodowej powierzchni, wymieszany z lodem, gładzany tylko przez delikatny gwiazdny wiatr.

Uran postanowił, że nie skończy tak jak ten pył, nie odda się ciszy i ciemności. Rolę pyłu, mruczał do siebie, zostawi Towarzyszowi, skoro mu tak na niej zależy. On, robot o imieniu Uran, istnieje bo musi widzieć, rozumieć, szukać. “Bo jeśli nie, to po co żyję?”

Dokładnie w tym momencie zamiast się wspinać, wózek zaczął ześlizgiwać się w dół. Uran zablokował ruch, ale rolki nie odzyskały kontaktu z gruntem i wózek przekształcił się w sanki. Robocik zdał sobie sprawę, że w tym miejscu lód nie był pokryty pyłem, i zjeżdżając w dół, mógł uchwycić lekki błysk jego czystości, odbicie słabej poświaty firmamentu.

Wprawił w ruch rolki, lecz nadal się ześlizgiwał i niebezpiecznie nabierał prędkości, aż do miejsca, gdzie popiół i pył znowu zalegały gładką powierzchnię. Wtedy dopiero guma chwyciła i robocik przestał się ślizgać. Zatrzymał się, relaksując wszystkie obwody, choć już obawiał się, że straci panowanie nad wózkiem i wyląduje do góry rolkami. Czujniki zaczęły badać roztaczający się przed nim stok. Pięćdziesiąt metrów wyżej widać było rozległą plamę, jaśniejszą od otaczającej ją powierzchni. Tam lód lekko błyszczał, na pierwszy rzut oka nieszkodliwie. Uran pomyślał, że tę

plamę trzeba bezwzględnie ominąć. Uruchomił wózek i zaczął się wspinać, pokonując szeroki zakręt, aż do momentu, gdy w połowie ścieżki błyszcząca plama była już za plecami. Chwilę później zatrzymał się, gdyż stok był nie do pokonania, mimo iż rolki pracowały jak szalone, starając się osiągnąć szczyt.

Zatrzymał się i spojrzał w górę, w stronę krawędzi, a potem w dół, w poszukiwaniu punktu, z którego wyruszył, lecz ciemność uniemożliwiała dostrzeżenie miejsc i szczegółów, wchłaniając rzeczy, niwelując różnice, tak że każdy element stawał się w niej anonimowy – wszystko i nic. Robot dostrzegł wyraźnie tylko słabe światło odbite przez kawałek czystego lodu.

Im wyżej, tym stok stawał się bardziej niedostępny. A jednak, powiedział sam do siebie obracając pudełko, w którym umieszczone były jego oczy, musi być jakiś sposób. Nie było możliwe, aby dzięki czarom złagodzić stromość. W takim razie trzeba było ruszyć na poszukiwanie mniej karkołomnego przejścia.

W ten sposób, nie zdając sobie z tego sprawy, Uran dokonał najprostszego odkrycia. Ruszył okrążając krater na wysokości trzech czwartych wzniesienia, lecz nie zauważył, że ciągle idzie lekko pod górę. Nie poruszał się horyzontalnie ani też nie wspinał się pionowo w górę. Nie wiedząc o tym, wspinał się ukośnie, po przekątnej, przecinając w połowie wzniesienie. Zdał sobie sprawę z tego, co się stało, dopiero kilka metrów od szczytu. Dalej poruszał się podobnie i w krótkim czasie osiągnął skraj krateru. Zablockował rolki na pozębionym szczycie. Teraz czekało go zejście w dół, do równiny zamkniętej przez mury antycznych skał.

Zawahał się. Przed rozpoczęciem zejścia odwrócił pudło z dwiema gorejącymi główniami, które były jego oczami, w poszukiwaniu znajomego białego światła, światła z bazy, z której wyruszył.

Nie dostrzegł go, więc ponownie zanalizował przestrzeń z wyteżoną uwagą. Z góry badał całą długość horyzontu, panoramę mrocznych lodów, ciemnych dolin i zarysy innych kraterów. Patrzył uważnie, lecz biały reflektor był wciąż ukryty, a Uran w głębi siebie poczuł coś nowego, czego jeszcze nie chwycił, nie rozumiał w całości. Wydało mu się, że słabnie światełko chochlika, siedzącego na kwarcowym tronie w sercu jego umysłu.

Mały Uran stał na skraju krateru, okryty ciemnością nocy i gwiazdami, kołysany przez rodzące się słodkie uczucie, które wolno wynurzało się z zakamarków jego własnego “ja”. Automat był zdziwiony i czuł coś, co, być może w słowniku wyrytym w jego magnetycznych obwodach, zostało zdefiniowane jako “nostalgia”.

Nostalgia? spytał się bez przekonania, nie dowierzając, że mógł czuć nostalgię, tęsknotę za bazą, za Towarzyszem?

Wydało mu się, że z chochlika tryskał nowy blask.

Nadal stał nieruchomy, na szczycie, na krawędzi, gdzie panowała absolutna cisza. W myślach widział obraz bazy i postać tego głupca... To uczucie dawało się coraz bardziej we znaki. Widział białe, plastikronowe ciało, o wiele wyższe od niego, zrobione na podobieństwo człowieka, z nogami i ramionami... Jak człowiek. Wiele razy mały robocik myślał o człowieku, zastanawiał się nad związkiem między nim a człowiekiem, między nim, chochlikiem, Towarzyszem a człowiekiem.

Poczuł drżenie w środku, a światło chochlika stało się znowu bardziej intensywne i jasne.

Jest wiele rzeczy, mówił sobie, jest wiele rzeczy, których musi się nauczyć. Spojrzał na horyzont i znowu pomyślał o tym ignorancie Towarzyszu, który twierdził, że go stworzył. Zastanawiał się, co też on może w tej chwili robić; wyobraził go sobie na stołku, na mrocznej, przykrytej gwiazdami równinie, wykonującego obowiązki, które nałożyli na niego ludzie.

Mały automat wprowadził w ruch rolki. Powoli i ostrożnie zaczął schodzić ku wulkanicznej równinie.

Wtem zatrzymał się zdumiony. Wysunął teleskopowe ramię i dotknął czegoś, co przypominało gumową piłkę. Co to u licha, mogło być?

Rozejrzał się dookoła, zerknął na mroczny zakręt na zboczu krateru, w który właśnie wszedł, i jego czujniki wykryły obecność jeszcze trzech podobnych rzeczy.

Uran czuł, jak płaczą mu się obwody. Wiedział bowiem, że te rzeczy nie mogły istnieć na Oberonie. Nie mogły istnieć, ponieważ przy stu sześćdziesięciu stopniach poniżej zera każda rzecz musiała ulec zamrożeniu, zeszywnieniu. Te rzeczy zaś były elastyczne, jak z gumy, czy żelatyny.

Metalowe ramię dotknęło jeszcze jednego i mały robot coś zauważył – w porównaniu z otoczeniem temperatura tych rzeczy była wyższa. O wiele wyższa. Skąd pochodziło to ciepło?

Robot pomyślał, że istnieje tylko jedna odpowiedź: Ciepło było wytworzone przez te rzeczy. Jak? Niezły problem. Uran westchnął i zaczął rytmicznie, na przemian się cofać i ruszać do przodu na swych rolkach.

Te rzeczy musiały być zrobione ze specjalnej substancji, zastanawiał się, substancji o dużej wytrzymałości termicznej, w przeciwnym razie ciepło natychmiast by się ulotniło.

Kto wie, spytał sam siebie, może Towarzysz coś o tym wie. Może, z jakiegoś dziwnego powodu ukrywał przed nim tę sprawę lub też naprawdę nic o tym nie wiedział. To nic dziwnego, Towarzysz, mamrotał do siebie robot, był zbyt wierny rozkazom i nie oddalał się nigdy zanadto od bazy. Tak więc nigdy niczego nie odkrył.

Znów wyciągnął teleskopowe ramię i musnął żelatynową kulkę. Poczł lekkie wyładowanie elektryczne. Aż podskoczył ze zdziwienia – jak to było możliwe? Ponowił próbę, teleskopowe ramię wolno rozsuwało się z wyważoną powolnością, aż wieńczące ramię kleszcze musnęły galaretowatą piłkę. Ponownie przez małego Urana przebiegł lekki prąd elektryczny. Wycofał metalową kończynę, a jego czerwone oczy nadal utkwione były w tych rzeczach, osadzonych w kamienistym sklepieniu.

Robot poczuł się zadowolony; czymkolwiek te rzeczy były, miał do czynienia z ważnym odkryciem. Musiał wrócić do stacji i poinformować o nim swego przyjaciela. Jeszcze raz dotknął czegoś w rodzaju gumowej kuli i cofnął się, ześlizgując się na rolkach aż do środka krateru. Skontrolował instrumenty i o poczuł, że mdleje. Ależ z niego głupiec, idiota, dureń!

Stał bez ruchu, na środku krateru, czekając, aż ktoś przyjdzie go uratować.

10. Ciemno

Stary George mógł się założyć, że coś było nie tak. Krowy nerwowo ryczały, w kurniku kury trzepotały skrzydłami, dziobały się nawzajem i histerycznie grzebały w piasku. George zatrzymał się pośrodku klepiska, podciągnął pasek starych spodni i poprawił wytartą koszulę. Rozejrzał się dookoła. Dziś wieczór, gderał, coś się wydarzy. Burza, trąba powietrzna, a może trzęsienie ziemi... George wciąż się rozglądał wkoło. Kiedy spojrzął na Słońce, przymknął oczy. On się nie martwił; nie miał powodu. Pozamyka zwierzęta, przykryje ubrania, zanieś paszę do stajni. A potem schroni się w swojej starej zagrodzie, pod pierzyną, w skrzypiącym łóżku. Nic nie było w stanie zagrozić jego chałupie – nawet trzęsienie ziemi. To była stara zagroda, zbudowana więcej niż solidnie, była jak skała, na przestrzeni wieków nie zwyciężyły jej ani wiatry, ani woda. Mimo że było już późne popołudnie, wciąż było ciepło. George uśmiechnął się, gdy lekki powiew wiatru zgiął trawę i dmuchnął w jego rzadkie włosy. Przymknął oczy i spacerował po nasłonecznionym powietrzu, rozkoszując się powiewem, który teraz trząsał liśćmi platanów na początku ścieżki przed podwórzem.

Otworzył oczy i ujrzał intensywnie niebieskie niebo. Wrzesień, pomyślał George, odchodzi w najwspanialszy sposób. Nie żałowało się maja ani też sierpnia czy czerwca. Nagle usłyszał szelest. Starzec natychmiast odwrócił oczy i dojrzał jaszczurkę, która wyszedłszy z zarośli zatrzymała się w słońcu koło ściany domu. Wszystko było na swoim miejscu. Przyroda pełna chwały podąża swoją drogą. George uniósł twarz do Słońca, popatrzył na rośliny, na pole kukurydzy... Pełna chwały, uśmiechnął się. Wszystko było w porządku, ale krowy mówiły, że tego wieczora będzie co najmniej straszna burza z grzmotami i rozjaśniającymi wieś piorunami.

George'owi podobały się burze. Fascynowały go odkąd, był małym chłopcem, gdy wychodził na otwartą przestrzeń, na deszcz i wiatr. Przypomniawszy sobie ojca, kiedy go wołał z ganku, starając się przekrzyczeć grzmoty. Westchnął; nigdy nie złapało go nawet przeziębienie, był zawsze zdrów jak ryba.

Spojrzał na błyszczące opalone ręce, z żyłami biegnącymi zaraz pod skórą. Wiatr bez ostrzeżenia uspokoił się, a ptaki odważyły się rozpocząć swój śpiew. George poczuł słodką tęsknotę, dyskretną, niesioną przez wiatr wraz z zapachem kończącego się lata.

Ruszył przed siebie zastanawiając się, skąd pochodzi ten zapach. Był to ten sam zapach, który czuł będąc małym chłopcem w owych dniach, w połowie września, gdy była ładna pogoda. Zastanawiał się, co go wytwarza, ale wiedział też, że i tak tego nie pojmie: ziemia, trawa, kwiaty... W tych dniach wszystko miało szczególny zapach, inny niż w maju czy lipcu... Ten zapach był słodszy, pomyślał George i zatrzymał się obserwując trawnik. To było tak jakby przyroda wiedziała o nadchodzącej zimie... I w zimie – starego przeszedł deszcz – przyroda wstrzymywała oddech, zasypiała, a życie ustępowało przed śniegiem i mrozem... Zima nie miała zapachów.

Piłka przeleciała trzy czwarte boiska i spadła z nieba. Franz zastopował ją z łatwością klatką piersiową i zatrzymał przy nodze. Rozejrzał się dookoła, ujrzał przeciwników daleko za sobą i zaczął biec po trawie, popychając piłkę przed sobą.

Helmut zrobił wślizg, próbując go zatrzymać, ale małemu Franzowi udało się go przeskoczyć. Wypuścił jednak piłkę zanadto przed siebie. Inny przeciwnik dosięgnął! jej przed nim i kopnął w drugą stronę.

– Musisz wcześniej podawać – wrzeszczał na niego kolega z drużyny. – Nie ma sensu, żebyś próbował zrobić wszystko sam!

Franz nie zwrócił na niego uwagi. Był zadyszany i paliło go gardło. Wrócił na środek boiska, spojrzął na niebo i zobaczył, że jest ono błękitne, prawie niebieskie.

Zatrzymał piłkę stopą i natychmiast podał ją Karłowi, po czym pobiegł do przodu na lewe skrzydło. Przyjaciel minął jednego przeciwnika i podał z powrotem. Franz ruszył, wbiegł na pole karne i zerknął na bramkarza. Dostrzegł też przeciwnika biegnącego do niego... Słyszał, jak krzyczą, lecz nie wiedział, co chcieli mu powiedzieć. Naprężył nogę i rąbnął stopą w piłkę, która, odbita, poleciała do bramki. Przez ułamek sekundy Franz obserwował, jak kula frunie ku bramce, w kierunku zachodzącego Słońca. Nagle przerwała swój lot, siatka naprężyła się, a bramkarz upadł bezsilny na ziemię...

– Goooool!

Franz uniósł do góry ręce i podskoczył jak sprężyna. Był zadowolony.

– No więc, co nowego?

– Nic specjalnego, wszystko normalnie – odpowiedziała Valentina.

Willy popijał parującą herbatę. – Parzy!

– Mam nawet kilka ciasteczek, jeśli masz ochotę.

Willy spojrział na nią łakomym wzrokiem. Valentina wstała z krzesła i otworzyła szafkę w kredensie. – Tylko cztery czy pięć, reszta jest dla Franza. Coraz trudniej je dostać.

Willy potrząsnął głową. – Wiem, wiem.

– Ty coś opowiedz – zaczęła Valentina kładąc ciastka na stole. Spojrzała na brata. – Nie widzieliśmy się od miesiący.

– Właśnie – odpowiedział Wili. – Odkąd ponownie wezwali mnie do wojska, życie stało się takie monotonne: konserwacja, kontrola pocisków raketowych, komputerów. Czasami myślę, że miałem szczęście, bo nie trafiłem do formacji konwencjonalnej. Już by mnie pewnie wykończyli. Może w wybuchu w jakimś czołgu, albo w płomieniach napalnu.

Valentina ściszyła głos: – Co mówią w kwaterze głównej? – Willy roześmiał się. Łyknął drugiej herbaty.

– U nas jest tylko dowództwo dywizji – rzekł – to nie jest ważny ośrodek, co chcesz, żeby mówili... Wszyscy wykonują rozkazy.

– Jasne, ale jaka panuje tam atmosfera?

– Nie jest zbyt dobra. – Willy spoważniał, oparł się o krzesła. Patrzył na malutką kuchnię, wyłożoną kafelkami, na meble, na urządzenia domowe. – Nie brakuje ci niczego, co?

Valentina spuściła głowę. – Nie, odkąd Heinz odjechał zapewnili nam nowy urządzony dom i dobrze nam płacą.

– Nie powiedziałaś jeszcze nic o Heinzu – zagadnął Willy.

Valentina uśmiechnęła się: – Następne połączenie jest ustalone na przyszły tydzień.

– Nie możesz się doczekać, żeby go usłyszeć?

– Nie mogę.

– Co powiedział ostatnim razem?

– Czuję się dobrze, ale życie jest nudne i monotone. – Potrząsnęła głową. – Boję się o niego. I o siebie.

Słońce zachodziło, niedługo mama wyjrzy z balkonu, by go zawołać. Franz przyrzekł sobie, że przed pójściem do domu strzeli jeszcze jednego gola.

Paul wybił piłkę z rogu tak, że znalazła się pośrodku pola karnego, dokładnie pod nogami Karla, który próbował uderzyć ją w locie, ale nie trafił. Piłka odbiła się, mały Franz podskoczył i udało mu się uderzyć ją głową. Leciała dziwnym, parabolicznym torem i spadła na ziemię za bramką. Zmarnował okazję.

Valentina wyjrzała z balkonu. – Franz, Franz! Chodź już, zaraz będzie ciemno! – Chłopiec spojrzał w górę, w kierunku małej willi. – Jeszcze jeden gol!

– Chodź natychmiast, mam niespodziankę!

Franz pożegnał się z przyjaciółmi i pobiegł do domu.

Podniósł się silny wiatr, który prawie że nie pozwalał biec. Franz stanął. – A niech cię, skończysz z tym wreszcie?

Wiatr uspokoił się. Zadowolony, chłopiec znowu biegł truchtem. Dotarł do furtki. Już się zabierał do przeskoczenia jej, gdy się powstrzymał – lepiej nie ryzykować. Zwykle pokonywał ją bez trudności, ale ostatnim razem potknął się i upadając zdarł sobie skórę z kolana. Chłopiec zerknął na małe strupki unosząc nogę: zsychały się.

Otworzył drewnianą furtkę, minął ogródek i wbiegł po schodach na pierwsze piętro. Usłyszał rozmawiającą głośno matkę i jeszcze jeden bardzo znajomy głos. Otworzył drzwi na roścież i wbiegł do kuchni.

– Spójrzcie kto przyszedł! Cześć, Franz!

Chłopiec rzucił się w ramiona Willy'ego. – Co mi przyniosłeś? – spytał.

Valentina zaśmiała się.

– Nic ci nie przyniosłem – odpowiedział poważnym głosem Willy.

Franz spojrzał na niego z zabawną miną i zaczął gestykulować. – Nie wierzę!

Valentina pokręciła głową: – Nie, naprawdę nic ci nie przyniosł.

– Nie wierzę. No, pokaż!

Willy wstał i ręką poczochnął mu włosy. – Chodź – powiedział.

– Dokąd?

– Do twojego pokoju.

Przypomniał sobie, że ma na nogach zabłocone buty i że wybrudził nimi podłogę. Wychodząc spojrzał ukradkiem na matkę, z nadzieją, że tego nie zauważyła. Valentina znów się zaśmiała: – O czym myślisz urwisie?

– O niczym. – Franz wzruszył ramionami wykazując zupełną obojętność. Willy stanął w drzwiach do pokoju. – Prezent jest w moim pokoju? – spytał chłopak.

– Otwórz.

Chłopiec lekko pchnął drzwi, które lekko zaskrzypiały. Było tam jego ładne łóżeczko, poduszki, porozrzucane po podłodze zabawki, plakaty na ścianach i ostatnie, czerwone promienie Słońca, przenikające przez okno... Gdzie był ten prezent? Uniósł głowę i spojrzał pytającym wzrokiem na Willy'ego.

Mężczyzna uśmiechnął się. – Poszukaj, poszukaj!

Wszedł do pokoju i rozejrzał się dookoła.

– No więc?

Mały Franz przybrał zmartwiony wyraz twarzy. – Co się dzieje? – spytał.

– Nic – odpowiedziała Valentina – co chcesz, żeby się działo?

– Jest coś, co... Hmm... – Podszedł do okna. – Patrzcie, patrzcie tam na zewnątrz...

Willy i Valentina spojrzeli na siebie zdziwieni. Franz odwrócił się i przywołał ich gestem ręki. – Chodźcie! Boisko!

Wyjrżeli przez okno. Boisko było tam gdzie przedtem, przed nimi. Tak samo domki, wille i niebo.

Ale Franz miał rację. Działo się coś subtelного, nieokreślonego, trudnego do zrozumienia: ten widok, tak znany, teraz wydawał się prawie obcy... – Ten kolor, ten kolor! – krzyknął Franz. W sypialni drugie dziecko zaczęło płakać i wrzeszczeć. Valentina nie zwróciła na nie uwagi.

Barwy zmieniały się. Zieleń trawnika stawała się złota, Słońce zbladło i wyglądało jak... Tak jakby się patrzyło przez lustro spokojnej błękitnej wody – wszystko przybierało nieco zamazane kształty. Słońce nie poruszało się, już nie zachodziło, a mimo to jego światło umierało...

Mały Karl wrzeszczał i płakał w swoim łóżeczku. Słońce zniknęło i zapadła ciemność.

Valentina poczuła lekki zawrót głowy, ale natychmiast oprzytomniała. Widziała, jak zapalają się światła w domach, jedno po drugim; wiele osób wyszło na ulicę. Valentina chwyciła Franza za rękę i weszła do pokoju, by uspokoić małego Karla.

Willy zszedł na ulicę.

W radiu ciągle powtarzali, że ten fenomen nie został wywołany przez wybuch nuklearny. Telewizja nakłaniała do zachowania spokoju; mówiła, że trwały rozmowy między szefami dwóch bloków i że został już podpisany rozejm.

– Ekipy naukowców – mówił spiker – tak na zachodzie, jak i wschodzie, pracują intensywnie, cały czas wymieniając między sobą dane i wiadomości.

Mężczyźni i kobiety zbierali się w większych domach, w kinach, w lokalach publicznych, przyklejeni do ekranów telewizorów trójwymiarowych, zasypywali gradem telefonów ośrodki informacji.

Co godzinę do każdego domu docierało nadzwyczajne wydanie gazet. Co godzinę temperatura Ziemi bezlitośnie się zmniejszała.

Telewizja pokazywała ujęcia z każdego punktu świata i wywiady ze znanymi naukowcami, ludźmi kultury i z duchownymi. Obliczono, że dwa miliardy ludzi miało wzrok wlepiony w telewizory. Było to największe przedstawienie, jakie kiedykolwiek transmitowano.

Bardzo szybko dziennikarze musieli zacząć trzymać fantazję na wodzy: po czterech czy pięciu godzinach sytuacja stała się dramatycznie statyczna, pozbawiona nowości, wiadomości. Stacje, które przedkładały wiadomości urywkami programów rozrywkowych czy filmami science fiction, miały zerowy stopień oglądalności.

Śledzone były te stacje, którym udało się skaptować największych naukowców, najbardziej znanych popularyzatorów. Następowały po sobie potoki hipotez przeplatane zręcznie podawanymi fałszywymi wiadomościami, potem dementowanymi.

Ludzie godzinami siedzieli bez ruchu, przykuci do krzeseł i foteli, oczekując od telewizji jakiejś wiadomości, która zbudziłaby nadzieje. Nieliczne osoby wychodziły na zewnątrz. Aby oszczędzać energię, oświetlenie zredukowano do minimum, panowała więc absolutna ciemność.

Na niebie nie było błyszczących gwiazd ani Księżyca.

Temperatura obniżyła się o kilka stopni. Oczywiście niektórzy pomyśleli o kłopotach dnia codziennego i starali się zabezpieczyć swe losy finansowe. Zaczęli działać tak zwani szakale, złodzieje, kieszonkowcy, którzy wykorzystywali zredukowanego do minimum nadzór i fakt, że prawie nie strzeżono banków.

Po dziesięciu godzinach nastąpiło kolejne niewytłumaczalne zjawisko: kina i domy opustoszały, wiele telewizorów zostało roztrzaskanych.

Ludzie zapełnili kościoły, pełne dotąd zapomnianych marmurów, zakurzonych ławek, matowych malowideł.

Starzy księża wynurzyli się z zakrystii nie wierząc własnym oczom.

Tej nocy strachu organy zaczęły znów śpiewać. Nie wszystkie, ponieważ wiele z nich miało maszynierię skorodowaną przez czas, a piszczałki zapchane kurzem.

Oczy tłumy utkwione w krucyfiksy. Wiele kolan zgięło się, wiele rąk połączyło się, a kościoły były tak pełne, że przypominały msze bożonarodzeniowe z poprzedniego wieku. Niektóre stacje odkryły to zjawisko, dziennikarze zostali więc wysłani, by bezpośrednio relacjonować nabożeństwa. Niewytłumaczalne było to, że ludzie niszczyli kamery.

W tajemnicy szefowie obu Bloków zażądali wyjaśnień od papieża, ten jednak poprzysiągł, że o niczym nie wie.

Znaczna część wojska zbuntowała się, tak na wschodzie, jak i zachodzie. Technicy roztrzaskali na kawałeczki komputery baz wojskowych. Mnożyły się samobójstwa: ofiarami byli zwykle generałowie, naukowcy i politycy.

Po upływie trzynastu godzin siedziby rządów otoczone były przez tłumy obywateli, którzy krzyczeli, płakali i wznosili pięści ku czarnemu niebu. Zwyczajni ludzie, nie podejrzewani przez tajne służby, ludzie, którzy, jak się zdaje, wyładowywali tłumioną przez lata złość.

Z nadejściem szesnastej godziny siedziby rządów były zdewastowane, aparaty biurokratyczne, policyjne, wojskowe w rozsypce.

Valentina położyła spać Franza i Karla. Potem zamknęła drzwi i okna i została w kuchni, by porozmawiać z Willym. Snuli tysiące domysłów, domniemań dotyczących tej zimnej nocy – coraz zimniejszej – i już całkiem bezgwiezdnej.

Potem Valentina zdecydowała, że spróbuje się położyć. Długo myślała o Heinzu, który był tak daleko w kosmosie. Kto wie, co się dzieje tam w górze. Zastanawiała się, czy mąż zauważył zniknięcie wszechświata. Albo, co było prostsze, że malutka Ziemia opuściła wszechświat.

Nie mogła zasnąć. Było jej zimno.

11. Jeszcze bardziej samotny

– Heinz, do diabła! Wzywamy cię od dwudziestu godzin!

– Wybaczcie. Musiałem opuścić Przyczółek z powodu kłopotów w bazie numer jeden.

– Coś poważnego?

– Kamera telewizyjna nie działa i chyba teleskop został uszkodzony. Nie udało mi się naprawić.

Będę chyba musiał tam wrócić. Może pójdziemy razem?

Heinz zdecydował się nie wspominać o stworzeniach. Powie o nich osobiście.

– U was wszystko w porządku? – ciągnął dalej.

– Właśnie o tym chcieliśmy z tobą rozmawiać. Uszkodzony został motor jonowy. Mamy połowę mocy opóźnienia.

Heinz poczuł się słabo – jakby ciśnienie w arteriach nagle spadło. Przez kilka sekund radio nadawało tylko szmery i zakłócenia.

– Musieliśmy podjąć decyzję, a nie mogliśmy nawet jej z tobą skonsultować. Zwalniając z jednym silnikiem nie dotrzemy do Saturna...

Heinz słuchał ze ściśniętym sercem wyjaśnień dowódcy. Chciało mu się płakać i gdzieś się ukryć...

– ...Pozostaje ostatnia możliwość. Rendez-vous z Uranem i powrót na Saturna. Według naszych obliczeń zajmie nam to w sumie dziewięć miesięcy.

Dziewięć miesięcy, jeszcze dziewięć miesięcy. Dziewięć miesięcy w samotności. Zdał sobie sprawę, że nie ma nic do powiedzenia. Zupełnie nic. Tylko ból i chęć płaczu. Ale łzy nie chciały napłynąć do oczu, które były suche, jak wypalona przez Słońce roślina.

– Nie można było naprawić?

Nie można było naprawić. Jakie to idiotyczne pytanie, pomyślał. Sam, wyschnięty, zupełnie jak ta roślina o suchych gałęziach i konturach w środku czarnej lodowej pustyni.

– Nie, nie można było nic zrobić. Wszystko przez wojnę – ta część nie powinna była się nigdy zepsuć. Może nie sprawdzili albo nie wypróbowali jej dokładnie... Heinz, zdajemy sobie sprawę. Nam będzie ciężko, a tobie jeszcze bardziej. – Mężczyzna patrzył na głośnik i słuchał odległego, trzeszczącego głosu, nie rozumiejąc poszczególnych słów. Poczul przemożną chęć przerwania rozmowy i wyrwania mikrofonu.

– Ale jesteśmy pewni, że się uda. Trasa jest dokładnie wyliczona i nie powinno być już więcej nieprzewidzianych przeszkód. Trzeba tylko czasu.

– Heinz? Ej, Heinz? Słyszysz nas? Słyszysz nas?

– Tak, słyszę.

– Dobra. Sprawy mają się źle, ale nie możemy się poddać. Musimy zacisnąć zęby, wytrzymać. Nie na wiele się to zda, co prawda, ale nie tylko my jesteśmy w tarapatkach.

– Macie wystarczający zapas żywności?

Słowa wędrowały w przestrzeni kosmicznej. Odpowiedź dotarła równo po minucie. – Tak, na kilka lat. To nie problem. A ty?

– Mam wszystkiego pod dostatkiem. Wystarczy na całe życie.

- Z pewnością nie będziesz tego potrzebował... – Słaby śmiech zmieszał się z szumami tła.
- Jestem zmęczony. Wezwę was jutro rano.
- O.K., zgoda.
- Dobranoc.
- Dobranoc, Heinz.

Clark miał zmęczony, melancholijny wyraz twarzy. Mężczyzna masywną ręką podtrzymywał głowę, a łokieć opierał o pulpit komputera.

– To już rok, jak żyje sam – Pierre starał się przybrać żartobliwy ton głosu – chcesz, żeby nie wytrzymał następnych dziewięciu miesięcy? Jeżeli go wybrali do tej misji, to dlatego, że jest z żelaza. Zdajesz sobie sprawę, ilu psychologów go testowało.

– Nie byłbym tego taki pewien. – Clark potrząsnął głową. – Taki był w normalnych czasach, w czasie pokoju. Rok samotności, a teraz następne dziewięć miesięcy. Trzeba jeszcze dodać cztery miesiące podróży na miejsce.

– Te cztery miesiące spędził w towarzystwie innych osób.

– Tak, ale nie była to dla niego najlepsza rozrywka. Być może ja na jego miejscu nie dałbym rady. Dwadzieścia jeden miesięcy samotności na lodowej pustyni. Osiem miesięcy podróży w żelaznym stateczku, w próżni przestrzeni kosmicznej. Wiesz, ile to razem?

Pierre spojrzał w ciemne oczy kapitana, otoczone gęstymi brwiami. – Da sobie radę. Jestem tego pewien.

– Miejmy nadzieję. Dwadzieścia dziewięć miesięcy, prawie dwa i pół roku.

– Dla nas to też nie żarty: policzyłeś?

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, szesnaście miesięcy.

– Dokładnie. Dla nas też niemało.

– Ale jest nas dwóch.

– Też mi pocieszenie!

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Wielkie oczy Pierre'a przybrały szelmowski wyraz. – Lepiej samotnie niż w złym towarzystwie...

– Nie udało im się roześmiać.

– Przed pójściem spać musimy dokończyć coś, co czeka już kilka dni...

– Szachy – przypomniał sobie Clark – świetna myśl!

Otworzył w ciemności oczy i dotknął plastikowej ściany obok łóżka. Była chłodna i solidna. Musnął ją ręką i nogą. To nie był zwykły zły sen, z którego chce się wyrwać. To właśnie on, tam, w tym miejscu; żywy i realny. On, Heinz Storrel, urodzony w Dortmundzie, 14 czerwca 2062 roku. On, towarzysze zabaw, ojciec, szkoła, praca. Potem ceremonia i żona.

Bezlitosny sędzia wymierzył karę absolutne odosobnienie. A teraz coś lub ktoś zagrażał możliwości wyjścia na wolność, odzyskania życia, po dwóch latach więzienia. Ktoś chciał mu odebrać nadzieję. Ostatnią iskierkę na końcu tunelu.

W tym momencie w przestrzeni kosmicznej statek jego przyjaciół nabierał ponownie szybkości, by dotrzeć na kraniec układu. Heinz kręcił się w łóżku. Te galaretowate istoty. I to wezwanie, ten głos. I

cała reszta... Nie mógł się uspokoić. Jego mózg intensywnie pracował, myślał. Musiał coś zrobić: wstać, szukać, wyjść...

Znów wyobraził sobie wielki statek w kosmosie wśród gwiazd i samego siebie, malutkiego, maluteńkiego, na księżycu Saturna. A potem myślał o Bogu i wyobrażał Go sobie. Wzywał Go. Płakał, nareszcie łzy spłynęły po policzkach i spadły na poduszkę. Głuchy ból uzewnętrznił się, Heinz był wzburzony.

Dziękował wielkiemu Bogu, który podtrzymuje wszechświat i słońca, i galaktyki, i atomy... I który nie może pozwolić, by jego mały syn cierpiał na tym świecie..

Żelazny stateczek nadal żeglował po Czarnym Oceanie, w Wiecznej Próżni, otoczonej odległymi światłami... Latarnie nieskończenie dalekich portów, kołysane przez fale elektronów i cząsteczek, wzniesione na skałach powszechnej grawitacji. Malutki statek płynął obranym kursem chroniąc we wnętrzu dwóch drobnych pasażerów. Zapewniał atmosferę z tlenem, bez którego nie mogli żyć, osłaniał ich przed promieniowaniem kosmicznym i próżnią, które były dla nich zgubne. Jego magazyny gwarantowały żywność organiczną, od której ich życie zależało jak od delikatnej pępowiny.

– Tym razem sam się załatwiłeś.

– Jesteś taki pewien.

– Własnoręcznie zrobiłeś się w konia. – Clark uśmiechnął się przebiegle.

– Niby jak?

– Popatrz: ruszyłeś pionek na siódme pole, nie myśląc o tym, żeby zatrzymać mego... Teraz i ja mogę ruszyć pionek na siódme pole. Źle wyliczyłeś. W ten sposób partia jest remisowa. Zmarnowałeś zwycięstwo.

Clark wyciągnął rękę i pchnął pionek na siódme pole.

– W ten oto sposób – powiedział Pierre – skończyliśmy.

– Dokładnie tak. Przesuniesz pionek na ósme pole i weźmiesz damę. Ale teraz mój ruch, a ja idę na ósme pole i biorę damę. I znowu jest remis.

– Nie widzisz, gdzie jest twój król.

– Pewnie, że widzę. Nie możesz automatycznie szachować.

– Nie, jeśli wezmę damę.

– Co... Co to znaczy? – dopytywał się Clark.

– Proszę: idę na ósme, nie biorę damy, lecz konia. – Przyjaciel wytrzeszczył oczy. – Jesteś automatycznie w szachu. Musisz ruszyć króla. Mam rację? W ten sposób jestem o jeden ruch do przodu. Posuwam laufra tutaj i nie dopuszczam, byś ruszył swój pionek na ósme pole. Teraz nie możesz już wziąć damy. Jesteś załatwiony.

Pierre nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na przeciwnika z tryumfalnym uśmiechem. – Koń, nie dama. – Rozłożył ręce. – W tym wypadku David jest lepszy od Goliata. Prawda?

Stateczek dalej sunął po jeziorzku zwanym Układem Słonecznym.

12. Wzgórze

Z głośnika wydobywał się słaby, prawie niesłyszalny, odległy głos.

Heinz nastawił na maksimum wzmacniacz, lecz bez rezultatu. Ogłuszające wyładowania sprawiały, że głos przypominał odległy obraz, zanurzony w gęstej mgle. Heinz uniknął rozpacz dzięki kontaktom z dwoma astronautami, ale Hyperion minął Saturna już miesiąc temu i od kilku dni nawiązanie łączności był coraz trudniejsze. Teraz znów był absolutnie sam. Wyłączył radio i znów w Przyszółku zapanowała cisza. Heinz obrócił się w fotelu i siedział obserwując pokój, gryząc wargi, starając się złagodzić tik nerwowy.

Jestem sam, myślał, jeszcze raz sam. Podniósł wzrok ku nieskazitelnie czystym ścianom i światłom kontrolnym i głośno powiedział: – Czy jest we wszechświecie ktoś bardziej ode mnie samotny? Czy wśród błyszczących słońc i gigantycznych galaktyk jest ktoś bardziej samotny? – Pomyślał, że zwariował, i roześmiał się. Spojrzał na siebie jak na wariata i znowu się roześmiał. Nie, nie zwariował, był jeszcze w stanie obserwować siebie i oceniać. Wiedział, kiedy jego zachowanie odbiegało od normalności, a to było symptomem zdrowego umysłu.

A jednak był samotny, niewiarygodnie sam. To nie była szalona myśl. Uśmiechnął się i zaczął grać – była to gra porównań. Odkrył, że jest zabawna, nawet daje satysfakcję. Wiązała go ze wspomnieniami, pozwalała czuć się jak inni ludzie, a może nawet jak bohaterowie. Bohater, tak, on był właśnie bohaterem. Człowiek, który walczy i to z przeciwnikami o wiele potężniejszymi.

Pierwszą osobą był Robinson Crusoe. Gdyby tylko, pomyślał Heinz, gdyby był Robinsonem! Wyobraził sobie zieloną wyspę pośrodku błękitnego morza, które przypominało pole chabrów. Morze, ocean. Gorące Słońce, światło. Ryby, zwierzęta i Piętaszek, przyjaciel, towarzysz. Pomyślał o lodowej stacji kosmicznej. Ach, gdyby tylko był Robinsonem Crusoe! Nie, on był jeszcze bardziej samotny i jeszcze większym bohaterem. Uśmiechnął się. Był bohaterem podobnym do tych dzieci, które nocą błąkają się po chodnikach w La Paź czy Rio, same, pozbawione miejsca, gdzie można by coś zjeść i się przespać. Jak dzieci, które kładą się na chodniku i umierają.

Czuł łzy w oczach i walące serce, i złość, i jeszcze płynące w nim życie. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego dane mu było smakować tylko gorzyc samotności, udrękę, rozpacz pustki bez znaczenia, a jednak... Siedział wpatrując się w ciche ekrany. Czuł jeszcze promyk nadziei, który przypominał świecę palącą się w pustym, bardzo wysokim kościele o ciemnym sklepieniu. Musiał wytrzymać i wrócić. Wytrzymać, bo Ziemia istnieje, choć może tylko ukryta... W domu był jeszcze ktoś, kto o nim myślał, czekał na niego.

Tytan ukazywał jak zwykle, ponury, lodowy, lecz fascynujący krajobraz. "Śnieżny kot" sunął na wielkich gąsiennicach, pokonywał kilometry pomiędzy ostrymi lodowymi szczytami, górami i zalany gwiazdami niebem, które zawsze ma kolor najgłębszej nocy.

Siedząc w przezroczystej kopule kierowcy, Heinz pomyślał, że to było najlepsze wyjście: musiał wziąć się ponownie za program badania satelity, by nie dać się wykończyć nudzie. Pierwszy cel był oczywisty – musiał powrócić do uszkodzonej bazy numer jeden, by zreperować kamerę telewizyjną. Starał się nie myśleć o galaretowatych stworach ani o nieludzkim przekazie z ostatniej nocy. Starał się zaklasyfikować je jako efekt zbiegu okoliczności, wrażeń i wniosków bezładnego umysłu.

Fioletowe światła bazy jaśniały regularnie. Heinz zatrzymał pojazd i zszedł do pomieszczenia

dziennego. Wziął potrzebne narzędzia, sprawdził skafander i wyszedł.

Teleskop znajdował się w tej samej pozycji, w której go pozostawił miesiąc temu. Przeprowadził kontrolę i upewnił się, że autonomiczny generator energii działał bez zarzutu; uszkodzona była tylko kamera. Heinz starannie ją rozmontował i umieścił w torbie z narzędziami. Chciał już zawrócić do pojazdu, lecz stanął w miejscu. Zatrzymał się, by poprzez wizjer w kasku obserwować lodową dolinę i wzgórze, które było naprzeciwko niego. Niewielkie zaokrąglone wzniesienie, różniące się od tych dookoła, pokryte wieczną warstwą skryształizowanych gazów. Nie było śladu szczeliny, w którą wszedł w zeszłym miesiącu.

Zszedł w kierunku wzgórza, skrępowany przez skafander, który sprawiał, że szedł jak robot, uważając, by się nie poślizgnąć. Wzniesienie było całe; nie było na nim śladu tunelu, nawet małej blizny. Przeszedł wzdłuż obwodu wypukłości, stanowiącej prawie dokładnie okrąg, nie zauważył jednak żadnego otworu. Wrócił do punktu, z którego ruszył, i skierował się w kierunku teleskopu.

Tylko raz odwrócił się, by spojrzeć na małą dolinę lekko odbijającą jasność konstelacji.

Dzięki małutkiemu laserowi mężczyzna ponownie ustawił kamerę telewizyjną z laboratoryjną dokładnością w linii optycznej. Przyglądał jej się z zadowoleniem. Teraz trzeba ją było wypróbować, ustawiając w głównym ognisku teleskopu i kontrolując obraz na monitorze pojazdu gąsienicowego.

Zdjął szary kombinezon służbowy z białymi lamówkami i ponownie włożył skafander. Dopasował dokładnie kask i pogwizdując wyszedł ze śluzy, na powierzchnię satelity.

Mimo niezgrabnych ruchów, udało mu się dokładnie umieścić kamerę w odpowiedniej przegródce. Rzucił okiem ostatni raz na wielki instrument i ruszył w kierunku pojazdu.

Nagle stanął – ziemia zadrżała pod jego stopami. Był to lekki wstrząs, ale wyraźnie odczuwalny. Rozejrzał się dookoła i zdał sobie sprawę, że to nie był wytwór jego wyobraźni. Na powierzchni lodu zobaczył liczne małe pęknięcia.

Instynktownie odwrócił się do teleskopu i jego oczy zaczęły uważnie obserwować teren za urządzeniem. Zauważył wydobywającą się stróżkę dymiącego płynu z jednej ze szczelin na zboczu pagórka.

Uwięziony w srebrzystym kosmicznym skafandrze czuł, jak myśli mieszają się z emocjami, a logika tonie w zalewie strachu, strachu i ciekawości.

Potem śmieszna, mała figurka ruszyła w kierunku wzgórza. Zamknięty w kasku Heinz gryzł wargi. Minął urządzenia i dotarł do pagórka. Jak za zaklęciem, w boku wzniesienia otworzyła się szczelina. Jak za zaklęciem, pomyślał. Spojrzał wkoło i zauważył, że lodowe płyty i głązy zsunęły się w dół z pagórka. Heinz wyobraził sobie budzącego się ze snu po wielu, wielu wiekach potwora; giganta, który miał zaraz wstać i strząsnąć z siebie ziemię i liście, nagromadzone na nim latami przez wiatr.

Wszedł a tunel wyglądał dokładnie tak, jak za pierwszym razem. Światło z reflektora dawało błękitne odbłaski, a co jakiś czas lód odbijał jego postać. Tunel miał około trzech metrów wysokości i kilka szerokości.

Szedł powoli, aż dotarł do sali, wielkiej kryształowej sieni. Był pewien, że właśnie tu spotkał galaretowate twory.

Rozejrzał się uważnie dookoła, regulując reflektor na zmienną moc, ale stworzeń nie znalazł. Przeszukał całą grootę, krok po kroku, bez pośpiechu. Może, tłumaczył sobie, to nie jest właściwa grota; może poprzednim razem, w zapale, nie zorientował się, że minął kilka “pokoi”.

Miał jeszcze duży zapas tlenu, zdecydował się więc iść dalej. Rzut okiem na instrumenty wystarczył, by się przekonać, że tak jak poprzednim razem temperatura znacznie się podniosła.

Tunel stał się niższy i bardziej kręty. Heinz nie mógł się zorientować, jak dalece przesunął się w kierunku wnętrza wzgórza; tunel mógł nawet okrążyć wzniesienie jak pierścień.

Lód był coraz bardziej gładki. To dziwne, pomyślał Heinz, to dziwne, że trzęsienie ziemi nie spowodowało osunięcia się stropu, a jeszcze bardziej zastanawiało, że wysoka temperatura (tylko 50 stopni poniżej zera) nie powodowała parowania amoniaku i metanu. Idąc dalej doszedł do wniosku, że w tym miejscu temperatura musiała być względnie wysoka od dłuższego już czasu, tak więc gazy zdążyły się ulotnić. Ten lód musiał być z czystej wody.

W pewnym momencie Heinz się zatrzymał. Zmniejszył stopniowo moc reflektora, coraz bardziej i bardziej, aż zanurzył się w całkowitej ciemności.

Zrozumiał, że się nie mylił. Daleko przed nim rozchodziło się słabe światło. To musi być wyjście z tunelu, pomyślał. Stamtąd wychodzi się znów na otwartą przestrzeń. Szedł dalej lekko dysząc. Światło stawało się coraz mocniejsze i nagle Heinz zobaczył, że tunel się skończył.

Kręcił się śmiesznie we wszystkich kierunkach nie wierząc, że to możliwe. Jego umysł mówił, że to nielogiczne, że to wszystko nie mogło przytrafić się tylko jemu... Natychmiast pot zaczął płynąć z rąk i czoła. Oddech stał się szybki i astmatyczny, wizjer pokrył się mgłą i Heinz zauważył tylko, że poświata zmieniła się w jasne, białe światło.

Potem poczuł, jak ziemia zaczyna mu silnie drżeć pod stopami.

13. Ziemia!

Alarm włącza się zawsze, kiedy śpię, mówił do siebie Pierre. To był żart. Dlaczego się jeszcze nie wyłączył? Kto wie, czego jeszcze chce ten przeklęty komputer. Czy ktokolwiek po obejrzeniu tego starego filmu Odyseja kosmiczna, 2001, zachwycił się rolą komputera zabójcy? Może Ben zdecydował pozostawić ich przy życiu, tylko chciał, żeby zwariowali. Kręcił się w pościeli starając się nie zwracać uwagi na syrenę alarmową.

– Pierre, Pierre! Chodź szybko!

Pierre przymknął oczy. – Co znowu? Co się dzieje? – Tym razem czuł, że ktoś go szarpie. – Wstawaj, rusz się wreszcie!

– Idę, idę. Ten przeklęty... Jeszcze mi za to zapłaci.

Zerknął na zegarek: spał od dwóch godzin. Znowu przeklął komputer, wstał i zawlókł się półnagi aż do sali dyspozycyjnej. Clark wyłączył już alarm i słychać było głos maszyny.

– Ziemia ponownie się pojawiła. Złapała ją kamera numer trzy. Znajduje się dokładnie w punkcie, w którym powinna być, gdyby od momentu zniknięcia minęło piętnaście godzin, a nie cztery miesiące. Nie mogę dać żadnego sensownego wyjaśnienia.

Ben był lakoniczny, jak zawsze. A jednak Pierre mógłby przysiąc, że to nie był jego normalny głos: zupełnie, jakby ta kupa złomu zdawała sobie sprawę, że to nie jest zwyczajna informacja.

Mężczyźni wymienili zdumione spojrzenia.

Pierre zauważył, iż senność opuściła go natychmiast. Serce biło znowu mocno, a mózg rozwiął mgłę, w którą był owinięty. Adrenalina działała jak porywczy wiatr w marcowy dzień. Clark nic nie mówił. Natychmiast nacisnął guzik, by zobaczyć obraz z kamery.

Nie było wątpliwości. Ten błękitny raj z białymi smugami to była Ziemia, ze swymi morzami, łądami i niebem. Zwinne palce Clarka zażądały maksymalnego powiększenia.

Dwaj kosmonauci stali osłupiali, patrząc na swój dom. Był piękny, bardzo piękny. Tak pięknym jeszcze go nie widzieli. Potem spojrzeli po sobie, krzyczeli i ściskali się. Później znowu na nią patrzyli.

– Co ty na to, Ben? – krzyczał Pierre.

– Nie ma wątpliwości, to jest właśnie Ziemia.

– Tym razem dobrze zrobiłeś budząc mnie.

– Czy zdarzyło się kiedykolwiek wcześniej, bym cię budził?

– No właśnie? – Pierre patrzył na monitor jak zaczarowany, jego oczy znowu były pełne życia, a piegi bardziej rude niż futro lisa. – Nigdy, nigdy...

Astronauci znowu spojrzeli na siebie i Pierre zauważył łzę spadającą z oka Clarka, który uśmiechnął się i wytarł ją, jakby przepraszając, a potem znowu zaczął ściskać przyjaciela.

Pierre wiedział, że nie wytrzyma. Teraz on poczuł skurcz w gardle i łyzy napierające na zamknięte powieki. Objął ramieniem Clarka i rozejrzał się dookoła. Patrzył na statek, na “oczy” i “usta” Bena, na pulpity w sali, na szarą, błyszczącą podłogę.

– Dzięki, Ben... – powiedział. – Za co? – odparł komputer.

Pierre zaśmiał się i pomyślał o letnim popołudniu, o rześkim powietrzu i deszczowych chmurach,

poprzez które prześwituje słońce. – Miejmy nadzieję, że Heinz też to zobaczył – bełkotał Clark.

– Tak, miejmy nadzieję. Gdybyśmy tylko mogli mu o tym powiedzieć...

Czuli się jak nowonarodzeni. Teraz powrót do domu nabierał sensu. Ich planeta ciągle jeszcze istniała. Mimo wszystko była na swoim miejscu, przed ich oczami. Clark szukał na monitorze Kalifornii i przed jego ciemnymi oczami przemknął obraz willi na brzegu morza, które ryczy i grzmi waląc o skały. Pierre zaś widział, że “jego” Francja spowita była w chmurach, i myślał, że w domu pada delikatny, lekki, a może wręcz przeciwnie, silny, ulewny deszcz. Boże! – mówili sobie – teraz warto było przetrzymać, dotrzeć do Urana i wrócić z powrotem po Heinza. Najlepszym wyjściem nie była już konieczność znalezienia schronienia na jałowej kolonii na Marsie. Do domu! Wracali do domu! Pierre musnął palcami szybę monitora. Miesiąc, tylko miesiąc i nastąpi wreszcie rendez-vous z Uranem – byli już w fazie zwalniania. Potem zawrócą w drogę powrotną. W sumie pięć i pół miesiąca. Jeszcze tylko mały wysiłek.

Stało się to nagle. Zaledwie minęło pół minuty trwania alarmu. Tak jak się pojawiła, nagle, z niczego, matka Ziemia teraz ponownie zniknęła.

Pierre poczuł smagający skórę podmuch lodowatego, polarnego wiatru i zaraz strach zaczął trawić jego żołądek. Ponownie Clark starał się zachować spokój. Przeczesał palcami krótkie włosy na jeża i drżącą ręką musnął szare przyciski na pulpicie. Ben był szybszy.

– Stracony wszelki kontakt z Ziemią – powiedział. – Planeta znowu zniknęła, bez widocznych przyczyn. Jestem zobowiązany powtórzyć, że z mojego punktu widzenia ta sytuacja jest absolutnie niezrozumiała. Mógłbym powiedzieć, że jest wstrząsająca.

Słońce pojawiło się koło piętnastej. Nieliczni ludzie na ulicach patrzyli wstrząśnięci, wielu wybiegło z domów, a inni wyszli z kościołów... Valentina wyskoczyła z łóżka właśnie w chwili, gdy Willy krzycząc wbiegał do pokoju. Otworzyli na roścież okna i Słońce weszło do domu. Valentina poczuła na skórze ciepło i musiała przykryć sobie oczy, chroniąc je przed błyskiem światła i kolorów.

Nie wyobrażałam sobie, pomyślała bezwiednie, że dzień jest taki piękny.

Przez rozchylone okna wchodziło zimne powietrze, trawnik przed willą pokryty był szronem. Valentina widziała ludzi, ubranych w kolorowe swetry, ludzi o czarnych i blond włosach, którzy mieszały się z zielenią trawy i błękitem nieba.

Minęło dziesięć czy piętnaście, maksimum dwadzieścia sekund. Noc zapadła nagle. Valentina nic już więcej nie widziała: zniknęli ludzie, trawniki. Wiał znowu mroźny wiatr. Pozostały słabiutkie światełka latarni.

14. Przebudzenie

Gwiazdy, pomyślał Towarzysz siedząc na stołku pośrodku równiny pyłu i lodu, to dopiero nuda. Wszystkie takie same, nic się tu nigdy nie dzieje.

Jego programatorzy musieli mieć złudzenia wzrokowe. Wyobrażali sobie, podejrzewali, wierzyli... robot westchnął i rozejrzał się wokół w prawie kompletnej ciemności. Czuł się nieswojo: było coś, co zakłócało podstawowe obwody. Nie ma co udawać, powiedział sobie, że się nie wie, co to jest.

Z torby wyjął opakowanie ze smarem i wlał go trochę w złącza.

To mały Uran tak go dręczył. Przeklęty mały robot! Sam jest przeklęty, bo to był jego pomysł. Ale dlaczego tak się martwił? Jeżeli Uran wyczerpał zapas energii, tym gorzej dla niego. Minimalny przepływ energii, rozważał Towarzysz, wystarczy, by myśleć. Było to za mało, by się poruszać, ale obwody mózgu mogły dalej działać. Tym lepiej. Ten niewdzięcznik pozna znaczenie słowa cierpliwość. Będzie tak sobie stał, myśląc przez długie lata pośrodku jakiegoś krateru. Dobrze mu tak.

A jednak robot nie mógł się uspokoić. Zupełnie, jakby jakiś kwas wżerał się w obwody. Dlaczego musi się tak o niego niepokoić. Uran będzie stał bez ruchu latami rozmyślając; to mu dobrze zrobi. Argument był logiczny, ale nie przekonywał go.

Towarzysz uniósł ciężką twarz z metalu i plastiku do gwiazd. Słuchał... Zszedł ze stołka, złożył go i wsadził pod ramię.

Ten nieszczęśnik. Musi go odnaleźć, w przeciwnym razie nie zazna spokoju. Nie wiadomo, jak uczucie tego rodzaju dostało się do jego wnętrza. To nie było rozumowanie, o nie, to było coś nielogicznego. Towarzysz naładował się do maksimum energią i wziął ze sobą dwie zapasowe baterie o wysokim potencjale energetycznym. Ruszył w kierunku, który obrał sobie Uran, kiedy ostatni raz widział go wyruszającego w drogę. Przysięgł sobie, że pójdzie trasą, która dla małego robota wydawała się najbardziej dogodna. Musiał brać pod uwagę, że sam idzie na dwóch nogach, maluch zaś jechał na wózku z rolkami.

Widział lód, ledwie odbijający wątle światło wschodzącej planety o przyćmionych pierścieniach. Nigdy nie dotarł tak daleko, gdyż zabraniały tego narzucone mu reguły. Przekroczył je. Nie trzymał się rozkazów, nie zważał na zadania i odpowiedzialność. Nawet Valery przed odjazdem powiedział mu: "Stosuj się dokładnie do programu", tak właśnie mówił.

Towarzysz nigdy nie wyobrażał sobie, że zdecyduje się na coś takiego – nieposłuszeństwo. W pewnym sensie był nieposłuszny już wtedy, gdy poczuł się samotny. Nie powinien w żadnym wypadku tego odczuć, to nie zostało przewidziane w programie. Był nieposłuszny konstruując Urana, który zresztą nie rozwiązał jego problemów, wręcz przeciwnie. To było jak łańcuch: teraz, jako owoc dwóch pierwszych wykroczeń, nadchodziło trzecie, chyba największe.

Uniósł oczy szukając konstelacji Byka, gdzie w tym momencie powinna znajdować się Ziemia. Planeta jednak nie znajdowała się w przewidywanej pozycji. Nie było jej nigdzie.

Zniknęła. Towarzysz wzruszył ramionami i szedł dalej wśród lodów. Rozmyślanie o tym było bezcelowe: w swoim czasie łamał już sobie nad tym głowę i doszedł do wniosku, że fenomen ten jest niewytłumaczalny nawet w świetle możliwej zagłady nuklearnej.

Mały Uran stał w miejscu, pośrodku pokrytego lodem krateru. Z wysiłkiem unosił metalową twarz i wpatrywał się w ciemną przestrzeń kosmiczną, zalaną gwiazdami wysoko w górze. Czerwone czujniki, jego oczy, wystrzeliwały jak rozżarzone główne w najciemniejszą ziemską noc.

– Kim jesteś? – spytał w absolutnej ciszy.

Chochlik, siedzący na świetlistym tronie w samym środku jego umysłu, nie odpowiedział.

– Skąd, u diabła, się tu właściwie wzięłeś?

Mały Uran sapnął i zaczął się zastanawiać. Chochlik wszedł w niego dokładnie wtedy, gdy Towarzysz zainstalował wszystkie obwody i wprowadził energię, w taki sposób, że... W taki sposób, że maszyna zaczęła działać... To znaczy, że zaczęła myśleć... W ten sposób, że była świadoma swego istnienia!

Mały robocik obserwował zawieszoną wysoko na niebie planetę, której zawdzięcza swoje imię. Uran błyszczał zielonkawym światłem, a jego blask rozjaśniał trochę zimny krajobraz księżycy. Jego pierścienie były wątle, mało spójne. Nie były niebiańskim cudem.

– Ja pomyślałem – mówił do siebie Uran – a ty zacząłeś biec.. Hmmmm...

Z roztargnieniem spojrział na gumowe kulki, odległe od niego o sto metrów galaretowate twory, uczezione ściany krateru. Pomyślał, że są ważnym odkryciem... Musi poinformować Towarzysza, i to jak najszybciej... Czuł, że nie może się poruszyć, był bezradny. Odetchnął. Wczesnej czy później, a był tego pewien, Towarzysz go odnajdzie.

– Ja zaczynam myśleć – zaczął – a ty wchodzisz do środka i budzisz się, i zaczynasz biec... Ja myślę, a ty się budzisz... Ja myślę, a ty się budzisz... Hmmmm... A może...

– A może – Uran utkwiał wzrok w pęknięciach lodu pod stopami – a może ty wszedłeś do mojego rozumu i ja zacząłem myśleć. Ale problem.

Spróbował ruszyć wózkiem, ale mu się nie udało. Wskaźniki poziomu energii wskazywały, że zapas zszedł nieuchronnie poniżej wszelkich dopuszczalnych granic. Niedługo, pomyślał przygnębiony mały robocik, wyłączy się aparat wzroku i stanie się ślepcem. Potem, za kilka miesięcy, będzie musiał obejść się bez urządzenia odbierającego dźwięki. Ale tym mały robocik zbytnio się nie przejmował. Na pozbawionym atmosfery księżycu nie było dźwięków czy hałasów do słuchania. O wiele bardziej obawiał się nieuchronnej awarii urządzenia łączności radiowej, małego odbiornika radiowego, o zasięgu kilometra, który pozwalał mu nadawać i odbierać sygnały.

Gdyby Towarzysz zawędrował poza krater, robocik nie zdoła przyciągnąć jego uwagi.

Zdecydował, że będzie włączać sygnał co dwie minuty.

Powrócił do swych myśli. Myślenie, mówił sobie, kosztowało go nieskończenie mały procent energii. Mógł myśleć pod tym czarnym niebem przez całe wieki. Światelko chochlika ciągle przenikało jego umysł. To dobry znak, pomyślał.

W ten sposób Uran ponownie zaczął myśleć: przypominać, analizować, zastanawiać się, wyobrażać. Dokonywał przeglądu swych wspomnień i wiadomości, skumulowanych w mózgu. Obrazy i pomysły, które tak naprawdę do niego nie należały: postać kobiety, widok pola zasianego zbożem i czerwonych maków, twierdzenie Pitagorasa... Mały robot odkrył, że patrzenie we własne wnętrze, badanie ścieżek sztucznej pamięci, podarowanej mu przez Towarzysza, było świetną rozrywką.

– Kto wie – mamrotał – może znajdę coś interesującego. – Skierował się do miejsc na planecie,

których nigdy nie poznał, w doliny, na górskie hale; słyszał strumienie biegnące między kamieniami i brzęk dzwonek; dał nurka w oceany o błękitnych, koralowych dnach i wznosił się ku czerwonym chmurom przy zachodzie słońca, a potem wózek zjechał do dziko rosnącego lasu, pełnego wysokich sekwoi i syczących węży... W blasku chochlika jego umysł zaczął się bawić.

A teraz, w którą stronę pójdzie? Gdzie ten lekkoduch zdecydował się wsadzić swój nos?

Biała postać stała wyprostowana pośrodku rozległej kryształowej doliny. Obserwował wąski i ciemny kanion otwierający się po prawej stronie.

Ten szaleniec – Towarzysz spytał siebie samego – zdecydował się pójść prosto, wzdłuż doliny czy też wolał skierować się na stromą gardziel? Rzucił okiem na dwie baterie o wysokim potencjale, które wziął ze sobą: niedługo będzie musiał pomyśleć o użyciu jednej z nich. Przeklął go jeszcze raz.

Postawił baterie na lodzie, wziął pompkę i wlał trochę smaru do złącz. To było jak nałóg, zdawał sobie sprawę, że jego aparatura elektroniczna nie potrzebowała oleju, lecz... Parsknął, podniósł baterie i zdecydował się pójść w kierunku krateru, dokładnie naprzeciwko. Jeżeli nie znajdzie śladu obecności Urana, zawróci. Szedł przed siebie kilkaset metrów, i słabe, ledwie dostrzegalne ślady pojawiły się znowu. Robot poczuł się lepiej. Lepiej, ale niezupełnie dobrze.

Biała, plastikronowa figurka szła dalej po cichej dolinie, otoczona ciemnymi szczytami. Czuł się bardzo zaniepokojony. Był nieposłuszny. Nie przestrzegał programu, wskazówek. Jak to było możliwe? Jeżeli, zgodnie z tym, co wiedział, główny program był jego sumieniem, czyli jego własnym “ja”... Jak mógł robić coś wbrew sobie? On działał przeciwko sobie. Mało brakowało, a strzeliłyby mu obwody. To była zbyt wielka sprzeczność! Sam przeciw sobie? Towarzysz przyznał, że to niemożliwe. W takim razie, zastanawiał się, jeżeli sprzeciwił się podstawowym rozkazom, to znaczy że nie stanowiły one jego własnego “ja”.

– Nie – powtórzył – nie stanowią.

Stanął. Czerwone oczy badały zlodzony grunt, ludy były słabo widoczne, ale nadal wystarczająco wyraźne. Ruszył dalej.

Był nieposłuszny od momentu, w którym poczuł się samotny. Sytuacja ta nie była ujęta w żadnym programie. Oczywiście, znał znaczenie słowa samotność i wszystkie związki semantyczne... Znał abstrakcyjnie, ale nie mógł jej odczuwać, przeżyć.

W takim razie, dlaczego w pewnym momencie poczuł samotność? Więcej nawet, dlaczego doświadcza “emocji”, “uczuć”, które ludzki słownik zdefiniował razem jako “samotność”?

Wcale nie łatwo znaleźć rozwiązanie. Obwody neuronowe robota pracowały bezustannie. W końcu Towarzysz powiedział sobie, że istnieje jedno wytłumaczenie. Na moment zatrzymał się, a czerwone oczy utkwiał w pustce. Nie przestrzegał programu – mówił do siebie wolno – ponieważ nie stanowił on podstawowej części jego własnego “ja”.

Właśnie! W tym rzecz! I tak ominięta zostaje sprzeczność. Oto poza jego własnym głównym programem, narzuconym przez ludzi, istniało coś więcej, coś o wiele głębszego... Towarzysz przeskoczył strumyczek płynnego amoniaku. – Coś o wiele głębszego... zamyślony zwolnił. Tak, ale co?

Heinz otworzył oczy, a potem je zamknął z uczuciem satysfakcji. Rozkoszował się zapachem prześcieradła i ciepłem kołdry. Odwrócił się, wsadził głowę pod poduszkę i znów usnął.

Ponownie obudził się i rozwarł powieki. Minęło już na pewno kilka godzin, czuł się wspaniale

wypoczęty i spokojny.

Rozglądał się dookoła przeciągając: obrazy na ścianie, wykładzina na podłodze, niski mebel, antyczne lustro. Uśmiechnął się, zauważywszy dymiącą tackę w nogach łóżka.

Zrzucił z siebie kołdrę, wstał i zobaczył, że ma na sobie tylko spodenki i koszulkę; zatrząsł się z zimna i po raz pierwszy zastanowił się, kto mógł go rozebrać. Nie było czym się przejmować, musiał się czuć jak u siebie. Skosztował kawy z mlekiem i pomyślał, że naprawdę powrócił do Landeck. Wziął kilka ciastek z tacy, rozkoszując się ich smakiem, jak gdyby lepszych w życiu nie jadł.

Przed sobą miał drewniane drzwi z metalową klamką. Brakowało tylko dźwięków. Z dźwiękiem wszystko byłoby w porządku. Żadnego krzyku, szczekania, warkotu samochodów; słysząc to wszystko, byłby pewien, że jest w domu. Docierały do niego tylko dźwięki, które sam tworzył, popijając mleko i żując herbatniki.

Potem wstał, odwrócił się. Bardzo się zdziwił, widząc wiszący nad łóżkiem krzyż, a z boku, trochę niżej, kolorową fotografię Valentyny.

Wreszcie zastanowił się, co też mogło się stać. Wszedł do tunelu, gdzie natknął się na galaretowate twory, a potem zobaczył dalekie, błękitne światło...

Heinz przechodził. Towarzysz dotarł do szczytu krateru wśród skał i ciemnych lodów, krateru przypominającego przedsionek zaświatów. Stał patrząc na rozpościerającą się przed nim równinę, wyłobioną przez wielki meteoryt, miliony lat wcześniej. Wszędzie lód i skały... Bliżej środka krateru, w słabym świetle planety, czujniki wyczuły szczególny błysk.

Umysł malutkiego Urana aż podskoczył z radości, a elektrony zaczęły fikać koziołki i mieszać się z pozytronami ryzykując, że ulegną jonizacji... Nie zapomniał o nim. Stworzył go, a teraz przybył mu na ratunek, sprzeciwiając się zasadom. Towarzysz był tam. Stał przed Uranem i robił mu niezłe wymówki, jednocześnie podłączając robocikowi baterię. Zaraz jak zostanie naładowany, pomyślał Uran, porozmawiam z nim i podziękuję, i wyrażę swoje, swoje... przywiązanie. Poczł, jak płynie w przegubach ciepło, jak rozpuszcza się skorupa. Potem zdał sobie sprawę, że ma już siłę, by mówić.

– Dziękuję, Towarzyszu – powiedział trochę zanadto metalicznym tonem.

– Nie ma sprawy. Jesteś szalony i musisz przestać się tak zachowywać. A gdybyś upadł? Gdybyś roztrzaskał sobie puszkę czaszki?

– Przepraszam, masz rację. Nie doceniłem ryzyka.

– Co ty wyprawiasz ze swoim głosem?

Uran, gdyby mógł, zaczerwieniłby się. – Próbowałem go wyregulować. No, chciałem, by stał się przyjemniejszy.

– Udało ci się tylko uczynić go bardziej komicznym.

Uran nie odpowiedział, znów był na niego zły.

– Jeżeli chodzi o energię, to wszystko w porządku – powiedział szorstko Towarzysz. – Możemy już wracać.

– Chciałem ci przedtem coś pokazać.

– W porządku, byle szybko. Nie mamy czasu do stracenia..

– Tam, w tamtym załomie. Chodź.

Towarzysz stał zamyślony przed gumową piłką. Zbliżył się, musnął ją i zastanowił się. Był

wstrząśnięty. Odwrócił się do Urana, a potem znówu spojrzął na ciemne zagłębienie z kryształu i lodu.

– Nie rozumiem – mruczał pod nosem.

Uran zbliżył się i stanął u boku Towarzysza. Czuł otaczającą ich ciszę.

Duży robot przyjął poważny ton głosu: – Nie rozumiem – powiedział – co, u licha, robią piłki do futbolu na zagubionej planecie.

Heinz zdawał sobie sprawę, że ta rozmowa była niewiarygodna. Wiedzieli o nim wszystko, a on o nich nic. Nie mógł ich nawet widzieć. Zdecydował się być bardziej odważny. Łyknął trochę doskonałej herbaty, siedząc w pokoju, który wydawał się być kopią tego w Landeck. Odstawił filiżankę na stolik. Ciepły, słodki płyn spłynął przez gardło do żołądka. Heinz od razu poczuł się znacznie lepiej. Wolno wytarł serwetką usta. Odchrząknął i chciał przemówić, ale nie otworzył nawet ust. Wolał spróbować ciasteczka i łyknąć herbaty. Ciekawe, skąd mieli taką dobrą herbatę.

– Skąd pochodzicie? – spytał nagle.

Odpowiedział mu spokojny, głęboki głos: – Doprawdy z bardzo daleka, z czasu prawie nieokreślonego. Teraz nasza Matka orbituje w waszym systemie planet, a my, jej emanacje, podróżujemy w tym rejonie przestrzeni kosmicznej. My zostaliśmy w Systemie Słonecznym, inni w systemach Syriusza, Procjona, Alfa Centauri, aż po Kapellę i Wege.

“My i Matka”, Heinz miał wątpliwości i był speszony. – Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Kim jesteście? Kim jest Matka? – Heinz był zadowolony, że znalazł w sobie odwagę, by jednym tchem spytać o to, co najbardziej go zaniepokoiło.

– Można nas określić jako badaczy – głos wydawał się być trochę rozbawiony. – Matka... To Matka. To jakby wielka planeta czy statek kosmiczny z pewną charakterystyką, która wyda ci się nie do przyjęcia – to jest żywa istota. Teraz porusza się po orbicie w tym systemie, dziewięćdziesiąt miliardów kilometrów od Słońca. Niektórzy mieszkańcy Ziemi zauważyli jej obecność.

Ostatnie słowa zaniepokoiły go. Czuł, jak rodzi się straszne podejrzenie, ale nie zdążył nic powiedzieć.

– Nie, nie myśl o takich rzeczach. Żadne z nas nie zrobiło nic złego ludziom. Wręcz przeciwnie.

15. Nawiązanie łączności

Clark wolał czuwać. Gdy nadeszła pora snu, powiedział przyjacielowi, że ma jeszcze do sprawdzenia kilka danych dotyczących orbity. Pierre nie skomentował tego. Powiedział tylko “dobranoc” i się położył.

Pierre, pomyślał Clark, zna go do głębi i bardzo lubi. Zrozumiał doskonale, że nie było żadnych danych do sprawdzenia.

Sztuczna ciemność spadła na statek. W sali dowodzenia człowiek wyregulował oświetlenie, by uzyskać błękitne światło, podobne do tego o późnym zmierzchu. Pulpity, ekrany, instrumenty były teraz ciemnymi zarysami, którym towarzyszył normalny blask świateł kontrolnych.

– Ile do Oberona, Benie? – zamruczał pod nosem Clark, wpatrując się w monitor usytuowany na wprost.

– Czternaście milionów kilometrów. Stałe zwalnianie. Aktualna prędkość czterdzieści tysięcy kilometrów na godzinę.

– Za ile dni odbędzie się nasze spotkanie?

– Trzydzieści dni.

Patrzył w zamyśleniu na dres gimnastyczny, który miał właśnie na sobie. Błękitny komplet, prezent od żony. Na piersiach miał wyhaftowane jej imię, Bellatrix.

– Myślisz, że wszystko pójdzie dobrze?

– Mam wszelkie dane, by twierdzić, że nie będzie żadnych kłopotów. – Zakręcił się na obracającym stołku i uśmiechnął lekko zanurzony w półmroku.

– Z Oberona nikt nie odpowiada.

– Jeszcze nie.

– Domyślasz się, dlaczego?

– Może być wiele przyczyn. Może urządzenia są za słabe, a odległość zbyt znaczna. Może baza jest automatyczna i odpowiada tylko na pewien rodzaj wezwania, a nasz kod nie jest właściwy i nie powoduje włączenia mechanizmu. Może być jeszcze wiele innych możliwości.

Zrozumiał o co mu chodzi, stwierdził Clark. Powiedział: – Domyślasz się czegoś? – Ben zrozumiał go doskonale. Na początku misji, Clark był o tym przekonany, komputer kazałby powtórzyć pytanie tym razem odpowiednio sformułowane, ponieważ jego elastyczność rozumienia języka była ograniczona.

Wyciągnął nogi i obserwował pokój zanurzony w przedwieczornym świetle. Gratulował sobie – intensywność światła ustawił tak, że przedmioty wydawały się pochodzić z innej rzeczywistości, wahając się między ciemnością a światłem, jak w niewinnym zaklęciu. Zmierzch. Śmiejąc się, spytał samego siebie, czy to może pierwsze promienie wschodu, czy ostatni blask zachodzącego słońca.

– Podoba ci się to światło, Benie?

– Jego intensywność określiłbym jako odpowiadającą ziemskiemu zmierzchowi.

– Co ci przypomina?

– Przechowuję w pamięci wiele obrazów związanych z podobnym nastrojem.

Clark uniósł wzrok do kamery telewizyjnej – oka komputera, umieszczonego w ścianie, pośrodku

pokoju, pokrytego zstępującym mrokiem.

– Jakże? – spytał.

– Sceny z opowiadań, filmów fabularnych i dokumentalnych.

– Także i w mojej pamięci – westchnął – są takie obrazy.

– Rozumiem, że przeżyłeś je osobiście.

Mężczyzna przejechał dłonią po migających lampkach, zainstalowanych w pulpicie. – Tak – zamruczał pod nosem – ale minęło już wiele czasu. To wspomnienia... Nigdy ich już ponownie nie doświadczę.

– Jeżeli sprawi ci to przyjemność, chciałbym, żebyś opowiedział mi któreś.

– Odpowiesz wreszcie, czy nie? – spytał rozwścieczony Uran.

Towarzysz ujął głowę w obie ręce. – Nie wiem, nic już z tego nie rozumiem. Najpierw galaretowate piłki do futbolu, potem Ziemia pojawia się i znika, a teraz... Nie mogę sprzeciwić się rozporządzeniom moich programistów.

– Przekraczałeś je już nie radź.

– To nie jest wystarczający powód, by znowu je przekraczać.

– Ale jeżeli chodzi o założenia programu, sytuacja uległa zmianie, zasadniczej zmianie...

– Wiem, wiem. Myślisz, że jestem głupi? Zastanawiałem się nad tym, w przeciwnym razie nie przybyłbym cię wyratować.

Uran ślizgał się w dół i w górę na swoim wózku wzdłuż małej ciemnej kopuły. – Ratować! Ratować! – było słyhać, że jest jeszcze bardziej zirytowany. – Ratować, po co? Lepiej by mi było tam w dole, samemu spędzać czas na rozmyślaniu.

Towarzysz poczuł przyływ złości, która zużyła połowę energii zgromadzonej w obwodach. – Następnym razem zostawię cię samego, żebyś tam gnił przez wieki, aż mróz rozwali ci na kawałeczki nawet mózg.

– Dobra, dobra! – powiedział zanadto metaliczny głos robota – to już trzy dni, jak wzywają nas, a my nie odpowiadamy. Zdajesz sobie z tego sprawę? Może mają dla nas wiadomość, może przybyli, by nas zabrać na Ziemię...

– Ziemia – rzekł przemądrzałym tonem Towarzysz – już nie istnieje.

– Dobrze, dobrze! W takim radzie nie istnieją już twoi rosyjscy programatorzy, nie ma więc sensu trzymać się ściśle rozporządzeń kogoś, kto nie istnieje!

– Fakt, że oni nie istnieją, nie unieważnia przecież programu. Prawo jest prawem.

– Owszem, ale kiedy chciałeś, przekroczyłeś je...

– A on znowu o tym samym – wybuchnął zirytowany. – Powtarzam, lepiej bym zrobił zostawiając cię tam, gdzie byłeś. Ty właśnie jesteś uosobieniem błędu, który popełniłem, nie przestrzegając zasad.

– Słuchaj, a gdyby Rosjanie przed zniknięciem nie zdążyli wysłać nam nowego programu?

– Możliwe.

– Może chcieli nam powiedzieć, byśmy przyjęli ten statek ocalałych ludzi.

– Ale tego nie powiedzieli.

Mały Uran zakręcił się trzy razy, by wylądować złość. Ale zaraz przyszedł mu do głowy genialny

pomysł. Pozwolił, by minęło kilka sekund w ciszy. Obserwował małą nagą żelazną kopułkę, która gościła ich na tym przygnębiającym świecie.

– Masz rację – przytaknął, starając się uspokoić elektroniczny szum – masz rację. Zostawmy to już, jeśli przyjadą, to przyjadą. Jeśli nie, to nic nie szkodzi.

Towarzysz patrząc na małego robota z żelaza i plastiku, poczuł się lżej. – Na szczęście zrozumiałeś – powiedział.

Uran uśmiechnął się szyderczo.

Niebo było zimne, a gwiazdy wydawały się nieruchome. Małutki robocik obserwował siedzącego na stołku Towarzysza. Wydawało mu się, że czuje litość. Nigdy o tym nie pomyślał, zastanawiał się, mógł uspokoić Towarzysza, mówiąc mu coś, a potem... potem mógłby robić, co uważa. To było przecież takie proste. Proste i logiczne. Oszustwo.

– Masz coś przeciwko temu, bym wrócił do bazy? – spytał Uran.

– Co masz do zrobienia?

– Pomyślałem, że trochę popracuję w laboratorium.

– Coś konkretnego? – Towarzysz mówił nie odrywając wzroku od gwiazdzistego nieba.

– Uczę się mocować obwody nadprzewodników w plastikronie, tak tylko, dla zabicia czasu.

– Nie lubisz patrzeć na gwiazdy? Moglibyśmy podzielić niebo na dwie części. W ten sposób nasze obserwacje byłyby dokładniejsze i byłbyś wreszcie przydatny.

Mały robot zadrżał na myśl o spędzaniu swych dni na patrzeniu w powietrze, jak jakiś głupek. – Nie mam teraz na to ochoty – powiedział.

Towarzysz zmierzył go przelotnym spojrzeniem od stóp do głów. – Dobrze już, dobrze. Możesz iść.

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Machnął ręką na pożegnanie i uruchomił swój wózek. Dotarł do bazy, sprawdził, czy wszystko jest w porządku, i włączył urządzenia nadawczo-odbiorcze. W pokoju rozległ się ludzki głos. Mały robot słuchał w osłupieniu. Głośnik powtarzał w kółko te same słowa – zarejestrowany przekaz rozpoznawczy. Lokalizując źródło emisji sygnału, Towarzyszowi i Uranowi udało się namierzyć statek przy pomocy teleskopu bazy. Kamera telewizyjna pokazywała tylko poruszający się punkcik, małą gwiazdę na tle milionów gwiazd. Uran zebrał naraz wszystkie dane zakodowane w swojej pamięci i przypomniał sobie to, czego uczył go Towarzysz. Wewnątrz ciemnej kopuły musnął klawisze i wcisnął przyciski jedynym centralnym ramieniem. Czynności zostały wykonane w kilka sekund – stacja była gotowa do nadawania po raz pierwszy od miesiąca. Robot dotknął swojej zimnej plastikowej twarzy. Dotąd wszystko wydawało mu się logiczne, słuszne... Ale teraz Uran wahał się.

Miał świadomość, że bezpieczeństwo pryska, a niesprecyzowane bliżej wątpliwości powodują jego niezdecydowanie. Niesprecyzowane wątpliwości... Delikatny, nieokreślony strach, głęboki opór, na pierwszy rzut oka pozbawiony logiki. Maszyna zamyśliła się. Niepokój, strach. Bez powodu. Nie, pomyślał Uran, nie bez powodu. Przyczyna istniała, lecz była ukryta w nim samym... Wolał jednak nie patrzeć zbyt długo w swój umysł.

Radio oczekiwało na jego przekaz. Pełen obaw robot starał się zebrać myśli. Co można było powiedzieć ludziom? Uran nie mógł rozumować z takim opanowaniem jak zwykle. Najlepszy wybór, mówił sobie, to wysłać dokładnie taki sam przekaz jak ten, który wysyłali ludzie.

Chciał już przemówić, lecz się wstrzymał. Teraz przed oczyma ukazała się wyraźna postać Towarzysza, który nalegał, by nie odpowiadać. Może ci ludzie mają faktycznie złe zamiary i naprawdę chcą zniszczyć Bazę... Strumień elektronów spowodował wibracje membrany. Był to straszny wysiłek.

– Tu rosyjska baza na Oberonie, na orbicie wokół planety Uran. Otrzymaliśmy wasz przekaz... – Chwilę był niezdecydowany. – Witamy...

To było niemożliwe, całkiem nie do przyjęcia. Ten łotr, przebrany za komputer, myślał Pierre, robił to specjalnie.

Alarm wyłączył się prawie natychmiast. Pierre otworzył oczy i zauważył, że zapaliły się wszystkie światła na statku. Dokuczały mu, zaczął mrugać powiekami. Pościel na łóżku Clarka była zupełnie gładka i powtykana po brzegach pod materac – kapitan jeszcze się nie kładł. Zegar na ścianie wskazywał trzecią nad ranem. Pierre zerwał się z łóżka i skierował do sali dowodzenia. Z głośników płynął okropny, metaliczny głos; stanął jak sparaliżowany w progu sali. ...asz przekaz... witamy...

– Ej! – krzyknął Pierre – odpowiadają, odpowiadają!

Clark odwrócił się w stronę przyjaciela. Był czerwony z podniecenia. Metaliczny głos powtórzył przekaz.

– Od dawna nadają? – spytał Pierre, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Nie, pierwszy raz nawiązałem łączność. Zaraz jak odebraliśmy przekaz, Ben włączył alarm. Ja stałem tutaj, w sali. Natychmiast włączyłem radio.

– Dziwny głos.

– Chyba elektroniczny.

– Baza jest pewnie automatyczna.

– Teraz musimy nadać odpowiedź.

– Jak daleko jesteśmy od Oberona?

– Prawie czternaście milionów kilometrów – odpowiedział Clark, włączając nadajnik. Spojrzał na przyjaciela i uśmiechnął się; Pierre zauważył głębokie zmarszczki wokół ust, wznoszące się aż po wyraźnie zarysowane oczy. Utkwił wzrok w Clarku i wstrząsnęło nim zmęczenie, może rozpacz, które rysowały się na twarzy przyjaciela. Nigdy przedtem nie widział go w takim stanie. A może, pomyślał, nigdy tego nie zauważył. Odwzajemnił uśmiech.

Clark nachylił się nad mikrofonem i zaczął mówić drżącym głosem. Pierre siadł na fotelu, starając się stłumić dręczący go niepokój. Po tylu niepowodzeniach, myślał, może wszystko zaczyna się wreszcie układać. Może doszli do punktu zwrotnego, dotknęli dna, a teraz mogli wspinać się do góry. To niewiarygodne, a jednak Pierre odnalazł jeszcze isierkę nadziei, schowaną głęboko w nim.

Czerwona lampka informowała o nadchodzącym przekazie. Robot aż podskoczył, nie oczekiwał odpowiedzi tak prędko. Wydłużył teleskopowe ramię i dostroił urządzenie. Człowiek przesyłał odpowiedź na jego przekaz.

– ...Cieszymy się – mówił – że baza kosmiczna działa. Nasza podróż przeciągnęła się, wbrew naszym oczekiwaniom. Mieliśmy zatrzymać się na Tytanie, na orbicie Saturna. Z powodu awarii silnika musieliśmy go minąć i znaleźć nową trasę, by móc zahaczyć o Tytana w drodze powrotnej. Nasza misja to odebranie człowieka, który opiekuje się Przyczółkiem na Tytanie. Znajduje się

właśnie tam, samotny od ponad roku... Jaka jest wasza sytuacja?

Uran poczuł się zakłopotany. Teraz on musi mówić i wyjaśniać... Co może powiedzieć? Jak się rozmawia z człowiekiem? – To automatyczna baza rosyjska – powiedział wolno – zamieszkała przedz dwa roboty. Jednym z nich jestem ja... Hm... Będziemy szczęśliwi mogąc wam pomóc w czymkolwiek... Moglibyście nawet wylądować na Oberonie, jeżeli chce... Usłyszał, jak ciężkie żelazne drzwi suną po szynach. – Wybaczcie – wybełkotał w pośpiechu – przerywam rozmowę.

Udało mu się właśnie skończyć, a szczelne drzwi jeszcze nie otworzyły się do końca, gdy usłyszał wzburzony głos Towarzysza: – Szybko – krzyczał – wychodź, wychodź! Chodź tutaj!

Uran bał się, że może meteoryt zaraz uderzy w stację kosmiczną. Jechał szybko na wózku. Minał drzwi i był wewnątrz śluzy.

– Co się dzieje? – spytał, podczas gdy brama wejściowa otwierała się na mroczną, lodową równinę.

Towarzysz nie odpowiedział.

– Ile czasu minęło? – spytał Heinz.

– Zależy.

– Zależy od czego?

– O jakim czasie mówisz?

– Jak długo tu jestem?

– Dwanaście godzin.

– Dlaczego powiedzieliście “zależy”? Gdybym się znajdował w innym miejscu, to nie byłoby to samo?

– Nie.

Takiej odpowiedzi nie oczekiwał. Był przerażony. Był zmęczony zadawaniem pytań, zmęczony niespodziankami i nie chciał zdenerwować Gospodarzy. Ale musiał zrozumieć.

– Moglibyście mi wyjaśnić? – spytał.

Nastąpiła chwila ciszy. – Ty masz jakieś wyobrażenie o czasie – powiedzieli.

– Tak, oczywiście.

– Wyjaśnij nam.

– Hm, to nie takie proste. Obserwując wszechświat zauważyliśmy, że istnieje jedna charakterystyczna rzecz, która łączy wszystko to, co realne – przeobrażenia. Każda rzecz, jakakolwiek istota, podlega zmianom, przeobraża się w sposób ciągły. Nie istnieje nic, co dzisiaj byłoby podobne do siebie z dnia poprzedniego.

Każdy nieskończony ułamek czasu, każda mikrosekunda, niesie za sobą zmiany. Wszystkie przedmioty się zmieniają. Nawet góry, które naszym oczom ukazują się jako symbole niezmienności, ulegają wolnym zmianom – Heinz gryzł wargi – molekuly, które tworzą skały, zamieniają się miejscami, łączą się z innymi atomami, rozpadają, topnieją... Bez przerwy. Oczywiście, zanim nasze oczy dostrzegą zmiany, mijają lata. Ale tylko z powodu niedoskonałości naszych zmysłów...

– Masz rację. Mów dalej.

– Czy to jakiś egzamin?

– Nie.

– W porządku. Sumując: to tak, jakby jakiś prąd ciągnął nasz wszechświat, wszystko to, co jest w nim zawarte. My, ludzie, jesteśmy zanurzeni w tym prądzie jak sama woda, która tworzy strumień. Nie umiemy wyobrazić sobie nawet wszechświata, w którym prąd byłby nieruchomy, w którym czas nie istnieje. Wszystko w bezruchu, skryształizowane, stojące w miejscu – nie byłoby tam życia. Tak – odchrząknął – życie to ruch, przeobrażenia, nieład, jeśli wolicie. I ogień. Doskonały porządek to kryształ, to lód, to śmierć. – Uśmiechnął się. – Dobry jestem w filozofii?

– Niezły. Jedno pytanie – ty, jak cały twój wszechświat, jesteś uczepiony i ciągnięty przez ten prąd?

– Jak kropla wody w rzece.

– Tak, ale istnieje wiele rzek. A gdyby ktoś zanurzył cię w innym strumieniu, w rzece spokojnej i wolnej?

– Co to znaczy? – spytał nagle zdenerwowany Heinz.

– Doskonale zrozumiałeś.

– Nie, to niemożliwe.

– To tylko kwestia wystarczającej ilości energii, by przeskoczyć z jednego strumienia do drugiego. Z jednego wszechświata do drugiego.

Heinz czuł, że się poci. – Dwanaście godzin, spędzonych tutaj, jest równoznaczne ilu w moim wszechświecie?

Trzem miesiącom mniej więcej.

16. Prezent

Było ciemno i zimno, na niebie nie było gwiazd. Franz zadrżał z chłodu i natychmiast zamknął okno. Ciągle opierał się na parapecie, patrząc przez szybę na nieliczne światła bliskich domów.

Rzucił okiem na łóżeczko, na którym spał głębokim snem Karl. Franz westchnął, niepokoiło go zniknięcie Słońca. Z jednej strony, mówiąc zupełnie szczerze, nie było mu żal. W radiu powiedzieli, że biura, fabryki, szkoły będą zamknięte nieokreśloną liczbę dni. To znaczy, Franz mówił to z satysfakcją, że przez jakiś czas będzie jak na wakacjach: żadnych lekcji, żadnych prac domowych i nic do uczenia się.

Z drugiej strony jednak, jeżeli nie było światła, nie mógł nawet iść bawić się z przyjaciółmi na trawniku. Tego popołudnia nie rozegrają meczu w piłkę, a może i jutro nie będą mogli grać. Franz był zły na Słońce, które zniknęło. Ale dlaczego zniknęło?

Zegarek wskazywał siódmą trzydzieści. Normalnie o tej godzinie Słońce już dawno by wzeszło, a powietrze nie byłoby tak mroźne jak zimą. Chłopak przypomniał sobie poranek poprzedniego dnia, kiedy to biegł przez całą drogę, żeby tylko nie spóźnić się do szkoły. Dokładnie o siódmej trzydzieści wychodził z domu. Co będzie teraz robił przez cały dzień w domu, po ciemku? Westchnął znudzony i przyjrzał się, jak oddech skrapla się na szybie niczym w zimowy wieczór. Jeszcze raz wydmuchnął powietrze, a na oknie utworzyła się duża plama pary, na której, małym palcem, Franz napisał swoje imię. Uśmiechnął się. Ciekawe, czy Willy i mama jeszcze śpią... O tej porze zazwyczaj mama była już na nogach i szykowała mu śniadanie... Był głodny. Miał ochotę na mleko ze swej ulubionej miseczki i kawę z pokruszonymi ciastkami. Ale skoro mama jeszcze śpi... Franz nie chciał jej przeszkadzać. Jeszcze raz rzucił okiem na krajobraz tego czarnego poranka i starł rączką rysunek na szkle.

Przeszedł w poprzek pokoju, starając się nie robić hałasu. Karl spał jak zabity. On i tak nigdy nie wstawał przed dziesiątą, pomyślał z zazdrością Franz.

Wujek Willy siedział przy stole w kuchni. W ręce miał ołówek, który poruszał się po kartce.

– Cześć wujku – powiedział Franz.

Willy uniósł wzrok i uśmiechnął się. – Już się obudziłeś?

– Tak, wstaję zawsze o tej porze, żeby iść do szkoły... Dzisiaj jednak nie idę.

– Mogłeś pospać trochę dłużej.

Franz potrząsnął puciołowatą twarzą. – Nie mogę. Obudziłem się... Co robisz?

– Rysuję.. Ja też nie mogłem już spać.

Franz zerknął na kartkę. – Ładne! Wygląda jak prawdziwa wieś! Pomyśl, gdyby ta rzeka było z miodu... Wszystkie dzieci i pszczoły... Umiesz rysować pszczoły?

Willy roześmiał się i dorysował pszczoły i ul.

– A teraz pszczoły, które lecą! – Franz spojrział na niego łobuzersko.

– Masz niebo... chmury... I pszczoły!

– A pszczoły lecące w nocy!

– W nocy ich nie widać.

– Ale mógłbyś je narysować?

Willy wziął nową kartkę. Franz stał obserwując biegnący ołówek, który ściemniał krajobraz, sprawiając, że zapadła noc, rozjaśniona pierwszymi gwiazdami. Willy skończył i spojrzał na Franza.

Wzrok Franza utkwiony był w kartce. – To – wskazał palcem – wiesz, co to jest?

– To jest gwiazda.

– Nie – powiedział, patrząc na wujka – to Saturn, a tu jest tata. To bardzo ładny rysunek.

Ciągle stał i wpatrywał się w rysunek. Potem niespodziewanie chłopak poweselał i spojrzał na wujka oczami, które podobne były do wielkich ciemnych migdałów.

– Nie pokazałeś mi jeszcze prezentu – krzyknął – zapomniałeś.

– Masz rację! – odpowiedział Willy. Wstał i położył rękę na ramieniu Franza. – Chodź, tylko cicho.

Pudełko leżało na łóżku, zapakowane i owinięte czerwoną wstążką. Franz spojrzał na wujka ruchliwymi oczami. – Co jest w środku? – spytał.

Willy uśmiechnął się. – Sam zobacz!

Chłopiec pociągnął za wstążkę, kokarda rozwiązała się bez trudu. Rozerwał papier, zdjął przykrycie i krzyknął: – To statek taty!

Wyjął go z pudełka i stał podziwiając, delikatnie dotykając palcami, jakby był zrobiony z kruchego kryształu. Spojrzał na wujka. – Dziękuję... Jest przepiękny.

– Podoba ci się?

– Tak, jest naprawdę przepiękny.

To był doskonały model: na dziobie kopuła, długi korytarz i cylinder na rufie. Były tam okna, które świeciły, radar, kolektory słoneczne, przewody zewnętrzne, dysze, oznakowania, zachodnia flaga i nazwa: "Hyperion". Statek kosmiczny, który przywiezie do domu mojego tatę, pomyślał Franz.

Spojrzał z dołu na wujka Willy'ego. – Kiedy wróci tata? – spytał.

Willy był zmieszany. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił ożywiając w ten sposób w chłopcu wspomnienie o Heinzu. Miał wyrzuty sumienia. Spojrzał na chłopca i odpowiedział z przekonaniem: – Jeszcze kilka miesięcy.

Franz dalej podziwiał statek i gładził go palcami. Willy obserwując go zrozumiał, że nie skłamał: jego ojciec wróci, ta szalona sytuacja będzie miała szczęśliwe zakończenie. Nie wiedział dlaczego, ale był tego pewien. Może był to tylko sen, a może to niewiarygodne szaleństwo wyrażało gniew jakiegoś bóstwa, obrażonego przez ludzki szal...

Mały Franz zaczął rozbierać statek.

– ...Na koniec, panie prezydencie, najbardziej gorzka uwaga. Grupa nie zorganizowanych szaleńców napadła na Biały Dom. Szef policji stwierdził, że byli uzbrojeni w pistolety, strzelby do polowania, kije. Służba bezpieczeństwa stawiała opór. Aby rozproszyć tłum, musieli strzelać. Tym razem nie było buntu wśród naszych żołnierzy; organizacja wytrzymała.

Prezydent obrócił się w wielkim, czarnym fotelu i stanął za biurkiem.

– Nieważne – powiedział. – Nieważne, prawdziwa organizacja teraz znajduje się tutaj, w ukrytych bazach, w podziemiach.

– Oczywiście – odpowiedział ubrany w mundur generał. Miał krótkie szpakowate włosy i błękitne oczy.

– Rosjanie powtarzają, że o niczym nie wiedzą, chcą zawieszenia działań wojennych. Co więcej, chcą podpisania pokoju. – Spojrzał na generała. – Zawieszenie broni jest już właściwie faktem... Dla pokoju... pomyślimy nad tym. Można wiedzieć, co myślą o tym nasi jajogłowi?

– Ich informacje nie są szczególnie wyczerpujące – generał dobierał ostrożnie słowa. – Mówią, że mamy do czynienia ze skomplikowanym przypadkiem, z fenomenem, którego nie można przewidzieć. Twierdzą, że to prawdopodobnie czasowe zmiany...

– Czy domyślają się, kiedy sytuacja powróci do normy?

– Nie sędzę.

Przed pójściem spać stary George upewnił się, czy wszystko na farmie jest w porządku: krany zakręcone, telewizor wyłączony, zwierzęta w oborze. Potem wyszedł z szopy i idąc po ubitej ziemi podwórza, wrócił do swego domu o pięknym drewnianym ganku.

Tak jak każdego wieczora, rzucił okiem na gwiazdy, które świeciły nad jego wsią. To był piękny wieczór, ze świerszczami, cykadami i sierpem Księżycy.

George wspinał się po skrzypiących schodach. Był zadowolony z tego, że nie zastąpił drewna jakimś nowym materiałem. Rozebrał się, pchnął buty pod łóżko, wślizgnął się pod kołdrę. Patrzył na noc i na wiejski krajobraz, rozpościerający się za otwartym oknem.

Sen starca był głęboki, a oddech regularny, jak w zegarze wahadłowym. Od lat kładł się spać punktualnie koło dziesiątej i wstawał o szóstej. W tych pierwszych dniach września wstawał razem ze Słońcem.

Kiedy się obudził, bardzo się zdziwił: nie było widać nawet najmniejszego promyka wschodzącego Słońca. Odrzucił do tyłu kołdrę, włożył pantofle i wyjrzał przez okno – całkowita ciemność, na niebie ani jednej gwiazdy. Czuł, że jest zimno. Zdecydował się pozamykać okna. Mruknął coś do siebie i znów położył się spać.

Ponownie otworzył oczy, a pokój był ciągle zanurzony w ciemnościach. Na oślep szukał przełącznika światła, nacisnął go i wstał. Która to była godzina? Zszedł do kuchni i spojrzął na stary zegar z kukułką, który tykał wisząc na ścianie. Dziewiąta trzydzieści.

Teraz zerknął na elektroniczny zegarek na drewnianym stole i zobaczył, że wyświetla same zera. Ten interes, pomyślał George, chyba przestał działać, gdyż wyłączyli prąd. Zdecydował, że nic go to nie obchodzi. Nie pójdzie nawet do wsi, by dowiedzieć się, co się dzieje.

Franz odkrył, że stateczek można było rozłożyć na części i że wewnątrz były nawet trzy laleczki, trzy miniaturowe ludziki.

Można było nimi ruszać, mogli przyjmować różne ludzkie pozy: mogli siedzieć, leżeć na składanych łóżkach, mogli stać z rękoma opartymi na pulpitych kontrolnych... Byli jak prawdziwi. Franz przyjrzał się im uważnie, potem zdecydował, że jeden jest ładniejszy od pozostałych.

Zdecydował, że to będzie tata.

17. Wielka kula

Wózek podskakiwał. Nagle Urana porwał zachwyty. Stanął w miejscu z nosem ku górze, patrząc na niewiarygodne przedstawienie: wielki, świetlisty glob, ognista kula kruszyła wieczną monotonię czarnego nieba i zbliżała się do zlodzonej, ponurej powierzchni satelity.

Uran zerkał przelotnie na Towarzysza. Białe, plastikronowe ciało robota odbijało ogniste błyski kuli. Mały robot przesunął się na wózku o kilka metrów do przodu i rozejrzał dookoła: po raz pierwszy krajobraz Oberona zdawał się tętnić życiem.

Kto wie, zastanawiał się, dlaczego ten oślepiający blask, nowe światło rozchodzące się wśród lodów, sprawiało, że miał złudzenie życia. Wydawało się, że wszystko ożywa. Ciekawe, po ilu tysiącletniach, pomyślał robot, ten ciemny świat może rozkoszować się smakiem barw.

Wielka kula kontynuowała swą podróż w dół, a barwy żółta i pomarańczowa przenikały lody, zalewały zagłębienia i pęknięcia aż po najciemniejsze, najbardziej ukryte skały.

Towarzysz milczał. Wydawało się, że i on wpatrywał się w spektakl, zanurzony w obcym świetle, którego intensywność rosła wraz ze zbliżaniem się kuli do powierzchni.

Czujniki Urana przyzwyczyły się do blasku. Mógł zauważyć, że światło wydobywa się z całej powierzchni kuli, a nie z reflektorów czy dysz silników rakietowych. Wielka kula opadała wolno, jak papierowy samolot niesiony przez wiatr.

Mały robot szperał w pamięci, szukając wyjaśnienia podobnego sposobu lądowania, ale nic nie znalazł.

Mogły być dwa wytłumaczenia, pomyślał, albo Towarzysz zapomniał zamieścić w jego mózgu informacje tego rodzaju, albo... Albo też on sam tego nie wiedział. Faktem było, że Towarzysz wiedział wszystko o statkach, lotach kosmicznych itp. Był przecież specjalnie do tego programowany.

Obiekt znajdował się na wysokości kilkuset metrów, lądował pośrodku równiny lodów i popiołu, kilka kilometrów od bazy.

Światło ulegało ciągłym zmianom – z pomarańczowego przeszło w żółte, a teraz było białe. Na próżno Uran zastanawiał się, dlaczego tak się działo. Wyłowił tylko kilka sugestywnych obrazów, zdeponowanych w elektronicznych neuronach jego pamięci. To światło przypominało mu pewien nastrój i przepiękne miejsce, którego nigdy jeszcze nie widział.

To była, mały Uran poczuł dziwne “wzruszenie” myśląc o tym, jasność ziemskiego dnia.

Heinz leżał na łóżku z rękoma skrzyżowanymi pod głową i oczami wlepionymi w sufit.

Matka. Heinz wielokrotnie myślał o Matce. Matka – powiedzieli “oni” – to planeta, gigantyczny statek kosmiczny. Jednocześnie zaś żywa istota. Żywa istota. Rozsądek Heinza kłócił się z tym terminem. Westchnął. Żywa istota, pomyślał, która podróżuje od tysiącleci w przestrzeni kosmicznej i która w łonie niesie badaczy.

Heinz zamknął i otworzył oczy. To było zbyt fantastyczne. O mało nie wybuchnął śmiechem, zamieszkał w łonie badacza. Kim, do diabła, byli jego gospodarze, ci badacze?

Heinz wyobraził sobie wielką planetę, wiszącą w przestrzeni, i niezliczone statki kosmiczne, które odrywały się od jej powierzchni i leciały, by badać otaczający je kosmos. Zdobywały wiadomości i

odnosiły je do Matki.

Wyjął jedną z rąk spod głowy i spokojnie poprawił włosy. Po odwiedzeniu jakiegoś rozległego, szerokiego na miliony kilometrów świetlnych rejonu kosmosu, Matka zamykała swych synów w łonie i wykonywała następny skok. To było niewiarygodne. Może ta “żywa istota” była w stanie przebyć dziesiątki lat świetlnych w jednej chwili. Może mogła podróżować z jednej galaktyki do drugiej. Heinz był podekscytowany. A może, pomyślał, ta istota jest w stanie przemieszczać się nie tylko z jednej galaktyki do drugiej, lecz nawet z jednego wszechświata do drugiego!

Westchnął. Nadal był spokojny i pogodny, jego umysł był jasny. Przypomniawszy sobie Przyczółek, komputery, swoje łóżko, wspomniawszy też o głębokiej samotności, która do samego końca trzymała go w swych szponach, powodowała jego niepewność i prawie go zwyciężyła. Na krótką chwilę przeszła Heinza trwoga jak zatruta igła, która przebiła żołądek. Powiew niepokoju zmusił go, by rozejrzeć się po pomieszczeniu; domowa atmosfera pokoju uspokoiła go. Znowu wlepił wzrok w sufit, przymknął oczy i zauważył, że teraz obrazy ciemnego, lodowatego satelity wydawały się odległe, zagubione w czasie.

Odkąd opuścił ten świat minęło parę godzin, a jednak... A jednak, Heinz uśmiechnął się do siebie, czuł się tak, jakby minęły miesiące, lata.

Może, zastanowił się, zyskał coś dzięki tej nieprawdopodobnej przygodzie, choćby godną pozazdroszczenia równowagę. Poza tym, mówił sobie, za jakiś czas wszystko się dobrze skończy. Trzeba było tylko spokojnie czekać... Poczł lekki niepokój, jakby pyłek kurzu znalazł się na drodze kuli bilardowej, toczącej się po idealnie gładkim stole bilardowym. Coś... Coś było nie tak. Zaczł poruszać rytmicznie nogą. Właśnie, pomyślał, niedługo wszystko się szczęśliwie zakończy. A kto mu o tym powiedział? Czemu był o tym tak święcie przekonany? Uśmiechnł się. Niepewność sprawiała mu pewną przyjemność. Była znakiem, że nie zatracił zdolności krytycznego myślenia...

Właśnie, właśnie... nie potrafił się martwić. W każdej rzeczy widział tylko jej dobrą stronę. Bezgranicznie zaufał nieznanym synom tajemniczej Matki. Nie było się czym przejmować. Jeżeli wzbudzali w nim poczucie bezpieczeństwa, to pewnie dlatego, że nie było powodu, by im nie ufać. Noga przestała drżeć i Heinz usiadł na łóżku.

– Wiecie, co to są spaghetti? – spytał ścianę.

– Jasne. Masz na nie ochotę? – odpowiedzieli. Na stoliku przed nim ukazał się dymiący talerz spaghetti z małżami.

W momencie, gdy kula dotknęła gruntu, świeciła jak słońce. Uran mimowolnie pomyślał o świetle, które ożywia jego umysł, świetle chochlika. Potem, prawie natychmiast, jasność zgasła i na księżycu znowu zapanowała ciemność. Gwiazdy dalej spokojnie błyszczały. Towarzysz i Uran spojrzeli po sobie, następnie ponownie skierowali wzrok na wielką kulę, opartą o złodzoną równinę prawie dwa kilometry od nich. Czujniki Urana, oślepięone w momencie lądowania, przyzwyczały się znowu do ciemności. Obserwując uważnie mały robot dostrzegł, że kula nie była absolutnie ciemna: ze ścian rozchodził się słabiutki, błękitny blask, prawie niewidoczny. Wszystko inne było jak zwykle spokojne, ciemne i nieruchome.

Mały Uran uniósł głowę i spojrzł na Towarzysza.

– Idziemy zobaczyć? – spytał.

Towarzysz wolno zwrócił ku niemu białą, plastikronową twarz.

– Poczekamy – odparł.

– Na co? – spytał Uran.

– Zobaczymy, co się stanie.

– A co mogłoby się stać?

Światelka zmysłu wzroku Towarzysza błyszcząły nieprzyjaźnie.

– Nie wiem, co się może stać – powiedział – to tylko ostrożności.

Głos podobny do elektronicznej burzy uspokoił Urana.

– Co to jest twoim zdaniem? – po kilku sekundach spytał Uran.

– Nie wiem – odpowiedział Towarzysz, ciągle przyglądając się kuli.

– To chyba nie Amerykanie.

– Nie, nie.

– Ale i nie Rosjanie.

– Też nie.

– Meteoryt też nie.

– Nie.

– W takim radzie, co to jest? – Uran złośliwie nalegał.

– Nie wiem.

– Smakowało?

– Wyśmienite. Tak smacznych nie jadłem od lat. Heinz usłyszał srebrzysty dźwięk, który wydawał się być czymś śmiechem. – Znacie historię dzinna z lampy Alladyna? – spytał.

– Tak.

– Wy jesteście może nawet lepsi. – Heinz ciągle przyglądał się porcelanowemu talerzowi, z namalowanymi na brzegach kwiatkami. Nagle podniósł głowę. – Jak to możliwe? – spytał. – Skąd możecie ją znać? Ach, tak – zrozumiał natychmiast – czytacie w moich myślach...

– To prawda.

– W takim razie znacie też wątpliwości i pytania, które sobie zadawałem.

– Tak. Sądzymy, że zrozumiałeś, kim jesteśmy.

– Właśnie, nie rozumiałem, jak wielki statek może być żywą istotą... Właśnie – odchrząknął – wydaje mi się to niepojęte....

– Zależy, co rozumiesz przez “żywą istotę”. Nasze rozumienie jest bardzo proste: istotą żywą jest każde stworzenie świadome swego istnienia. Nieważne, jak jest zbudowana, przez co lub przez kogo została stworzona. Naturalnie, istnieją różne stopnie i poziomy złożoności.

Heinz pokręcił widelcem na talerzu, wziął serwetkę i wytarł usta. Odłożył ją na stół.

– Sądziłem, że żywa istota musi się rozwijać: urodzić się, żyć i umrzeć – rzekł.

– Dlaczego umrzeć?

Zamyślił się. Wiedział, że nie zna odpowiedzi.

– Nie wiem – powiedział i poczuł potrzebę zmiany tematu. Odchrząknął. – Czym są galaretowate twory? – spytał.

– Istoty biologiczne. Stosujemy je jako czujniki. Są w stanie odebrać i przesłać ogromną liczbę danych. Rozsiewamy je w tej części kosmosu, którą właśnie badamy... Tak, na twojej planecie też są

takie.

- Kto je zrobił? – spytał.
- My.
- Wiedzą, że istnieją?
- Tak.
- A kiedy wy sobie pójdziecie...
- One pozostaną w tym systemie.
- Co będą tu robić?
- Będą dalej nadawać, żyć i myśleć...
- A potem?

Bezczynne siedzenie w bazie było dla Urana nie do zniesienia. Towarzysz zabronił mu zbliżać się do obiektu i ciągle nie chciał nawiązać kontaktu z nadlatującym amerykańskim statkiem kosmicznym.

Uran był zadowolony, że raz oszukał swego towarzysza, robota. Wobec takiej ociążałości umysłu zniknęły wszelkie wyrzuty sumienia. Jeżeli będzie trzeba, znów skłamię.

– Wychodzę – powiedział.

Towarzysz wolno zwrócił wzrok ku niemu. – Dokąd się wybierasz?

– Idę zobaczyć, czy na zewnątrz wszystko w porządku.

– Do tego wystarczą kamery.

Uran wyrzucił z siebie elektroniczny gulgot: – W takim radzie idę zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Nie ma powietrza na.... No, dobrze, w porządku. Ale nie odchodź zbyt daleko.

Drzwi śluzy ciśnieniowej otworzyły się wolno i Uran znalazł się na pustej powierzchni satelity. Towarzysz obserwował go ze środka bazy dzięki kamerom telewizyjnym – nie było wątpliwości. Uran okrążył bazę zastanawiając się. Odległa błękitna kula świeciła lekko. Uran stanął. Niech Towarzysza diabli wezmą, pomyślał.

Ustawił mechanizm wózka na maksymalną prędkość i ruszył po równinie. Zatrzymał się o jakieś dwieście metrów od kuli. Mały robocik obliczył, że musi mieć kilkusetmetrową średnicę. Lądowanie było z pewnością bardzo miękkie, ponieważ na zmrożonej pokrywie satelity było widać tylko niewielkie rysy. Uran podziwiał dokładnie wygładzoną powierzchnię: nie było na niej ani otworów, ani okien czy drzwi. Wszystko było idealnie gładkie. Czujniki robota nie zarejestrowały żadnego ruchu czy drgań: wyglądało na to, że wszystko było nieruchome.

Uran wprawił w ruch swój wózek i zdecydował się objechać kulę dookoła z minimalną prędkością. Ślizgając się wolno po lodzie i obserwując błękitną kulę, zarysowującą się na tle nieba, Uran domyślił się, iż jest to obraz doskonałości.

Kiedy mały robot wyszedł z bazy, Towarzysz odetchnął z ulgą. Teraz, myśląc o tym, miał mieszane uczucia tryumfu i konsternacji, mógł spokojnie porozumieć się z Ziemianami. Mógł to uczynić nie dając temu przekłętemu małemu robocikowi satysfakcji.

Obserwował ekran. Tak jak przewidział, robot w szybkim tempie pojechał w kierunku kuli. No cóż, pomyślał Towarzysz, nie ryzykuje zbyt wiele. A nawet gdyby stało się coś poważnego, powiedział sobie, to baza, oddalona o dwa kilometry od kuli, ucierpi ni mniej, ni więcej tylko tyle,

ile by ucierpiała, gdyby odległość wynosiła kilka metrów. Ni mniej, ni więcej.

Kamera pokazała, że Uran zatrzymał się przed kulą.

Towarzysz mu się przyglądał. Towarzyszowi się zdawało, że poczucie bezpieczeństwa sprzed kilku chwil sflaczało jak opona z małą dziurką. Starał się odpędzić tę myśl. Wmówił sobie, że Uran, będąc blisko kuli, narażony jest na takie samo niebezpieczeństwo, jak on sam siedząc w żelaznej kopule. Zresztą, ten obiekt nie miał przecież wrogich zamiarów, w przeciwnym razie baza byłaby już teraz jeziorkiem stopionego metalu.

Jeszcze raz rzucił okiem na Urana, stojącego bez ruchu przed gigantyczną kulą, i zbliżył się do urządzenia nadawczo-odbiorczego. Jeśli jego obliczenia były słuszne, to Amerykanie wejdą na orbitę wokół Oberona już za kilka godzin. Przekaz dotrze do statku za kilka sekund. Towarzysz nacisnął klawisz na pulpicie i zobaczył, że zapaliła się zielona lampka. Znów pomyślał o siedzącym na zewnątrz robocie. Mała maszyna, która tak bardzo marudziła, żeby nawiązać łączność... Ale nudziarz! Towarzysz sapnął zdenerwowany. Tak, jasne. Lepiej było mu nie dać tej satysfakcji. Najlepiej.

Ostatni raz czerwone oczy zwróciły się na monitor, aby sprawdzić, co robi Uran. Towarzysza sparaliżował strach – mały robocik zniknął.

Towarzysz nie zastanawiał się ani chwili. Nie wyłączył nawet radia. Wyrzuty sumienia wypchnęły go z bazy na poszukiwanie robota. Tym razem – Towarzysz ciągle to sobie powtarzał – wina była tylko po jego stronie. On przecież rozdrażnił Urana. Rozdrażnił go, postawił przed murem niewzruszonych “nie”, aż w końcu mały robocik nie wytrzymał i poszedł sobie. Hipokryta, wmawiał sobie, był zwykłym hipokrytą. Doprowadził do tego, bo wstydził się przyznać, że należy nawiązać kontakt z ludźmi ze statku...

Przeklinał samego siebie, mówił sobie, że jest podły, że jego zachowanie w stosunku do małego robocika musi się radykalnie zmienić... To nie takie proste mieć przyjaciela.

Do diabła! Po co ja go w ogóle stworzyłem? Boże! Ależ z niego nieszczęśnik.

Robot dotarł zadyszany, z pulsującymi wszystkimi obwodami i zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od błękitnej kuli, która słabo błyszczała w mroźnej ciemności. Stał zaskoczony.

Z drugiej niewidocznej strony kuli, zamyślony mały Uran ślizgał się po szerokim łuku na swym wózku.

Towarzysz zobaczył go i zrozumiał, jaki był głupi. Podziękował bogu, że jego twarz nie umiała ukazać oznak wstydu.

– Dobrze, że wróciłeś – powiedział szorstko.

Uran ujrzał go niespodziewanie i prawie że dostał ataku serca. Chciał się zapaść pod ziemię. Myślał, że Towarzysz nie wybaczy mu tego nowego nieposłuszeństwa.

– Chciałem cię poinformować – powiedział duży robot – że zdecydowałem się rozmawiać z nadlatującym amerykańskim statkiem.

Uran patrzył na niego ogłupiały. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

18. Na orbicie

– Pierre, co o tym sądzisz?

Mężczyzna bujał się na obrotowym fotelu, pogrążony w myślach.

– Chyba, da się zrobić – powiedział.

Clark obserwował kryształowe oko Bena, wmontowane w białą, plastikową ścianę. – Powinniśmy spytać go o zdanie – powiedział wskazując palcem.

– Przede wszystkim o jego zdanie – potwierdził Pierre.

– W każdym razie nie powinno być kłopotów. Utrzymując aktualną wydajność silników i z zapasem energii, który posiadamy, jedna czy dwie orbity Oberona nie zaszkodzą drodze powrotnej.

Palce Clarka zaczęły uderzać w klawiaturę. – Jak tam ze zwolnieniem, Ben?

– Wszystko zgodnie z wyliczeniami, doskonale – odpowiedział komputer.

– Żadnych trudności?

– Żadnych. Silnik jonowy pracuje idealnie. Systemy kontrolne wskazują, że wszystkie urządzenia są w porządku.

Clark pisał dalej: – Chciałem zadać ci pytanie.

– Proszę bardzo.

– Wiedziałeś o naszym “odkryciu” na Oberonie.

– Oczywiście. Muszę powiedzieć, że nie zdziwiło mnie zbyt. Domyślałem się, że Rosjanie zainstalowali automatyczną bazę i że jest ona zarządzana przez robota.

– Ben, domyślałeś się, czy też wiedziałeś?

– Moi ziemscy programatorzy, kiedy wprowadzali tę zastrzeżoną informację, sugerowali hipotezę, że może to być automatyczna baza. Tak naprawdę to nie rozumiem powodu, dla którego są tam dwa roboty. Jeden wystarczyłby z nawiązką.

Clark zamyślił się, potem jego palce znów przebiegły po elektronicznej klawiaturze, a usta sylabizowały pytanie.

– Czy twoi ziemscy programatorzy zasugerowali ci coś jeszcze?

– Bardzo cię proszę, Clark, mów jaśniej.

– Na przykład: w jakim, u diabła, celu wybudowali bazę na Oberonie?

– Wyszunęli przypuszczenia.

– Jakie?

– Sądzę, że nic nie stoi na przeszkodzie, by ci udzielił tej informacji. Wygląda na to, że Rosjanie podejrzewali istnienie śladów inteligentnego życia na granicach Systemu Słonecznego.

Pierre wybuchnął śmiechem. – A to dobre – powiedział. – A niby gdzie? Na Uranie przy dwustu dwudziestu stopniach poniżej zera? A może na Neptunie, w świetle z amoniaku? Może na Plutonie... A zresztą mówiłeś o “inteligencji”, prawda, Ben? Mówiłeś nie tylko o życiu...

– Dokładnie tak.

– Wiesz coś bliższego, Ben? – spytał dowódca.

– Nie. Wygląda na to, że tajne służby nie mogły zdobyć więcej informacji. Clark spojrzął na

przyjaciela. – Zostawić ten temat?

– No cóż, sądzę, że nic więcej już z niego nie wydobędziemy. – Pierre wzruszył ramionami.

Clark zaczął znowu lekko stukać w klawiaturę masywnymi, zwinnymi palcami, tak że wydawały się być jednocześnie na każdym klawiszu. – Ben, mieliśmy zamiar wejść na orbitę wokół Oberona, wykonując więcej obrotów niż przewidywaliśmy. Myślisz, że będą z tym kłopoty?

– Nie. Żeby nie przegapić spotkania z Saturnem i następnego z Marsem, możemy przyjąć tydzień jako dopuszczalny margines czasu, bez potrzeby wykonywania istotnych zmian w trasie.

Clark nagle poczuł się dotknięty: jakby zraniły go zimne słowa komputera, uderzyły w coś intymnego. Komputer powiedział spokojnie: “Spotkanie z Saturnem i Marsem”. Umysł dowódcy, spontanicznie i niepowstrzymanie, zaczął podróż wstecz w czasie i przestrzeni, jakby słowa Bena rozjaśniły smutnym światłem odległe horyzonty pamięci i cierpienia. Dowódca ujrzał jeszcze raz biednego Heinza, samotnego na mroźnym satelicie, otoczonego przez ciemności przestrzeni kosmicznej. Sam, bez towarzysza, bez kontaktu radiowego... Zastanawiał się, czy Heinz dał sobie radę, czy wytrzymał i nie zwariował w tej śmiertelnej samotności, pozbawionej nadziei. Zastanawiał się, w jakim stanie zastaną go przed drogą powrotną... Przed drogą powrotną.

Umysł Clarka kierował się dalej ścieżką trwogi, w kierunku nowego, końcowego celu: Mars. Mars, a nie Ziemia. Ben powiedział to autorytatywnie. Ostatecznym celem ich odysei nie była już stara planeta ani najbliżsi, ani rodzinny kraj z drogami polnymi, wzgórzami. Przed brązowymi oczami dowódcy ponownie zrodził się obraz willi i ogródka z palmami rosnącymi u podnóża skał...

To czerwony Mars na nich czekał, pustynny Mars... Prawdopodobnie jedyne miejsce, gdzie ludzkość przeżyła. Prawdopodobnie, ponieważ tak naprawdę nie wiedzieli, co faktycznie stało się z Ziemią.

Racjonalny umysł komputera nie miał wątpliwości – zniknięcie równało się śmierci... A jednak... Czym było, pytał samego siebie dowódca, to przelotne ukazanie się Ziemi, pojawienie kilka tygodni temu? Na dnie umysłu Clarka Hamptona, urodzonego w kalifornijskim miasteczku czterdzieści lat wcześniej, pozostała iskierka nadziei, dobrze chroniona przed zawodzącym wiatrem rozpaczy.

– Co się dzieje? – spytał Pierre.

Dowódca natychmiast wrócił do rzeczywistości, do sali dowodzenia statku kosmicznego. – Nic – odpowiedział. – Teraz... Tak. Ben, chciałem cię jeszcze o coś zapytać.

– Proszę.

– Czy twoim zdaniem możliwe jest wylądowanie na Oberonie?

– Możliwe, przy zastosowaniu modułu lądującego.

– Tak, ale czy myślisz, że jest to wskazane?

– Prawdopodobieństwo powodzenia misji uszczuplone zostaje o 0,2 procent lub też o możliwość awarii w module, co opóźniłoby w sposób niemożliwy do odrobienia jego powrót na pokład statku. Do tego należy dodać możliwość nie dającą się wyliczyć – ryzyko, że roboty z bazy okażą się wrogo nastawione.

– A dlaczego, do licha, – wybuchnął Pierre – miałyby mieć coś przeciwko nam?

– Mogły zostać w ten sposób zaprogramowane przez Rosjan na wypadek wojny.

Pierre i Clark spojrzeli na siebie. To było coś nad czym się nie zastanowili. Zdawali sobie sprawę z tego, że odległość od domu, podróż w przestrzeni międzygwiazdnej, odległej i wolnej, odzwyczała ich od ziemskiej logiki. Płytkiej logiki, pomyśleli, ale smutnie prawdziwej.

– Zapominasz, Ben – powiedział głośno Clark – że Ziemia już nie istnieje.

– Dokładnie tak. Także z tego powodu nie mogę zupełnie obiektywnie, obliczyć stopień niebezpieczeństwa.

– Zapominasz także – dodał Pierre – że te dwa roboty żyją tam od lat i pewnie przestały się już przejmować sprawami ziemskimi...

– Nie wydaje mi się, żeby był to odpowiedni argument. Główny program robota pozostaje niezmienny bez względu na odległość, nawet po upływie wieków.

– Wiesz co, Ben – rzekł Pierre. – Nie sądzę, żebyś był dokładnie taki sam, jak w dniu, w którym wyruszyliśmy z tą misją.

– Pierre, co chcesz przez to powiedzieć? Człowiek o rudych włosach uniósł oczy do kamery komputera i uśmiechnął się. – Chcę powiedzieć, że i ty, podobnie jak my, przeżyłeś nowe doświadczenia, które może mogły cię zmienić, polepszyć.

Komputer nie odpowiedział. Clark wstał z fotelika ustawionego naprzeciwko pulpitu kontrolnych i zamyślony obserwował od tyłu Pierre'a.

– Przepraszam, Ben – powiedział w końcu. – Nie chcieliśmy zranić twoich... – odchrząknął – uczuć.

– Nie ma za co, Clark. Przeciwnie, chciałbym dodać, że... jestem wam wdzięczny.

Zielone cyfry elektronicznego zegara wskazywały godzinę i dziesięć minut do wejścia na orbitę. Zieleń była dominującym kolorem na wielkim pulpicie kontrolnym, umieszczonym pośrodku sali dowodzenia – sygnał, że wszystko idzie dobrze.

Siedząc przed tablicą pełną światełek i kolorowych przycisków, Clark obserwował dane, bezustannie aktualizowane przez komputer. Prędkość wynosiła tylko trzy tysiące mil na godzinę i zmniejszała się. Odległość od księżyca Urana liczyła trzy tysiące pięćdziesiąt dwa kilometry.

– Co to jest twoim zdaniem? – spytał, stojący z tyłu Pierre.

Clark znowu spojrział na monitor, który ukazywał ciemną powierzchnię Oberona i w powiększeniu rosyjską bazę kosmiczną.

– Mówisz o największej kuli?

– Właśnie. Zastanawiam się, do czego może służyć.

Clark westchnął. – Nie mam pojęcia... Ben, co o tym sądzisz?

Komputer mówił swoim zwykłym monotonnym głosem: – Nie potrafię udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Ustalenia są jeszcze w toku, ale istnieją wystarczające dane, by stwierdzić, że nie mamy do czynienia z dziełem człowieka.

Clark momentalnie obrócił się na foteliku i popatrzył na Pierre'a, który odwzajemnił spojrzenie wytrzeszczonymi oczami.

– Mógłbyś to powtórzyć, Ben? – powiedział głośno.

– Zbadałem promieniami radiowymi, podczerwonymi i wysokoenergetycznymi materiał, który tworzy kule. Twardy materiał, z którego ją zrobiono, jest bez cienia wątpliwości pokryty polem nieprzenikalnej energii, polem energetycznym, którego składu nie potrafię określić. Jest to powłoka o temperaturze wyższej o kilka stopni od temperatury otoczenia. Nie mam danych o podobnej strukturze, nawet jako przypuszczenia ziemskich naukowców.

– Jesteś tego pewien?

– Tego, co powiedziałem, jestem pewien, Clark.

W sali słyhać było tylko cichy szmer generatorów i wentylatorów, wymieszany z rytmicznymi “bip”. Clark rzucił okiem na wyświetlacz, wskazujący postępujące zlizanie do satelity Urana, w kadrze monitora numer dwa znajdowała się teraz wielka zielonkawa kula.

– Nie mogę w to uwierzyć – wymamrotał Pierre.

– Ani ja – rzekł Clark.

Towarzysz pomyślał, że ma rację. To, co powiedzieli mu jego rosyjscy programatorzy, było prawdą. Amerykanie byli ograniczeni i zdradliwi. Zaprosił ich do Bazy, a oni zastrzegli sobie prawo odmowy.

To jeszcze nie wszystko. Teraz zadawali mu tendencyjne pytania, dotyczące wielkiej kuli znajdującej się na lodowej równinie, o dwie mile od budynku bazy. Na pewno byli to ludzie podejrzliwi i podstępni.

– A nie mówiłem? – rzekł do małego Urana.

– O czym mówisz? – zapytał robot.

– O twoich drogich zachodnich przyjaciółach. Widzisz, co to za ludzie?

– Dlaczego?

– Dla... Dlaczego? Do diabła, nie widzisz, jacy oni są nieufni?

– Gdybyś był na ich miejscu, co byś zrobił? Przebywasz miliony kilometrów ciemności...

– Tak – przerwał mu Towarzysz. – Właśnie... Po co tu przybyli?

– Wyjaśnili nam to.

– Mam wrażenie, że to wymówka. Banalna na dodatek. Przyjaciel na Tytanie, awaria motoru jonowego... Wszystko to jest raczej mało prawdopodobne.

– Nie rozumiem, dlaczego mieliby kłamać.

– Tajna misja..

– Teraz, jak nie ma już Ziemi...

Towarzysz nie odpowiedział. Zaczął spacerować tam i z powrotem, rzucając purpurowe spojrzenia na urządzenie radiowe i tablice kontrolne.

– Za kilka minut wejda na orbitę – rzekł Uran. – Nie mamy nic innego do roboty, jak tylko czekać. Byliśmy szczerzy – powiedzieliśmy, że nic nie wiemy o kuli. Zobaczymy co zadecydują. – Mały robocik siedział cicho, bez ruchu na wózku w kącie pokoju.

– Wiesz co – powiedział – byłbym szczęśliwy, gdyby już wylądowali.

– Prędkość zbliżania zerowa. Jesteśmy na orbicie Oberona, satelity planety Uran, dwa miliardy trzysta milionów kilometrów od miejsca, w którym znajdować się powinna Ziemia.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się, słysząc komunikat komputera. Pierre wyciągnął białą, piegowatą rękę w kierunku Clarka, który uścisnął ją mocno.

– Pierwsza część misji, O.K.!

Pierre wstał z fotelika, rozprostował nogi. – Dałbyś wiarę? – powiedział – Dotarliśmy do Urana... W głębi Systemu Słonecznego, na granicy... Na skraju urwiska. Jeszcze w to nie wierzę.

Clark patrzył na cztery monitory wbudowane w wielki pulpit z migającymi zielonymi i żółtymi

światełkami, kiedy poczuł dłoń przyjaciela na swoim ramieniu. Ekranu ukazywały kolejno widoki Oberona, Urana, Słońca... czwarty był ciemny, a przez jego czerń przebijały tylko słabutkie gwiazdy, odległe, kto wie, o ile lat świetlnych. W tym miejscu, pomyślał dowódca, powinna znajdować się Ziemia.

– Wiesz co, Clark? Przyszedł mi do głowy genialny pomysł... – Dowódca zakręcił się na foteliku i spojrzał na niego uważnie. – Idę przyszykować wywar z karkade.

Popijając z filiżanki czerwony napój Clark Hampton poczuł wreszcie pewność, że pierwsza część podróży była naprawdę zakończona. Dowódca pozwolił by ogarnęło go dobre samopoczucie, po napięciu nagromadzonym przez te wszystkie dni. Przez kilka dni, przekonywał siebie, będzie mógł sobie pozwolić na luksus nie martwienia się problemami i troskami związanymi z drogą powrotną. Przez kilka dni będzie mógł spokojnie poruszać się po orbicie Oberona, a może nawet... – Clark uśmiechnął się, wyciągając nogi na kanapie w pokoju dziennym. – Może nawet... Pomyślał o tajemniczej kuli, tkwiącej na powierzchni Oberona, i zdał sobie sprawę, że przechodzi go dreszcz, gdzieś w środku, we wnętrzościach.

To nie był strach, tylko bodziec... Fascynacja. Poczuł, że ten obiekt wywołuje w nim silną fascynację. Roboty, zamyślił się, mówiły, że to coś pojawiło się nagle, wyłoniło się z kosmosu kilka dni wcześniej, i że od tamtego momentu stało bez ruchu na mrocznej równinie pod gwiazdami. Clark wierzył dwóm robotom i zastanawiał się, skąd owa Kula pochodzi i kogo więzi w swoim wnętrzu...

Dowódca zrozumiał, że powiew ciekawości zaczął otaczać jego istotę i saczyć weń chęć dowiedzenia się prawdy. Czar tajemnicy, pomyślał Clark, zastawiał pułapkę na jego wąty, z trudem osiągnięty spokój.

Popijał wywar cały czas obserwując czerwone lustro napoju, na którym unosiło się słabe światło. Uśmiechnął się i wrócił myślami do momentu, gdy opuszczał Ziemię, wiele miesięcy wcześniej. Miała to być rutynowa podróż, niewiele dłuższa niż zwykle... Clark potrząsnął głową. Przeznaczenie... Przeznaczenie zagrało jego kartami, stanowiąc wyzwanie wszelkim prawom prawdopodobieństwa, i rzuciło na skraj urwiska... Dowódca roześmiał się. Znajdowali się nad bazą kosmiczną zamieszkaną przez dwa roboty, przed niebywałym obiektem, w miejscu, do którego nie powinni byli nigdy dotrzeć... Jeszcze raz zastanowił się, czy przeznaczenie istnieje, czy wszystko jest nieodwołalnie zapisane, wyryte, w chwili narodzin Wszechświata... Odłożył białą filiżankę na stół i wstał.

Tym razem, pomyślał Clark nie dowierzając własnym oczom, stojąc przed monitorem połączonym z wewnętrzną kamerą telewizyjną, przeznaczenie przesadziło. To, co się działo, było po prostu niemożliwe. – To nie jest mało prawdopodobne – wyszeptał dowódca – to jest niemożliwe. Pierre przytaknął. – To niemożliwe – powtórzył.

Lecz wielki komputer dokonał już wszystkich zestawień przypadku i nie było co dyskutować nad jego słowami.

– Ben – spytał Pierre – czy jesteś tego pewien?

– Mam stuprocentową pewność.

– Nie zechciałbyś wykonać jeszcze jednej kontroli? – Wykonałem już wszystkie możliwe kontrole. Powtarzam: separator elektromagnetyczny silnika jonowego numer dwa jest w pełni sprawny.

Dowódca stał oparty o pulpit kontrolny ze schyloną głową.

– Ben, jakie jest prawdopodobieństwo – spytał powoli – że separator naprawił się sam.

Wydawało się, że elektroniczny głos zmienił się, jakby wielki komputer zdał sobie sprawę z dziwaczności pytania i jakby się zdziwił.

– Zerowe – odpowiedział.

Pierre uniósł oczy do kamery wbudowanej w ścianę.

– Tak więc stał się cud – rzekł.

– To jest cud – odpowiedział nieoczekiwanie komputer. – Według ludzkiego pojęcia cudu, zdarzenie to może zostać w ten sposób określone. Nie było żadnej możliwości, by się to stało.

Dwaj mężczyźni zamarli bez słowa naprzeciw ekranu, obserwując obraz separatora. Był czysty, doskonały, nawet piękny.

– No cóż – powiedział dowódca – powinniśmy się z tego cieszyć, prawda?

Pierre zmierzył go wzrokiem. Zobaczył masywne czoło, zarysowane nielicznymi, głębokimi zmarszczkami, obserwował długie rzęsy, które otaczały ciemne oczy, o jakby pulsujących źrenicach. Zobaczył tętnicę, która nabrzmiwała wzdłuż szyi pompując krew. Pierre patrzył na tego człowieka, jakby widział go po raz pierwszy. Potem opuścił spojrzenie. – Separator jest w porządku, nie ma co do tego wątpliwości... Szybciej wrócimy do domu... – Uśmiechnął się i rozłożył ręce... – I...

Przerwał. Clark chwycił go silnymi rękoma za ramiona i uścisnęli się. – Może – rzekł dowódca – może przeznaczenie zdecydowało się stać po naszej stronie...

I on poczuł skurcz w gardle. Stali w ciszy w sali dowodzenia, przed monitorami i mieniącymi się światełkami, kołysani przez cichy szmer generatorów, wędrując po orbicie odległego księżycy Urana.

19. Lądowanie

Zejdą na powierzchnię przygnębiającego księżyca. Odwiedzą bazę, roboty i przeprowadzą inspekcję wielkiej Kuli. Potem wrócą na orbitujący statek. Kilka kolejnych okrążeń Oberona i dalej w drogę, w podróż w kierunku systemu Saturna.

Teraz, gdy drugi silnik Castelli ponownie działał bez zarzutu, żadna przeszkoda nie stała na drodze pomyślnego zakończenia misji.

Clark przeczesał palcami włosy ostrzyżone na jeża i usiadł na brzegu łóżka, patrząc na towarzysza.

– Jesteś gotów? – spytał.

Pierre spojrział na niego krzywo. – Nie zaczynamy od początku – powiedział. – Jutro ty wsiądziesz do modułu lądującego.

– Przykro mi, Pierre – dowódca uśmiechnął się – ale ja nie mogę opuścić statku. Jestem za niego odpowiedzialny.

Pierre wyciągnął się na łóżku. – Dobre sobie! – powiedział. – Wiem doskonale, że zależy ci, by tam zejść. Myślisz, że nie potrafię przez jeden dzień zaopiekować się tą kupą złomu?

– I tobie też na tym zależy. A regulamin mówi jasno.

– Zapominasz, że regulaminy i konwenanse nie są już wiele warte.

Clark też rozciągnął się na białej bawełnianej pościeli.

– Podaj mi jeden istotny powód – rzekł – dla którego ja miałbym iść zamiast ciebie.

– Wiem, że chcesz iść – powiedział flegmatycznie Pierre.

– To nie wystarczy. Ty też tego chcesz – rzekł głosem imitującym litanie.

– No dobrze. W takim razie podaj jeden powód, dla którego to ja miałbym iść!

– Regulamin...

– To nie ma już sensu... – Obserwował dyskretnie pomieszczenie, które od miesiący było ich sypialnią. – Słuchaj, przedtem mówiłeś o przeznaczeniu... Będziemy dyskutować do jutra i nie dojdziemy do zgody. Pozwólmy zdecydować przeznaczeniu. – Oparł się na łokciu i spojrział błękitnymi, ruchliwymi oczyma na dowódcę. – Masz monetę?

Stało się. Człowiek z Zachodu wyląduje na Oberonie. Stary Towarzysz ruszył się wolno. Patrzył na komputerowe konsole, monitor, który pokazywał orbitujący statek, i drugi, który emitował fragmenty, przekroje, profile.

Musnął przycisk, odpowiedzialny za projektor laserowy. Program mówił wyraźnie, w wypadku zagrożenia użyć bez wahania. Trzeba było nacisnąć przycisk. Towarzysz poczuł gorycz. Co za sens, mówił sobie, ma teraz słowo “zagrożenie”? Uran miał rację. Ziemia już nie istnieje, Rosjanie też nie. A nawet pojecie “zachodni” nie miało już żadnego znaczenia.

Spojrział na manometry i wskaźniki składu atmosfery. Uran wykonał niezłą robotę. Wprowadził do bazy mieszankę gazową, która dokładnie imitowała ziemskie powietrze. Towarzysz wyobraził sobie małego robota, który na zewnątrz w tej chwili uważnie obserwuje niebo, oczekując na blask silnika raketowego. Wyobrażał go sobie jako malucha na wózku i gwiazdy nad nim... Wydawało mu się, że jest jak... jakby to powiedzieć... śmieszne. Gdyby mógł, roześmiałby się. Wpatrywał się w obraz

statku na monitorze. Za kilka minut nastąpi odłączenie.

Ileż rzeczy wydarzyło się przez te miesiące! Nic co zostałyby przewidziane... A może, powiedział sobie Towarzysz, błękitna kula zalicza się do przypadków związanych z poszukiwaniami obcej inteligencji... No cóż.

Obserwował przycisk lasera. Nie, nie było żadnego zagrożenia. Nie przeszuka nawet kosmonauty. Do diabła z programem. Był bezsensownym przeżytkiem. On sam był już odmieniony, nie czuł się wyłącznie produktem komórek magnetycznych, zaprogramowanych tak czy inaczej.

Wyszedł z sali kontrolnej i wszedł do kuchni-spiżarni, zrobionej z myślą o ewentualnych załogach rosyjskich, które dotarłyby do zagubionej bazy.

Otworzył pojemnik, włączył płytkę elektryczną i spojrzął na zegarek. Tak, pomyślał, tak będzie dobrze. Wyjął proszek i odkręcił wodę. Czekolada będzie gotowa dokładnie w chwili, gdy człowiek zejdzie na powierzchnię księżyca.

Mały robot był uradowany jak małe dziecko. Kręcił się tu i tam wokół bazy wydając z siebie warkot i piski. Jego czerwone oczy migały w gwiazdzistą noc na lodowej równinie. Niebo nie było dla niego nigdy tak sugestywne, jak w tej chwili, a równina stała się dla Urana źródłem tajemnicy, wyzwaniem dla jego ciekawości.

Wielka Kula leżała ciągle w tym samym miejscu, bez ruchu, rozjaśniona przez słabe błękitne światło. Co jakiś czas Uran dostrzegał wędrujący statek Ziemiaków, który wykonywał następny obrót po orbicie satelity jak słabiutka gwiazda.

Za kilka chwil, pomyślał mały robot drżąc z radości, za kilka chwil zobaczy na niebie powiększający się z wolna płomień... Ludzie zdecydowali się wylądować. Ustalili miejsce i godzinę zejścia i zakomunikowali im drogą radiową.

W tym momencie, mówił sobie bardzo podekscytowany Uran, moduł odłącza się od statku. Podróż ku powierzchni satelity potrwa pięćdziesiąt minut...

Mały robot podskoczył, zadrżał, o mało nie potknął się o kamień i nie wylądował do góry rollkami... Dostrzegł go! Odległy, ledwo widzialny, wryty na tle gwiazd konstelacji Oriona... Słaby płomień... Poczuł, jak ciepło chochlika rośnie w jego umyśle. Uruchomił swój wózek i popędził w kierunku kopuły, by wezwać Towarzysza.

Duży robot starał zataić podekscytowanie, udając obojętność, ale Urana to nie zraziło. Mało brakowało, a Towarzysz zostałby siłą zmuszony do wyjścia. Dwa roboty stały pod gwiazdami w pobliżu kopuły, z nosami ku górze. Widziały, jak mały płomień powoli rośnie i staje się coraz jaśniejszy.

Uran zdał sobie sprawę, że napięcie spowodowało niepokojące obniżenie poziomu energii. Gdy zdecydował się wrócić do kopuły, żeby szybko doładować się, poczuł, że nie ma siły się ruszyć.

Zwrócił się do Towarzysza, który westchnął, chrząknął, pogderał, ale w końcu odprowadził go do bazy i dopilnował doładowania. Kiedy ponownie wyszli na zewnątrz, blask rakiet zaćmiewał ogromną większość gwiazd na firmamencie. Towarzyszowi powrócił do głowy obraz sprzed wielu lat.

Monitory kontrolne wskazywały sześć minut do zetknięcia z powierzchnią satelity. Siedząc w specjalnym anatomicznym fotelu, wewnątrz wąskiego pomieszczenia, mężczyzna wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w światelka kontrolne i tablicę dowodzenia. Świejące kontrolki wskazywały, że wszystko szło jak po maśle, ale kosmonauta wołał się nie rozpraszać. Trzy

niezależne komputery kierowały modułem lądującym w sposób doskonały, z ustalonym wcześniej kątem nachylenia i szybkością.

Nagle jedno ze światełek zmieniło barwę na czerwoną i zaczęło migać. Kosmonauta chciał już skontrolować, które z urządzeń nawaliło, gdy niespodziewanie lampka na powrót stała się zielona. Banalne zwarcie, pomyślał. Westchnął i dalej obserwował wyświetlane informacje – cztery minuty do wylądowania.

Przeznaczenie, pomyślał Clark, wybrało reszkę, a on znajdował się teraz w ciasnym pomieszczeniu, delikatnie lądującym na księżycu Urana, mrocznej, lodowej powierzchni, na której usytuowana była wygodnie malutka baza z dwoma robotami. Pomyślał o tajemniczej Kuli... Monitor wskazywał dwie minuty do zetknięcia z gruntem. Dowódca zapiął pas bezpieczeństwa, wziął kosmiczny kask i włożył go. Huk silników, miganie lampek kontrolnych i wszystkie hałasy zniknęły natychmiast. Clark poczuł się całkowicie odizolowany. Cyfry na monitorze wskazywały dwadzieścia sekund do wylądowania i wysokość trzydziestu metrów. Dowódca czuł, jak rośnie napięcie, jak zaczyna się pocić. Niepotrzebnie się martwił, ponieważ wszystko przebiegało najlepiej jak mogło. Napięcie było jednak instynktowne. Podświadomość nie była posłuszna logicznemu rozumowaniu, które podpowiadało mu, że wszystko jest w doskonałym porządku i prawdopodobieństwo niepowodzenia zmniejszyło się teraz do zera. Podświadomość posłuchała instynktownego uczucia, że jest zupełnie sam w obcym, a może i niebezpiecznym świecie. Dziesięć sekund do kontaktu.

Clark zamknął oczy i zaczął odliczać, a tysiące myśli tłoczyło się w jego umyśle. Zastanawiał się, czy instrumenty działają bez zarzutu, czy to była dokładna prędkość lądowania, czy pod nim nie topi się lód, tworząc zabójcze szczeliny, w które moduł wpadłby jak do przepaści... Pięć, cztery, trzy... Topiący się lód... Dwa... Przepaść... Jeden... Teraz! Clark zacisnął pięści i czekał... Poczł bardzo silne uderzenie, straszne kołysanie, a potem – zupełnie nic. Wszystko było nieruchome.

Kiedy moduł dotknął ziemi, malutki Uran doznał uczucia, którego nigdy wcześniej nie zaznał. Poczł, jak malutkie ciało z żelaza i plastiku drży, jak dygocze wózeczek i jak jego samego wypełnia dziwna energia... Szukał w pamięci terminu, który mógłby wyjaśnić to, co przeżywał... Niepokój, podniecenie, pełne napięcia oczekiwanie, radość... Nie, nie. Szukał innego słowa... Entuzjazm! Tak, był rozentuzjasmowany, jakby wskoczył do innej kategorii egzystencji, kategorii entuzjazmu, gdzie wszystko widzi się innymi oczyma, jakby należało się do innego wymiaru.

Chochlik, który był w nim, wyzwolił oślepiające światło, tak że jego umysł przeszedł z poświaty pochmurnego późnego popołudnia do blasku najjaśniejszego poranka. Uran i Towarzysz nie poruszyli się. Stali bez ruchu w mrokach dopiero co rozświetlonych przez wschodzącą wielką planetę. W ciszy obserwowali mały przedmiot, który jeszcze leniwie falował na wbudowanych w pajęcze nogi amortyzatorach. Opary i mgła unosiły się znad lodowej powierzchni, roztopione przez ciepło rakiet, przysyłając nierównomiernie widok małego statku, "pajęczka".

Potem lód odzyskał swe królestwo i wolno zanikło nawet ostatnie, najmniejsze parowanie. "Pajęczek" wyłobził okrągłą dziurę, szeroką na dziesięć metrów i głęboką na kilkadziesiąt centymetrów. Uran i Towarzysz stali długie sekundy wstrzymując oddech, obserwując moduł. Potem nagle włącz zaczął się otwierać. Nogi Towarzysza – Uran mógł przysiąc – trzęsły się z podniecenia. Włącz otwierał się wolno na całą szerokość, równocześnie, trochę poniżej, wysuwały się schodki. Zaraz potem go ujrzeli. Był wysoki, oświetlony przez słabe promienie wschodzącego Urana, chroniony przez skafander utrudniający ruchy. Człowiek uniósł rękę w geście powitania, odwrócił się i zaczął schodzić po schodkach. Dotknął ziemi i ruszył niezgrabnie w ich kierunku. Ta istota, pomyślał trochę rozczarowany Uran, nie różniła się wcale tak bardzo od nich samych – on

przypominał robota.

Baza była wyczyszczona na wysoki połysk. Uran osobiście zajął się zaprogramowaniem idealnej temperatury i doskonałej mieszaniny gazowej. Oświetlenie było wyregulowane tak, aby odtwarzało intensywność światła jasnego zmierzchu. Uran nie dowierzał własnym oczom, ale Towarzysz przygotował nawet ciepłe napoje: herbatę, kawę i czekoladę.

Dowódca był wzruszony i zaczął ich chwalić, zupełnie jakby znajdował się w domu bliskich przyjaciół: – Niepotrzebnie zadaliście sobie tyle trudu – powiedział. – Nie trzeba było... Dziękuję wam.

Za pomocą nadajnika w bazie wezwał Hyperiona. Powiedział Pierre'owi, że wszystko idzie najlepiej jak tylko może i że połączy się z nim później. Potem roboty zaczęły rozmowę. Niczym starzy przyjaciele mówili o tajemniczej Kuli, o długiej podróży, awarii i cudownej naprawie. Mówili o biednym Heinzu, nadal samotnym na Tytanie, ale przede wszystkim rozmawiali o Ziemi, jej zniknięciu i wysuwali wiele hipotez.

Mały Uran zadawał tysiące pytań o ludzi, o życie na Ziemi, o przyrodę... Mężczyzna ubrany w strój gimnastyczny, z imieniem żony wyhaftowanym na piersiach, mały robot wierzący się na wózku i Towarzysz, o oczach czerwonych jak rozżarzone żelazo, siedzieli rozmawiając przez długie godziny w małej, ciśnieniowej kopule, jak przyjaciele, którzy spotkali się po długim czasie.

Potem Clark włożył skafander kosmiczny. W towarzystwie dwóch robotów szedł przez lodową równinę, na której odbijały się gwiazdy, a teraz także słabe światło Urana, aż zatrzymali się sto metrów od wielkiej kuli. Clark stał podziwiając ją. Błyszczała lekkim błękitnym światłem, a jej powierzchnia wyglądała na całkowicie spójną i idealnie wygładzoną... Żadnej nieciągłości, żadnej szczeliny...

Zrobili rozpoznawcze kółko. Dowódca mógł docenić doskonałą regularność tajemniczej rzeczy, ale nie znalazł niczego, co pomogłoby mu zrozumieć, czym owa Kula była naprawdę.

Wracając do bazy, Clark obserwował zafascynowany lodową równinę, dalekie szczyty, ciemności, które okrywały ten odległy księżyc.

20. Pożegnanie

– Przeszedł mi do głowy wiersz – powiedział Heinz – nie pamiętam nawet czyj. Wiecie, co? Nigdy zbyt nie zajmowałem się poezją, mówi się, że to nieodpowiednie dla kosmonautów. Ale teraz, od jakiegoś czasu, wierzę, że na rzeczywistość trzeba patrzeć innymi oczami. Na Ziemi są trawniki i drzewa, i góry, i morza, i są rzeczy przepiękne. – Heinz spuścił oczy na podłogę. – Wstydzę się, że tak myślę. Ja widziałem trawniki i dęby, i... Nie. Nie widziałem ich. Drzewo było tylko rzeczą, jedno podobne do drugiego. A trawniki – jeden wart drugiego, tylko kupa trawek i... To nieprawda. – Potrząsnął głową. – To nieprawda, wiecie? Teraz pamiętam... Każdy trawnik miał swój kolor i każde źdźbło trawy było podobne do samego siebie i do żadnego innego, a na trawniku mieniły się tysiące barw i kształtów... A pień drzewa: kształt i grubość, sęki i rany... I serca... – Uniósł rękę gestykulując, a potem zbliżył ją do oczu i roześmiał się. – W parkach na Ziemi chłopcy ryją na drzewach: wiecie, po co?

– Nie, Heinz, opowiedz.

– Ryją kamieniem małe serca nacinając korę. Serce jest symbolem miłości, a na rysunkach wypisują swoje imiona. Drzewa w parkach są świadkami wielu miłości... I mojej też. W Landeck są drzewa, na których są moje inicjały i jej... – Starał się skoncentrować. – Nie, nie pamiętam, gdzie. Idiotyczna sprawa. To jest najważniejsza rzecz, jaką przeżyłem, a nie pamiętam nawet, które drzewo było tego świadkiem. Właśnie zdałem sobie sprawę, może dlatego, że tak długo jestem sam, że poezja i miłość to jedno i to samo. Kiedy kochałem tak naprawdę, czułem, że chciałem wejść, połączyć się z tą drugą osobą; czułem się jak, jak samotna rzecz. Teraz wiem, że nawet wszechświat można pokochać... poczynając od naszych stóp, które wydają się bezkresne. Pamiętam, że poetom udawało się... starali się... zrozumieć naturę i przeżyć ją z sentymentem... rozum jest ubogi – może analizować, pojmować, ale nie może dać nam przeżyć świata, nie pozwala nam czuć... Nie może dać nam szczęścia... Dosyć. Wybaczcie, to dlatego, że zaczynam zdawać sobie sprawę z wielu rzeczy.

Heinz wstał z łóżka i przeszedł się po pokoju. Był w stanie lekkiej melancholii, wspominając wieczór sprzed kilku lat, kiedy to przed pójściem spać z okna swojego pokoju zobaczył jasne niebo i piękny księżyc, i wiosenne powietrze ze świerszczami w oddali...

– Heinz, o jakim wierszu mówiłeś na początku?

– Ach... poeta słuchał nocą wiejskiej ciszy i jakiegoś człowieka, który śpiewając wracał do domu połą ścieżką. Pamiętam, że poeta pytał samego siebie, co się stało z wielkimi ziemskimi imperiami i wielkimi ludźmi z przeszłości, i z antycznymi kulturami... A potem wsłuchiwał się w śpiew, który ginął w oddali i wydawał się być jak echo tych ludów, wygasłe w przeszłości.

Po słowach Heinza nastąpiła cisza. Przez kilka minut mężczyzna bujał się na antycznym drewnianym krześle w rogu pokoju. Kiedy Oni zaczęli ponownie mówić, Heinz wiedział, że zaraz stanie się coś ważnego. Oparł głowę na oparciu i uniósł oczy do sufitu.

– Czas minął. Twoi przyjaciele zaraz przybędą, możesz odejść.

Po raz pierwszy otworzyły się drzwi.

– Twój skafander czeka przy wyjściu.

Heinz poczuł się zupełnie zdezorientowany. – Wybaczcie – rzekł – ale nie rozumiem.

– Twoi ziemscy przyjaciele: ich statek jest w idealnym stanie i teraz ląduje. Oto jest chwila

waszego spotkania. Czekaleś i cierpieleś przecież tak długo. Teraz idź.

Heinz pomyślał, że nic nie rozumie. – Ale miało minąć sześć miesięcy...

– Już ci to wyjaśniliśmy, a właściwie... To ty nam powiedziałeś. Pamiętasz opowieść o rzece?

Mężczyzna spuścił głowę. – Tak, tak pamiętam – powiedział.

– Czekaj na ciebie niespodzianka. Szybko wróćcie do domu.

– Ja... dziękuję wam. Nie rozumiem, ale... Wy sobie idziecie, Ziemia zniknęła...

– Więcej się tym nie przejmuj. My musimy przenieść się w inny rejon Kosmosu, nasze zadanie zostało wykonane, Matce jest bardzo spieszno.

– Nie zobaczymy się już więcej – rzekł. Odpowiedzi nie było. Heinz stał w drzwiach. Patrzył na łóżko, na fotografię Valentyny, wykładzinę... Przekroczył próg i znalazł się w korytarzu, który zakręcał. Tunel wydawał się być wyłożony drewnem, a na podłodze rozłożone było coś w rodzaju miękkiego dywanu. Heinz szedł wolno aż do drzwi, które otworzyły się automatycznie. Wewnątrz zobaczył swój skafander kosmiczny.

Zatrzymał się. – Muszę się pożegnać – powiedział. – Chcę wam podziękować za... za to co zrobiliście... – Wzruszenie nie pozwoliło mu mówić dalej. Stał bez ruchu przez kilka sekund, nie padła żadna odpowiedź. Zdecydował, że już najwyższy czas sobie pójść.

Ruszył przed siebie, by wejść do pokoju. Zdawało mu się, że słyszy jakiś hałas. Odwrócił się i zbadał wzrokiem zalany słabym światłem korytarz, ale nic nie zobaczył. Przekroczył próg i poczuł, jak przenika go pogodne uczucie... Może to pozdrowienie. To było jak... jak spacer po wyludnionej plaży, w kierunku przyplływających z hukiem i natychmiast odpływających fal. To było jak powolne zanurzanie w ciepłych promieniach słońca... nogi, kolana, ramiona... A potem wyciągnąć się, płynąć w kierunku otwartego morza. Heinz przypomniał sobie. Wiedział, że już kiedyś odczuwał coś podobnego... Uczucie miłości. Heinz poczuł się tak jak wtedy, w korytarzu na Tytanie, gdy stał naprzeciw galaretowatych stworów. Człowiek rozejrzał się, poczuł dywan pod nogami i musnął drewnianą ścianę korytarza. Automatycznie odwrócił się, przeszedł przez drzwi i doszedł do skafandra. Przed założeniem go, stał nieruchomo długą chwilę. Pomyślał o starym, odludnym Przyczółku, który oczekiwał go na zewnątrz.

Clark roześmiał się, a jego śmiech rozbrzmiewał pomiędzy ściankami kosmicznego kasku. Ta sytuacja, mówił sobie, była naprawdę zabawna: dwa "straszne" rosyjskie roboty robiły wszystko, by umilić mu pobyt. Teraz prawdopodobnie szykują godny ziemskiej restauracji obiad. Tak, powtórzył w myślach, one są naprawdę dobrymi stworzeniami.

Clark nadal podziwiał kulę koloru ziemskiego nieba. To był fantastyczny widok: Kula promieniała na tle dalekich, ciemnych szczytów i wydawała się wyzywać kosmiczną pustkę.

Stało się to nagle. Wysoko w górze, na powierzchni tej rzeczy, otworzyła się szczelina, otwór, z niczego, jak słup światła... Clark stał osłupiały obserwując z niedowierzaniem, jak ktoś lub coś otoczone białą aureolą, wolno zniżało się ku powierzchni... To nie było możliwe!

Miało ono na sobie srebrny skafander, zupełnie taki jak skafander Clarka, i kask kosmiczny z błękitną szybką, a na piersiach widniały amerykańskie godło i flaga Stanów Zachodnich...

Heinzowi zdawało się, że stał się aniołem. Zniżał się do powierzchni jakiegoś świata, a na horyzoncie świeciły się białe światła bazy kosmicznej. Nie były to znajome rubinowe światła... To nie był Przyczółek, ten świat nie istniał na Tytanie. Spływał powoli jak bajka do ucha dziecka...

Nagle zobaczył pod sobą kosmonautę, który był ubrany w srebrzysty skafander i stał nieruchomo na lodowej równinie. To było niemożliwe. Z niedowierzaniem dotknął gruntu, jakby został postawiony przez jakąś uprzejmą dłoń i znów przelotnie pomyślał o śnie, który śnił dawno temu, w samotności Przyczółka, kiedy to sądził, że wszystkie jego kłopoty miały się ku końcowi... A nawet jeszcze się nie zaczęły. Niezgrabnie ruszył do przodu, w kierunku człowieka, którego miał przed sobą. Poczuł, jak wewnątrz kasku oddech staje się niespokojny.

Zauważył, że teraz i ten drugi zbliża się. Na piersiach zobaczył godło amerykańskie i flagę Stanów Zachodnich. A potem ujrzał twarz, zza błękitnej szyby.

Clark posuwał się niezgrabnie, aż udało mu się dotrzeć i objąć przyjaciela w utrudniającym ruchu skafandrze, i mógł zbliżyć szybkę kasku do jego szybki, i udało mu się spojrzeć pośród refleksów w jego wzruszone oczy... Przypomniawszy sobie, że ma przecież nadajnik; wcisnął przycisk i poruszył wargami... – Heinz, Heinz... – powtarzał tylko.

21. Pojawia się gwiazda

Tym razem nie łudziła się. Kiedy światło przeniknęło przez okienko, rozchodząc się na wykładzinie i pościeli jak melodia, zerwała się na nogi i otworzyła szeroko okna. Spojrzała na świat... Ale nie łudziła się, wewnątrz pozostał strach, że to znowu tylko na chwilę. Chłód wstrząsnął jej ciałem. Przez kilka sekund oczy o czarnych rżęsach obserwowały obojętnie widok, a świeże powietrze wtargnęło w jej nozdrza. Stała bez ruchu. Nareszcie dało się słyszeć szczebiot wróbli i gwizdy jaskółek, i zaczęły szczeakać psy...

Usłyszała hałas dochodzący z pokoju obok. Kilkakrotnie zamknęła i otworzyła powieki, odwróciła się i zobaczyła biegnących do niej Willy'ego i małego Franza, który skoczył jej na szyję. Ściskali się i całowali a potem stanęli razem w oknie.

Nagle Karl zaczął płakać. Valentina pobiegła do sypialni i maluch uspokoił się. Spojrzał na nią wielkimi, zielonymi oczyma i próbował się wspiąć na brzeg łóżeczka. Valentina uśmiechnęła się, wzięła go na ręce i dała całusa w policzek. Karl zaczął się śmiać, wymachiwać rękoma. Z dzieckiem na ręku Valentina wróciła do Willy'ego i Franza.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki wolno popijał ze szklanki whisky. Dyskretnym ruchem odstawił ją na masywne biurko z ciemnego drewna. Westchnął. Najgorsze już minęło. Bestialskie szaleństwo, jakie wybuchło tam w górze, na powierzchni, uspokoiło się nagle wraz z ukazaniem się Słońca.

Wiadomości z ostatnich godzin dodawały otuchy: gwiazda faktycznie pojawiła się, z górą pięćdziesiąt minut temu.

Prezydent wygładził białe włosy i przesunął dłoń po zmarszczkach na czole. Naukowcy poinformowali go, że Ziemia znajduje się w punkcie, w którym być powinna, gdyby od początku całej tej historii minęły trzy miesiące. Faktycznie jednak minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny. “Wielkie umysły” wspominały o “tymczasowym zboczeniu z kursu”, czy coś w tym rodzaju, przyznając jednak, że sami nie rozumieją, jak ten fenomen mógł się wydarzyć. Parsknął i zapalił papierosa. Teraz trzeba pomyśleć o przywróceniu porządku. Ci fanatycy, tam na górze, zniszczyli połowę organizacji państwowej. Szaleńcy!

Prezydent obserwował żarzący się czubek papierosa. Nawet wielu z jego urzędników i naukowców powariowało: zniszczyli komputery i pociski rakietowe.

Zgniótł papierosa w kryształowej popielniczce. Po chwili uspokoił się. W gruncie rzeczy – nabrał otuchy – zasadnicze ogniwa systemu nie zostały zaatakowane. Wszystko było ukryte we wnętrzu Ziemi, chronione przed bombami jądrowymi, przed szaleńcami, a nawet “tymczasowymi zmianami kursu”.

A z resztą – prezydent uśmiechnął się do siebie i poprawił ciemny krawat – jego rosyjski kolega nie był wcale w lepszej sytuacji. To właśnie on, kilka godzin temu, w rozmowie telefonicznej przez satelitę telewizyjnego, prosił o pokój.

A on się zgodził. W gruncie rzeczy Stany Zachodnie także nie były w stanie kontynuować walki.

Zdjął okulary i siedział nieruchomo z łokciami opartymi o biurko. Prawdę mówiąc, przed Wydarzeniem, w głębi serca obawiał się, że to będzie ostatnia wojna. Swe obawy trzymał starannie ukryte, schowane nawet przed własnymi oczami. On był prezydentem Stanów Zjednoczonych i nie

mógł sobie pozwolić na niepewność czy strach.

Ale teraz, kiedy na szczęście wojna jest już zażegnana, mógł przestać się oszukiwać i spojrzeć uczciwie na udrękę, którą zostawił za plecami. Udrękę i cierpienie wynurzające się z obrazów zabitych i katastrof, którym zaprzeczał jego rozum, lecz które miał wyryte głęboko w sobie. Wciągnął głęboko powietrze. Teraz trzeba pomyśleć o innej przyszłości.

Pchnął fotel do tyłu, wstał, z powrotem założył okulary i nacisnął zielony przycisk, wbudowany w biurko.

W drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna.

– Przygotować się do opuszczenia schronu przeciw-atomowego – powiedział prezydent – i wysłać wiadomość do szefa państwa rosyjskiego. Chcę się z nim spotkać.

Słońce wróci, pomyślał George, kiedy będzie miało na to ochotę.

Wrócił do pokoju, ubrał się, założył sweter, wziął latarkę i poszedł wydoić dwie krowy.

Jeżeli pominąć absolutny brak światła, to dzień minął zupełnie normalnie. Mężczyzna wydoił krowy, dał jeść kurom, zjadł obiad i zdrzemnął się. Kiedy się zbudził, zegar z kukułką wskazywał czwartą trzydzieści. George wziął fajkę, napchał ją tytoniem i zapalił. Zaczął się bujać na fotelu na biegunach, wdychając wolno hausty dymu. Zegar tykał jak zwykle, a jego wskazówki pokazywały piątą.

Światło powróciło niespodziewanie, jak po wyłączeniu prądu. George przymknął oczy, żeby nagły blask go nie oślepił, i uśmiechnął się. Podniósł się, wsunął pantofle i wyszedł na ganek. To był chłodny, lecz piękny dzień, a słońce zbliżało się do horyzontu. George wrócił do pokoju i zamknął drzwi. Fajkę położył na stole, wziął mały garnek, wypełnił go wodą i postawił na ogniu.

Z pudełka wyjął torebkę z herbatą.

Tej nocy Valentina nie chciała iść do miasta. Uroczystości z okazji powrotu Słońca i końca wojny nie pociągały jej zbyt. Wolala w domu oczekiwać spotkania z gwiazdą. Jej umysł nie dawał sobie jeszcze rady z tym wszystkim, co się wydarzyło. Teraz powrócił nagle spokój. Valentina go czuła. Dzieci spały i nie miała obaw co do ich przyszłości. Willy poszedł do miasta, żeby się zabawić. Okoliczne wille i ulice były ciche, nieliczne światła paliły się.

Cisza po burzy, powiedziała sobie. Siedziała z kocem na nogach na schodkach wychodzących na ogródek. Brakowało tylko Heinza. Dopiero, kiedy on będzie, powiedziała sobie, koszmar się skończy tak naprawdę. Wyczekiwała z niecierpliwością wyznaczonej godziny spotkania.

Ciekawe, co też Heinz zauważył, tam z góry. Może nic nie spostrzegł... W gruncie rzeczy minęły tylko dwadzieścia cztery godziny. Hyperion, dodała sobie otuchy, przebywał normalnie swoją trasę, teraz pewnie zbliżał się do satelity. Heinz spokojnie opuści Przyczółek i rozpocznie podróż powrotną.

Odrzuciła do tyłu włosy i zerknęła na zegarek: jeszcze kilka minut. Kto wie, może przez najbliższe dni nawiążą znowu łączność radiową i nareszcie będą mogli się ponownie zobaczyć.

Wybiegną sobie naprzeciw. Siedząc na stopniach otoczona przez pachnącą noc Valentina wyobraziła sobie lotnisko kosmiczne w pogodny dzień, zamiatane przez wiatr, i Heinza, jak idzie w poprzek pasa i szuka jej oczyma... Obejmie go i mocno uściska, i będzie płakać na jego ramieniu,

Poczuła, jak łzy naprawdę biegną po twarzy... Poczuła słodką samotność i melancholię...

Pomyślała, że jest głupia, godzina spotkania nadeszła.

Wstała, położyła koc na schodach i przez chwilę stała w miejscu, ponieważ wiatr przyniósł zapach róż.

Przeszła w poprzek ogrodu i spojrzała na horyzont. Saturn unosił się ponad domami w przejrzystym powietrzu. Valentina czuła, jak rozwiewają się ostatnie obawy.

Stała uśmiechając się i patrząc na słabą gwiazdę, która wschodziła na nocnym, wrześnieowym niebie.

22. Matka

Za ostatnią planetą systemu słonecznego, na skraju mgławicy Oorta, gdzie mają swój początek komety o roziskrzonych ogonach, w wiecznej ciemności, obracała się Matka.

Była planetą o dwukrotnie większej masie niż Ziemia. Żadne światło nie rozjaśniało jej powierzchni; była mroczna i ciemna na tle gwiazd. Tam, gdzie orbitowała Matka, Słońce było widoczne jako najjaśniejsza z gwiazd, ale tylko gwiazda, niezdolna do rozjaśnienia nocy.

Misja było zakończona. Ostatni Badacz powracał na jej łono, orząc Kosmos za Plutonem i Karontem.

Inni jej wysłannicy dawno już powrócili. Zbadali rejon kosmosu o długości około dwudziestu lat świetlnych. Dotarli do Proximy, Syriusza, Procjona, Altair... Pospolity układ. Gwiazdy, systemy planetarne tego rejonu nie wykazały niczego nadzwyczajnego. Każde ciało miało swoją historię, szczególną fizjonomię. Żadne z nich nie było podobne do drugiego. Niemniej były to wszystkie cechy przystające do powszechnej kazuistyki, nie podważające praw prawdopodobieństwa i statystyki.

Matka znów pomyślała o trzech planetach, które kręciły się wokół gwiazdy Delta Pawia, odległej od tego miejsca o dziewiętnaście lat świetlnych. Wszystkie trzy o wypolerowanej powierzchni, bez wypukłości, pozbawione gór i kraterów. Przez te ziemie bez powietrza przebiegały jedynie niewielkie fałdowania. Stare, antyczne planety. Wiatr i wieloletnie kwaśne deszcze w ciągu milionów lat wyrównały je, uczyniły gładkimi jak lustra wody poprzecinane falami.

Na koniec uciekło powietrze, rozproszyło się w kosmosie, przekazując szare równiny pustce.

Z banków pamięci Matki wynurzyły się wspomnienia o Cygni 61, odległej o jednaście lat świetlnych, w której systemie krążyły mała gwiazda i dwie planety. Pole magnetyczne tej gwiazdy okazało się wyraźnie zmienne, zgodne z wahaniami odnoszącymi się do linii widmowych magnezu i krzemu.

Wiele gwiazd tamtego rejonu ujawniło interesujące osobliwości, ale żadna nie okazała się naprawdę wstrząsająca.

Powracał ostatni Badacz. Na ogromnej kuli Matki otworzyła się mała szczelina: z przestrzeni kosmicznej statek zanurzył się cicho w ciepłe ciemności jej świata, przemierzając tysiące kilometrów wzdłuż wielkich, mrocznych korytarzy. Później zwolnił i usadowił się delikatnie w sali o wysokich sklepieniach, w magazynie bez światła, gdzie odpoczywały wszystkie statki.

Wyłączył się.

Teraz, pomyślała Matka, misja była naprawdę zakończona. Mogła już dokonać nowego skoku do centrum galaktyki. Celem był Deneb, wielka błękitna gwiazda, odległa o tysiąc pięćset lat świetlnych.

Spontanicznie, jak strumień wody, wytrysnęło wspomnienie tego, co spotkała w systemie słonecznym, w tym spokojnym jezioru zagubionym w bezkresnym oceanie.

Ziarnko piasku. To wspomnienie było jak ziarnko na plaży obrazów, zebranych przez dziesiątki tysięcy lat, odkąd podjęła podróż po Wszechświecie.

Jej pamięć sięgała początku, momentu, gdy jej Konstruktorzy doprowadzili do podjęcia odysei. Pamiętała wspaniałą spiralną galaktykę, w której się urodziła. U81, tak nazywali ją ludzie, w gwiazdozbiornie Wielkiej Niedźwiedzicy. Ludzie. Przywołując ten obraz, Matka poczuła w sobie

jakieś poruszenie... Po dziesiątkach tysięcy lat spotkała inteligencję, uczucia.

Na tej planecie, na peryferiach galaktyki, którą ludzie nazywają Drogą Mleczną, materia organizowała się w coraz to bardziej złożone formy i stawała się materią organiczną. Dała początek elementarnym żywym organizmom.

Arcydzieło inżynierii. Związki, połączenia komórek przez miliardy lat mnożyły się, a elementarne organizmy krok po kroku ewoluowały w coś, co za każdym razem było bardziej złożone, aż pojawił się najbardziej wyrafinowany układ – organ inteligencji. Za pomocą tego organu materia zakończyła ważny etap swej podróży, stworzyła to, co pozwalało jej być świadomą własnego istnienia. Myśli. Myślenie pozwalało jej dostrzegać i badać siebie. Dlaczego?

Odkąd opuściła Konstruktorów w odległej galaktyce, Matka nie spotkała istot myślących, zdolnych do odczuwania i badania Wszechświata.

Przeogromna istota wstrzymała potok myśli, aż w jej wnętrzu nastąpiła cisza. Był już najwyższy czas, by odejść, kontynuować poszukiwania i wypełnić gigantyczne magazyny świadectwami, szczątkami, gazami, kamieniami z innych światów, gwiazd i mgławic.

Musiała odejść. Oczekiwały na nią ciemności Wszechświata, rozjaśnionego przez dalekie galaktyki. Zbyt długo zatrzymała się w tym kąciku. Skądinąd było to słuszne: te inteligentne istoty przeżywały krytyczne chwile, dotarły do rozstaju dróg egzystencji. Z jednej strony życie, poznanie, badanie. Z drugiej – śmierć, starcie na proch, powrót do chaotycznej materii. Zniszczenie złożonej organizacji świadomości, na którą wszechświat pracował miliardy lat.

W niewielu światach natknęła się na życie. Przypomniała sobie planetę czerwonej gwiazdy, w małej galaktyce, siedemset pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych od Drogi Mlecznej, Lew Jeden w gwiazdozbiornie Lwa.

W tym świecie pełno było żywej materii, a ziemia była żyzna, wilgotna, atmosfera wypełniona tlenem. To był bezkresny step. Równina pokryta trawą o najżywszej, delikatnej zieleni, jaką można sobie tylko wyobrazić. Każdego dnia wraz z zachodem powietrze stawało się cięższe, a mgła zagęszczała się, aż przechodziła w czarne, groźne chmury. Czerwone słońce zachodziło i zaczynał padać silny deszcz. Ciemność owijała cały świat. Wtedy szalała elektryczna moc nieba – błyskawice spadały na równinę. Rozjaśniały ją, a zgięta przez wiatr trawa wydawała się srebrna.

Odkąd opuściła Lwa Jeden, minęły tysiące lat. Teraz ta mała mgławica wydawała się być jak skała w przygnębiającej pustce międzygalaktycznej.

W chwili gdy dotarła w okolice Systemu Słonecznego, Matka nie wierzyła, że napotka tu inteligencję. Uważała to zdarzenie za skrajnie nieprawdopodobne, odległe. Odkąd opuściła swych stwórców, nigdy nie natknęła się na cywilizację stworzoną przez istoty inteligentne.

Przypomniała sobie dreszczyk emocji, towarzyszący odkryciu, a potem konsternację w obliczu niebezpieczeństwa, na które narażone były te stworzenia.

Zdecydowała się interweniować, by chronić życie, inteligencję. Uważała to, zupełnie spontanicznie, za coś nieodzownego, nie namyślając się nawet, jakby był to obowiązek wryty w każdej jej części. Była usatysfakcjonowana.

Matka przypomniała sobie wydarzenia, których była świadkiem; decyzję, by przenieść Ziemię poza właściwy jej strumień czasu, zużycie ogromnej ilości energii, którą taka interwencja ją kosztowała. Jak w nie kończącej się wstawce filmowej zobaczyła ponownie wiele małych historyjek, które razem tworzyły jedno wielkie wydarzenie. Przypomniała sobie istotę mechaniczną, która dała życie podobnemu do siebie stworzeniu na tym lodowym satelicie. Na nowo ujrzała starego rolnika,

wśród żółtych pól pszenicy, i tego ważnego człowieka ze szpakowatymi włosami i fajką... Prezydenta Stanów Zachodnich. Potem Matka zobaczyła drobniutki wątek samotnego człowieka, na księżycu planety z pierścieniami. Widziała i śledziła go, a jego historia wzruszyła ją, ponieważ to stworzenie cierpiało, bardzo cierpiało. Przyciągnęła go do siebie, do wnętrza swej emanacji, i poznali się. A kiedy stworzenie to musiało sobie iść, zawahała się. Temu człowiekowi zależało na niej. Na tę myśl Matka poczuła coś szczególnego, jakby strumień grawitonów, które spadały w dół, aż do serca. Była szczęśliwa ze spotkania z ludźmi, ale nadszedł już czas kontynuowania podróży.

Sprawdziła, czy w bezkresnych magazynach każdy materiał był na swoim miejscu, czy nawet ostatnie dane zostały wprowadzone do banków pamięci.

Skontrolowała strumień grawitonów, neutronów, cząsteczek. Sprawdziła gęstość antymaterii dokładnie w tym momencie, w części kosmosu, w której się poruszała. Wszystko w porządku; nawet poziomy energii powróciły już do dawnego stanu. Czekał ją nowy skok we wszechświecie. Ale nie natychmiast.

Przed rozpoczęciem swej włości po pozbawionej życia przestrzeni kosmicznej, wśród pustynnych planet i rozpalonych mgławic, miała jeszcze jeden obowiązek do spełnienia wobec ludzi, ponieważ nie wiedzieli nic o jej istnieniu, a kosmonaucie, który żył w jej emanacji, prawdopodobnie nikt nie uwierzy.

Obowiązek, który przewidzieli jej stwórcy.

23. Odlot

Założył skafander i wyszedł na zewnątrz, w wieczną noc, w której roiło się od gwiazd. Szedł wolno, wzdłuż zmrożonej równiny, aż do miejsca, w którym Badacz dotknął ziemi.

Heinz stał tam bez ruchu, obserwując przez kilka minut spękany lód, profil zostawiony przez wielki statek. Kula opuszczała ich. Heinz, Clark i dwa roboty zostali by na nią popatrzeć, jak blask potężnieje, jak unosi się w ciszy znad powierzchni Oberona. Minuta, może dwie. Potem kula zniknęła w przestrzeni kosmicznej, a ludzie stali z nosami do góry, bez słów.

Heinz spojrział na lekkie pęknięcia w lodzie, podobne do delikatnej pajęczyny, uniósł wzrok ku odległemu brzegowi krateru, na horyzont, rozjaśniony przez słabe światło planety Uran, wysoko na niebie.

W pierwszej chwili chciał wyjść z bazy i iść samotnie w ciemność. Wydawało mu się to absurdalne, a jednak czuł potrzebę samotności, ciszy. Musiał uporządkować myśli, pozwolić, by silne wrażenia ostatnich godzin osiadły delikatnie w jego świadomości. Musiał rozumieć.

Wrócił myślami do starego Przyczółka i poczuł żal ściskający mu serce, wspomnienie beznadziejnej samotności. To był, powiedział sobie, najgorszy moment jego życia. Samotny i bez nadziei. Chciał zejść do wgłębienia pozostawionego przez Badacza, ale zatrzymał się na krawędzi. Odwrócił się, by spojrzeć na białe światło bazy. Wydawało się tak odległe, na horyzoncie. Ale na tym małym świcie, pomyślał, linia horyzontu nie była daleko, najwyżej dwa, może trzy kilometry.

Westchnął. Z wolą boską jego przygody dobiegły końca. Zaśmiał się. Mógł powiedzieć, że ma co nieco do opowiadania synom!

Poczuł się szczęśliwy. Potarł nogą zlodowaciałą powierzchnię i zrozumiał, że nawet to, co niemożliwe, zagnieździło się w jego wnętrzu i stawało się częścią doświadczenia. Stojąc na krawędzi wgłębienia, pomyślał o Badaczu, który go gościł i wyratował... Uniósł oczy ku niebu. Jest już daleko, powiedział sobie.

Dowódca wszedł po schodkach skrępowany kosmicznym skafandrem, nacisnął przycisk i drzwi z błyszczącego żelaza rozsunęły się delikatnie.

Minął próg. Kiedy wejście zamknęło się, powietrze napłynęło do małej słuzy ciśnieniowej. Clark zdjął kask i z zadowoleniem odetchnął. Zawiesił ubiór na haczyku, pchnął drzwi naprzeciwko i wszedł do pomieszczenia dowodzenia modułu lądującego. Wyglądało na to, że wszystko było w porządku: ciszy towarzyszył szmer klimatyzacji, w ciemności wystrzeliwały w górę znajome światełka kontrolne jak białe, czerwone, zielone błyskawice.

Musnął klawisz i pomieszczenie rozjaśniło się lekkobiałym, zimnym światłem.

Dowódca usiadł w fotelu i skontrolował życiowe funkcje modułu: komputery nie wykazywały żadnych nieprawidłowości. Wszystko w porządku, Clark uśmiechnął się, przygoda ma się ku końcowi najlepszemu z możliwych. Ziemia znów się pojawiła, statek posiadał dwa sprawne silniki, Heinz był uratowany.

Dowódca opuścił luźno ramiona i utkwiał wzrok w światłach pulpitu. Przypominał sobie spotkanie z Heinzem sprzed kilku godzin. Znów ujrzał wielką, błękitną kulę i moment, kiedy uniosła się do nieba, oddalając się.

Nawet Pierre ze statku widział, jak odrywa się od gruntu. Prawdopodobnie jemu też odjęło mowę. Pewnie siedział z nosem przyklejonym do iluminatora, obserwując wznoszącą się błękitną kulę, nie wypuszczającą żadnych płomieni, unoszącą się w sposób jak najbardziej naturalny, jak mewa szybująca z wiatrem.

Mewy. Clark pamiętał je i morze, spokojne morze u stóp brunatnych, granitowych skał, wygładzonych przez wieki.

Pomyślał o rodzinie, przyjaciółach z centrum kosmicznego, i wspomnienia te zajęły miejsce myśli o zdumiewających przygodach, jakie przeżył, o napotkanych tajemnicach. Normalność, miłość, drogie mu osoby....

Otrząsnął się. Nadszedł już czas odlotu; tam w górę czekał na niego Pierre. Chwycił się poręczy fotela i przybrał odpowiednią pozycję. Najwyższa pora wziąć się do roboty, powiedział sobie. Moduł lądujący mógł przewieźć tylko dwie osoby, a ich było czworo: on, Heinz i dwa roboty.

Ziewnął. To nie był żaden problem. Zrobi dwa kursy. Najpierw, pomyślał, wyniesie na statek Heinza, a potem wróci, by zabrać oba roboty. Podczas drugiego transportu będzie ich troje, ale Uran był mały i lekki; moduł nawet tego nie poczuje.

Dla bezpieczeństwa, zdecydował, przed wejściem na pokład dokładnie się zważą.

Wstał i dokonał dalszej kontroli. Wszystko w porządku. Jediną trudność, mamrotał pod nosem, stanowił czas. Mieli do dyspozycji mniej niż dwa dni. Po tym czasie będą ryzykować utratę dogodnego okna do odlotu na Ziemię.

Zgasił światło, wszedł do małej śluzy ciśnieniowej i poprawił sobie kask. Przez chwilę było mu nieswojo, jak zawsze. Kask sprawiał, że czuł się skrupowany i cierpiał trochę na klaustrofobię.

Drzwi śluzy miękko się rozsunęły. Clark zszedł po schodkach modułu i skierował się do bazy pod gwiazdzistym niebem.

– Pamiętam, pamiętam

– ...Antonio, ten Włoch, drugi pilot “Delfina”? – ponaglił Clark.

Heinz roześmiał się. – Jasne,.. Trochę naiwny, ale w porządku.

– Pamiętasz, jak zrobiliśmy mu ten kawał, że niby skradziono mu statek?

– Tak... Tak, nikt by w to nie uwierzył!

– Pamiętasz, chodził mamrocząc pod nosem, że tak dłużej nie może być, że statki towarowe nie są już bezpieczne nawet w portach kosmicznych.

– Mówił, że to kosmiczni piraci!

– To był naprawdę dobry numer. Trzeba było trzech ogromnych ciężarówek, żeby przesunąć mu statek o kilometr.

Roześmiali się. – Wynajęcie musiało was nieźle kosztować – zauważył Heinz.

– Wiesz, co się jednak stało? Armstrong, tak Armstrong, ten dyrektor portu kosmicznego, przyłączył się do nas i załatwił, że nie musieliśmy płacić złamanego grosza.

Obserwowały ich dwa roboty. Siedziały obok ludzi w metalowej kopule, słuchając zafascynowane.

– Czego bym nie dał za papierosa – powiedział nagle Heinz, opierając się łokciem o stół.

Clark spojrzał na niego. – Nigdy nie widziałem, żebyś palił – powiedział.

– Tak, ale... Teraz chciałbym. Czuję się jak w domu, nie wydaje ci się? Jest towarzystwo, dobre żarcie, trochę trunku... – uśmiechnął się – tak, brakuje tylko papierosa.

Uran poruszył się na wózku. – Zaraz – rzekł i zniknął w spiżarni. Śledziły go dwie pary oczu i dwie rozżarzone diody.

Po chwili wrócił. W czterech metalowych palcach jedyne go środkowego ramienia trzymał pudełko.

– Mam papierosy – rzekł.

Heinz wyjął pudełko z metalowych palców. Był wzruszony. Utkwił wzrok w cygarach.

– Chwileczkę – powiedział Uran, po czym na nowo zniknął w spiżarni. Wrócił z czymś w ręku.

– Wybaczcie rzekł zapomniałem zapalniczki.

Dym wolno unosił się w żelaznej kopule, bezgłośnie wciągany przez puryfikatory powietrza.

– Musimy się przyszykować do odlotu – stwierdził Clark, podnosząc się z krzesła.

Heinz wydmuchnął haust dymu i wzruszył ramionami. – Ja jestem gotów. Nie mam nic do zabrania.

– Przybrał żartobliwy wyraz twarzy. – Moja wyprawa została na Tytanie.

Clark spojrzał na dwa roboty. – Za ile będziecie gotowi do drogi?

– Natychmiast – rzekł Uran.

– Właśnie – powiedział Clark – jest jeden mały, prosty do rozwiązania problem: moduł może przewieźć tylko dwie osoby, o maksymalnej wadze dwustu pięćdziesięciu ziemskich kilogramów. Będziemy musieli zrobić dwa kursy. Najpierw zawiozę Heinza, potem przylecę, żeby zabrać was.

Kołysząc się na nogach spojrzał na stojącego przed nim Towarzysza, z czerwonymi oczyma i ciałem z białego plastikronu. – Jeśli nie przekroczymy wagi, będziemy mogli polecieć we trójkę.

– Jasne – odrzekł Uran.

– Ile ty ważysz?

– Trzydzieści ziemskich kilogramów razem z wózkiem.

– A ty? – spytał Towarzysza.

Duży robot wpatrywał się w człowieka ognistymi oczami. Spuścił głowę.

– Clark, nie ma potrzeby, żebym mówił, ile ważę.

Uran gwałtownie odwrócił się w jego stronę. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Towarzysz uniósł wzrok i wydawało się, że blask jego oczu jakby osłabł.

– Nie mogę lecieć z wami – wymamrotał pod nosem.

Dwaj ludzie spojrzeli po sobie. Uran stał bez słowa.

– Nie mogę lecieć – mówił dalej – ponieważ nie mogę opuścić Bazy. Przez ostatnie miesiące wielokrotnie postępowałem wbrew programowi i może dobrze czyniłem... – Znowu zniżył plastikronową twarz. – Tym jednak razem nie mogę, nie mogę opuścić Bazy. Zostałem stworzony by nią zarządzać.

– Zrobiłeś już, co do ciebie należało – powiedział Uran. – Odkryliśmy wiele rzeczy. Zresztą świat się zmienił.

Towarzysz położył rękę na metalową głowę małego robota. Sztuczne światło bazy tworzyło srebrzyste plamy na białym plastiku jego ciała.

– Masz rację – przyznał – ale naprawdę nie mogę opuścić stacji.

Heinz zdał sobie sprawę, że cygareto parzy go w palce. Z rozrządzeniem rzucił je na podłogę i zgasił butem. Przez jakiś czas słychać było tylko oddechy ludzi i szmer dwóch maszyn.

– Z chęcią zabierzemy cię ze sobą.

Słowa Clarka przerwały ciszę. Dowódcy wydały się głupie, nie na miejscu. Nawet ton wydał mu się wulgarny i grubiański.

– Dziękuję wam. Ale nie mogę – robot spojrział na małego Urana – a ty nie musisz się martwić. Ty możesz odejść, nie jesteś związany z Bazą.

Heinzowi wydawało się, że elektroniczny głos ulegał zmianom. Ta istota czuła – Heinz był o tym przekonany. W tej chwili cierpiała. Mężczyzna spojrział na niego i spytał samego siebie, czym różnił się od człowieka. Małutki Uran podniósł głowę, by spojrzeć na Towarzysza. Nic nie mówił.

– Zawsze marzyłeś o Ziemi, a nigdy jej nie widziałeś. To naprawdę cudowny świat.

– Chcę, żebyś i ty z nami poleciał. Sam nie lecę.

Heinz widział, jak Clark stoi wyprostowany, niemy naprzeciw dwóch robotów. Poczł skurcz w gardle. Zamknął oczy. Pragnął mu powiedzieć, że gdyby chciał, mogliby żyć razem na Ziemi.

– Nie mogę – powtórzył Towarzysz, idąc w kierunku pulpitu kontrolnych – stan zagrożenia minął, wszystko się uspokoiło. Trzeba wrócić do normalności.

Robot zatrzymał się przed monitorami. Zaczł coś regulować, jakby wszystko było rzeczywiście normalnie. Starł się stłumić silne wzburzenie, które go ogarniało. Niespodziewanie przypomniał sobie Valery'ego, starego przyjaciela, a potem małego chłopca, którego widział na Ziemi w centrum szkoleniowym. Chłopak był smutny i płakał. Towarzysz pomyślał, że i on mógłby zapłakać, gdyby tylko był istotą ludzką.

Odwrócił się.

Heinz patrzył z niepokojem na słaby blask jego czerwonych oczu.

– Wybaczcie – powiedział robot – muszę teraz wyjść na równinę. Muszę kontynuować moje obserwacje nieba; kiedy będziecie odlatywać, przyjdę się z wami pożegnać.

Spojrzel na niego w ciszy. Robot z białego plastiku pomaszerował w kierunku wejścia do śluzy.

W pierwszej chwili Heinz chciał wstać, zatrzymać go. Zrozumiał ciężar dylematu, który przeżywało to stworzenie. Chciał go zatrzymać, przekonać, że pozostanie w tej bazie było bezcelowe. I że absurdalnym i nieludzkim była chęć ponownego zaakceptowania samotności. Zadrzał na myśl o miesiącach spędzonych w Przyczółku. Spojrzł na stojącego blisko drzwi Towarzysza i wyobraził sobie nudę, znużenie, naprzeciw której szedł. Przez lata, może do końca swego istnienia.

Nagle Uran wydał z siebie jakiś dźwięk. Heinz i Clark natychmiast wstali.

Towarzysz upadł na kolana, z jego ust wydobył się jęk, a potem ciało o dziwnych odbłaskach runęło na podłogę.

Światła jego oczu zgasły.

Dwaj ludzie pobiegli do wyciągniętej na ziemi maszyny. Heinz chciał instynktownie sprawdzić puls, ale zatrzymał rękę w powietrzu i potrząsnął głowę.

Uran stał blisko stołu, był jak sparaliżowany. Za nim monitory ukazywały powierzchnię Oberona i przestrzeń kosmiczną, podziurawioną gwiazdami.

– Uranie! – krzyknął Clark.

Mały robot przesunął się cicho w ich stronę.

– Nie żyje – wymamrotał.

– Może to jakieś głupstwo, tak jak nagłe osłabienie dla człowieka – powiedział Clark. – Nie wiesz co można by zrobić?

– Moje przygotowanie jest w tej dziedzinie niekompletne.

Dwaj ludzie, klęczący u boku Towarzysza, spojrzeli na malutkiego robota. Ich oczy znalazły się na tej samej wysokości.

– To napięcie – wyszeptał Heinz – przeciążenia napięcia... To niezdecydowanie: tak naprawdę chciał z nami lecieć.

– To moja wina – powiedział Uran.

– Daj spokój. To niczyja wina. To ta absurdalna sytuacja – odrzekł Clark.

– Czy są w was jakieś urządzenia do autonaprawy? – spytał Heinz.

– We mnie nie i nie sądzę, by w nim były.

– Musimy coś zrobić.

– Ty, Uranie, nie jesteś w stanie. Ja nic z tego nie wyrozumiem.

– Ja też nie – powiedział Heinz.

Dowódca ponownie wstał. – Istnieje tylko jedna możliwość – stwierdził. Heinz spojrział na niego z dołu pytającym wzrokiem. Uran też się w niego wpatrywał.

– Ben – rzekł dowódca – Ben, komputer Hyperiona.

– On byłby w stanie... – wyszeptał Uran.

– Sądzę, że tak. To maszyna najnowszej generacji, ostatnia seria. Prawdziwy geniusz. Heinz, nawet ty takich nie widziałeś. Weszła do eksploatacji po twoim odlocie.

Heinz też się podniósł na nogi. Spojrział na dowódcę i Urana, a potem utkwiał wzrok w białej postaci.

– Clark, on będzie twoim pierwszym pasażerem – powiedział.

Dowódca zerknął na malutkiego Urana. – Co o tym myślisz? – spytał.

– To najlepsze wyjście – odpowiedział metaliczny głos.

– On by się z tym nie zgodził – zaproponował Clark.

– Tylko pewna jego część by się nie zgadzała – odpowiedział Heinz. W pokoju nastąpiła cisza.

– Przenieść go na statek, znaczy zabrać Towarzysza wraz z nami na Ziemię. Nie możemy minąć się z oknem do odlotu na Ziemię. – Na twarzy Clarka pojawił się grymas. – Nie wiem, jak on to przyjmie.

– A mamy inne wyjście? – spytał Heinz. Nikt nie odpowiedział.

– Ja wiem – odparł Uran – że Towarzysz tak naprawdę chciał opuścić bazę. Jeżeli postawimy go przed faktem dokonanym, zrozumie. – Kołysał się na wózku.

– Będzie szczęśliwy. Mogę przysiąc. Heinz przytaknął ruchem głowy.

– Czy komputer pokładowy jest faktycznie w stanie go wyleczyć? – spytał Uran.

Clark rozłożył ręce i westchnął.

Uran i jego satelity dryfowały w przestrzeni za plecami statku, który opuścił już orbitę i teraz sunął bezgłośnie w pustce, do nowego celu, Ziemi. Na pokładzie wszystko działało bez zarzutu.

Puryfikatory wody i powietrza były w doskonałym stanie, generatory szemrały jak trzeba, silniki Castelli działały na pełnych obrotach.

Hyperion przemierzał System Słoneczny ze spokojem, przemierzając w ciągu godziny dwieście tysięcy kilometrów.

Jedyne zmartwienie dotyczyło załogi, a w szczególności Clarka.

Od kilku dni dowódca był ponury, trochę gburowaty. Wyglądało na to, że wszystko zaczęło się, kiedy na pokładzie otarli z kurzu szachownicę i ponownie rozpoczęli “Mistrzostwa międzyplanetarne”. Odtąd Clark spędzał całe godziny zamknięty w swoim pokoju, przeglądając podręczniki: obrona sycylijska, hiszpańska, środek, koniec rozgrywki. Zdaniem Pierre'a, dowódca nie mógł znieść tego, że jest drugi w turnieju szachowym.

Na czele klasyfikacji stał ten przeklęty Towarzysz.

24. George

Tego wieczora George wrócił do domu na rowerze, rozglądając się dookoła i pedałując po spękany, pełnym dziur asfalcie. Pedałował i pogwizdywał, przerywając co jakiś czas, bo ponad wąskimi rowami, na polach unosiła się muzyka świerszczy.

Dojechał do dróżki z szumiącymi wiązami. Piękny wieczór, pomyślał George, i oparł rower o mur przed gankiem.

Gospodarstwo było ciche i mroczne. Człowiek oparł się o balustradkę; na podwórzu wydłużały się cienie szopy i drzew, rzucane przez księżyc w pierwszej kwadrze.

Teraz, rzekł starzec do siebie, zamykając oczy, wiedział, dlaczego tamtego dnia wyglądało na to, że Słońce chciało się pokazać. Wiatr zadał trochę silniej, a George uśmiechnął ze szczęścia. To jest godny zapamiętania wieczór, pomyślał. Oczywiście, zawsze to sobie wyobrażał... ale chyba nigdy tak naprawdę w to nie uwierzył. Istotnie, kiedy przyjaciele powiedzieli mu o tym we wsi, uśmiechnął się szyderczo, myśląc, że są to zwykłe głupstwa.

Kot szedł cicho w poprzek podwórza, nie przejmując się nim jak mały tygrys. A jednak, George mówił do siebie, to była prawda.

Powrócił myślami do wieczora spędzonego z przyjaciółmi, do zapowiedzi i bezpośredniej transmisji telewizyjnej.

Doprawdy wspaniała, mamrotał potrząsając głową. Ta błękitnawa kula, która zeszła z nieba, przed wielkimi szefami świata zebranymi na placu Rosyjskim... a może Czerwonym? George wzruszył ramionami: Rosyjskim czy Czerwonym, jedno i to samo. W porównaniu z tym cudem, wszyscy wydawali się mali, wszyscy tacy jednakowi.

Na nowo ujrzał światła, barwy; przypomniał sobie twarze swych przyjaciół przed telewizorem. Podrapał się w szyję. Kto wie, spytał samego siebie, czy i on nie siedział z wybałuszonymi oczami i lekko otwartymi ustami... I w ten sposób nie byli sami, pomyślał, idąc ku środkowi podwórza.

Spojrzał w noc, do góry. Kto wie, gdzie teraz jest, tam w górze, wśród gwiazd.

Wsadził ręce do kieszeni. Wiązy szeptały, w kurniku panowała cisza. Kopnąwszy z roztargnieniem kamień, ruszył do drzwi. Ależ był śpiący! Nie mógł się doczekać chwili, gdy zdejmie buty i zatopi się w materacu.

Wszedł po schodkach i uchwycił klamkę. Odwrócił się by spojrzeć na podwórze i pola w księżycowym blasku.

Zadrzał. Podmuch wiatru potrząsnął gałęziami i zdmuchnął kilka liści na alejkę.

Jesień, pomyślał stojąc w progu, nadchodzi jesień.

Przekręcił gałkę i drzwi się otworzyły, lekko skrzypiąc.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Prolog. Pięć lat wcześniej	3
1. Tytan.	7
2. Alarm.	16
3. Pomysł – pięć lat później	22
4. Żart	29
5. Trzęsienie ziemi	33
6. Poza Saturnem.	41
7. Potrzeba miłości	46
8. Punkt krytyczny.	52
9. Uran.	56
10. Ciemno.	60
11. Jeszcze bardziej samotny.	67
12. Wzgórze.	71
13. Ziemia!	75
14. Przebudzenie.	78
15. Nawiązanie łączności	85
16. Prezent	92
17. Wielka kula.	96
18. Na orbicie.	103
19. Lądowanie.	111
20. Pożegnanie.	116
21. Pojawia się gwiazda.	119
22. Matka.	122
23. Odlot	126
24. George.	133